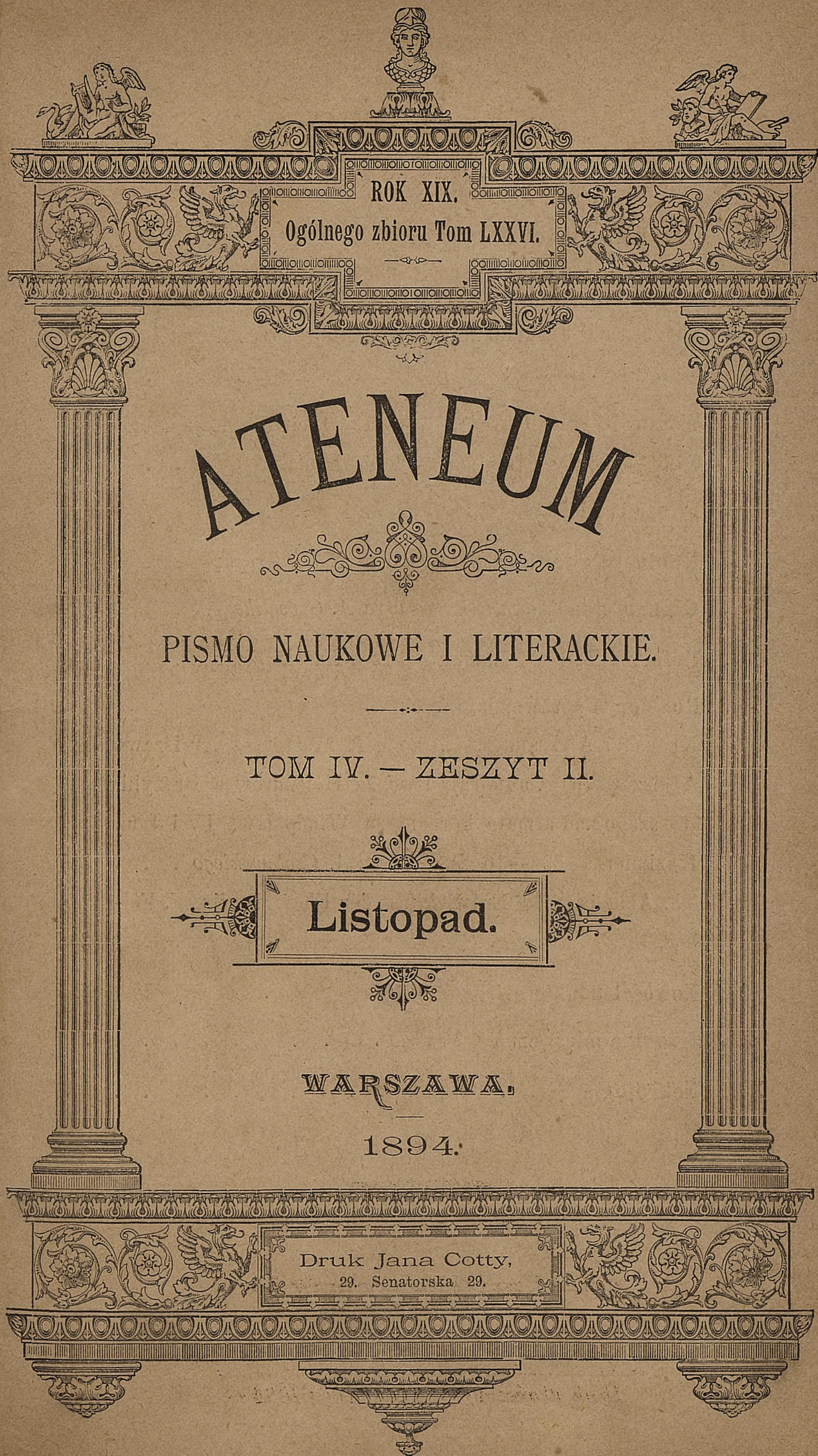
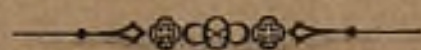


ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXVI.
ATENEUM
PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.
TOM IV. — ZESZYT II.
Listopad.
WARSZAWA.
1894.
Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 3 Listopada 1894 r.

ORYGINAŁ.

I.

W odległym zakątku brudnego podwórza na Gęsiéj ulicy, w końcu marca, w sobotę po szabasie, olbrzymia buda, istna arka praojca Noego, brała swój towarowo-pasażerski ładunek. Że wieczór był ciemny i dżdżysty, dobrze z tém było i budzie i przyszłym pasażerom, którzy po jednemu już się powoli zbiérali: budzie — bo było możliwe, że bez zbytniego zwracania uwagi, przepłynie przez miasto, a pasażerom jakie takie okrycie obiecywało, że im za kołnierz ciec nie będzie.

W mroku wieczornym piętrzyła się jakaś olbrzymia masa bez kształtu, a nieruchoma na czterech kołach; może była ona archeologicznym zabytkiem „kanarków”, niemal przed pół wiekiem budowanych przez Steinkellera, a może tylko niedawno wyranżerowanym wozem ambulansowym — któż to odgadnąć potrafi? Już było po dziewiątéj, a więc już przeszła pora niby oficyalnie dla wyjazdu naznaczona; pięciu pasażerów, każdy przy swym tłomoczku na ziemi umieszczonym, zdradzało już pewną niespokojność i zniecierpliwienie. Ani woźnicy, ani koni dotąd nie było.

— Panie furman, panie konduktor! — dawał się słyszéć młody głos męski w przerwach pomiędzy zwrotkami zajadle wygwizdywanych melodyi z „Mikado”.

— Chi, chi, chi...—wtórował jakiś głosik niewieści.

Cisza. Z trzech pozostałych pasażerów gruby Żyd z niemniéj

grubą Żydówką szwargocą na stronie tylko sobą zajęci, a pozostały, wysoki mężczyzna w czarnym kapeluszu, spokojnie obchodzi wehikuł dokoła.

Bardziéj za pomocą dotyku, niż wzroku, sprawdza on, że z tyłu budy są przymocowane dwie ogromne butle, w słomę i kosze zapakowane, a na wierzchu—cztéry kojce od (czy dla) kurcząt lub kaczek.

Błysnęło mdłe światło łojówki umieszczonéj w latarni i zbliża się ku budzie. Niosący ma bicz w ręku—to oczekiwany furman i konduktor w jednéj osobie, poczwarnie gruby Żyd, człapiący po błocie wykoszlawionemi butami.

— Już jedziem, już jedziem— uprzedza natrętne pytania oczekujących, stawia latarkę na koźle i najspokojniéj odchodzi.

Gwiżdżący pasażer zapala u latarki papiérosa i próbuje nucić „Rozkoszą mą dziewczyna...” z „Wesołéj wojny”. Od bramy domu z hałasem i pośpiechem biegnie kilku nowych pasażerów z masą pakunków na plecach lub pod pachami. Pan w czarnym kapeluszu spogląda na zégarek, stojąc przy latarni.

— Już pewno jedénasta?—piszczy sopranik z pod chustki.

— A to parchy!—rzuca zagniéwany śpiéwak.

Nowoprzybyli składają pakunki w jedno miejsce na ziemi i rozsiadają się na nich... dla bezpieczeństwa.

— Panie furman, panie gruby, jazda!...

— Chi, chi, chi...

Słychać sapanie i człapanie. Gruby furman z ogromną paką na plecach, w towarzystwie kilku innych, prawdopodobnie współkolegów, z takiemiż pakami, podchodzi do budy. Paki po wielu bezowocnych usiłowaniach nakoniec jakkolwiek udało się umieścić w tajemniczych czeluściach budy.

— A gdzież my, pasażerowie? — pyta zaniepokojony czarny kapelusz.

— Wsistko będzie, na te skrzynke to będże doskunałe szedzenie—uśmiécha się, biorąc latarkę w rękę, furman.

Twarz jego jest mizerna, dlaczegóż taki gruby? Łatwe wyjaśnienie. Oto przy sobie, na piersiach, plecach, w czapce, a nawet i w butach, ma on całą pocztę z korespondencyą, pieniędzmi i cenniejszemi posyłkami dla licznéj rzeszy współbraci w wielu punktach po za obrębem Warszawy.

Jest to więc samodzielna organizacya pocztowa, szeroko rozwijająca swoją działalność, choć niekoniecznie dozwolona i nie znająca żadnego centralnego zarządu, ani téż ścieśniona konieczným formalizmem.

W podwórzu ruch się zwiększa. Prowadzą trzy konie, zbiédzone i wychudłe szkapy; kilku furmanów przez czas długi ustawia je przy dyszlu budy, snadź czują szkapy, że praca będzie i mozolna i długa.

— Niech państwo sobie siadają—komenderuje furman.

Gwiżdżący śpiéwak wskakuje pierwszy. Słychać dźwięk żelaza i długie szamotanie się.

— A niechże was pioruny... zatrzasną!... weźcież sobie to żelazo z pod nóg!...

— Na co jego wząszcz, niech uno tam sobie leży.

— Ależ tu nie ma gdzie nóg postawić!... — piorunuje śpiéwak daléj.

— Ny, niech pan sobie tego zielazo nie żałuje, niech pan jegie nogiem przyczysznie, — odpowiada spokojnie furman, spluwając przed siebie.

Czarny kapelusz i autorka wielokrotnych chi-chów pakują się do budy, zajmując wespół z wesołym pasażerem ławkę z tyłu. Pod nogami czują wiązki okrągłych prętów żelaznych, szyny płaskie i cięższe sztaby kańciaste. Reszta towarzyszy podróży rozlokowywa się na ławkach bocznych i skrzyniach drewnianych, umieszczonych na środku.

Nie jest zbyt ciasno, bo tylko ośmiu pasażerów zajęło miejsca w budzie.

Ruszają z towarzyszeniem krzyku furmana i smagania bicza.

W bramie domu — stój! Jeszcze dwóch brodatych pasażerów tłoczy się do budy, wrzucają kilka ciężkich węzłów, zapewne z towarami łokciowemi, które mają odgrywać role materaców na twardych skrzyniach drewnianych, furman odbiéra ostatnie zlecenia, które on tylko jeden może zrozumiéć, konie kilkakrotnie po kolei padają, starając się przy ruszeniu wesprzéć na oślizgłym, zabłoconym pomoście bramy,—już są na ulicy.

Przez miasto, krokiem. Żelazo jęczy pod nogami pasażerów, którzy napróżno usiłują je przyciskać, kojce na wierzchu budy tańczą zajadle, a resztki szyb w oknach brzęczą w uszach odważnych, jadących... do Pultowii.

Na Zjeździe, za mostem i przy rogatce Wileńskiéj, jeszcze trzy przystanki, a na każdym buda zabiéra po kilka zabłoconych, grubych Żydówek, lub takichże Żydów.

Jak oni wszyscy w drodze grubi! Czyby nie należało przy opłacie kosztów przejazdu brać miary tasiemką?

Wewnątrz budy siedzi już dwunastu pasażerów, trzech przytulił furman przy sobie, na koźle.

Chybaż ładunek pełny?!...

Za rogatką, na drodze zwirowanéj, szkapy, raz już budę energiczniéj z miejsca ruszywszy, biegną dość szybko, bo już i zatrzymać się trudno, chyba że furman skieruje ku podjazdowi jakiéj karczmy przydrożnéj, stojącéj na poziomie cokolwiek wyższym.

W budzie powoli milkną głosy oburzenia, klątwy i szwargot. Dzięki silnemu trzęsieniu, towarzystwo zlega się stopniowo i... musi mu być dobrze. Tu i owdzie daje się słyszéć chrapanie, z przeróżnemi modulacyami i siłą natężenia wydawane. Budę wypełnia jednolita, ciężka duszność, któréj przebić nie mogą prądy zewnętrznego powietrza, usiłującego się wedrzéć przez liczne, wybite okienka. Czarny kapelusz chrząka od czasu do czasu. Czy go drażnią wonie poszabasowych oddechów, czy też może daje on tylko ostrzeżenie wesołemu sąsiadowi, który ciągle szepce z chychocącą „panną"?...

Wkrótce uczuwa on na swych kolanach ciężar i ciepło. Dostaje czkawki.

— Ależ moja pani kupcowo — woła z oburzeniem po sprawdzeniu osoby za pomocą dotyku — pocóż się pani kładzie na mnie?!...

— Amatorka kwaśnych jabłek...

— Chi, chi, chi...

— Ny, co ja winna, tu tak trzęsi — tłómaczy się spychana pani kupcowa.

— Jeszcze się tu co z niéj wytrzęsie... ostrożnie państwo!—krzyczy wesoły pasażer.

— Panie Ignac, niech pan nie śkaluje — dusząc się prawie od śmiéchu, robi uwagę „panna" w chustce.

Czarny kapelusz szamoce się chwilę, coś dobywa z pod ławki z wielkim wysiłkiem. I znowu cisza i... szepty.

Szkapiny biegną podzwaniając łańcuchami, które noszą na karkach zamiast naszelników, nikt niemi nie kieruje, bo i furman drzémie, spokojny, że konie nie zawrócą do Warszawy, lecz pójdą zawsze naprzód, a więc do Pultowii. Buda czasem stuknie o większy kamień i wstecz drobniejszych odbiciach odda stuknięcie pasażerom, zaczém zatoczy się silniéj i jęknie z wysiłkiem, a ciągle huczy, piszczy i klekoce. A z tego chaosu dźwięków, tylko czasem jakiś głos zduszony, ochrypły wypływa.

— Panie Ignac, co pan robi?!... nie można tak...

— Kiedy ja nic, panno Jagato!

— Pięknie nic... nie można... jeszcze kto posłyszy!...

— E, frachy, wszyscy chrapią już dawno.

— Ale! chrapią tam, a ten tu czarny koło nas...

— Hm, hm!...

Sielanka pękła, „panna” szarpnęła się z gniewem.

— Czego się to Żydzisko tu tak na mnie sparło?!

— Panie starokorzenny — krzyczy wesoły — czego się tu pan tak rozkładasz, późniéj nie będziesz się mógł do kupy pozbiérać! Panie starokorzenny!...

— Uf!... uf!... na co takie gadania... psiepraszam, tu są przecie kobiéty...

— Tém ci bardziéj, niech pan starozakonny się nie rozkłada, — śmieje się obrońca uciśnionéj płci pięknéj.

Pan czarny już od dłuższego czasu czuł ponowny ciężar na swych kolanach, lecz znosił to cierpliwie. Przez brudne szyby, a raczéj szyb resztki, wdarła się smuga światła, buda gwałtowniéj stuknęła o kamień i zatrzymała się w miejscu.

— Aj, aj, moja głowa!... co to z moje głowe!...

— Czego pani kupcowa tak krzyczy? — pyta troskliwie pan czarny.

— Oj, oj!... to pięknie, żeby taki młody człowiek i miał takie twarde kolana...

— To nie kolana, ale samowar, na którego kranie i uszach pani się ułożyła.

— Ny, to na co ten samowar, pan tak umisznie... to bardzo paskidnie... niby takie porządne osobe... ja mam takie bolenie...

— Chi, chi, chi...

— Niech państwo będą wyszadać, tu będże małe zatrzymanie.

Dobry sobie! Łatwo mu było doradzać wysiadanie, kiedy sam siedział sobie jak pan w nogach na koźle, wspierając się na orczykach i sznurach zaprzęgu. Ale ty chodź, łaskawco, i pomóż, bo cóż bez ciebie pocznie ta masa ciał, odurzonych oddychaniem najbardziéj zepsutém powietrzem i trzygodzinnym różnorodnym hałasem, i unieruchomionych dzięki setnym kombinacyom i splotom, spowodowanym przez ustawiczne silne drgania.

Sympatye jeśli były, były czynnikiem tysiąckroć spotęgowanym, a wstręty musiały zginąć po krótkim oporze. Jakaż wspaniała maszyna do przeprowadzenia na większą skalę zgody powszechnéj klas, stanów, korporacyi, warstw i wszystkich innych tym podobnych wytworów chorobliwego społeczeństwa.

Buda już stoi i milczy. Drzwiczki z trudem otwarto, a przez nie

zioną tylko fale ciężkiego powietrza, duszącego ciepła i ciężkiego sapania.

— No! jazda...—krzyczy wesoły pasażer.

A jednak nikt się nie rusza. Furman z konieczności zaczyna wyładowywać.

Pan czarny, gdy stanął na ziemi, przeciągnął ramiona w różnych kierunkach, starając się piersią wchłonąć możebnie większą ilość świéżego, choć wilgotnego, powietrza. Powlókł się ostatni za wszystkimi do szynkownéj izby w karczmie, przed którą stanęli.

Znalazł już całe towarzystwo w komplecie.

Jakiś „kupiec" rozsiadł się na honorowém miejscu za największym stołem, wesoły pasażer po dwóch porcyach „alembikówki", proponował „pannie" piwo lub herbatę, reszta towarzystwa z kieszeni lub zawiniątek dobywała niedojedzone szczątki uczt szabasowych i raczyła się niemi zwolna i smakując.

Pan czarny w marném oświetleniu dwóch okopconych lampek karczemnych przedstawił się uwadze zgromadzonych jako młody brunet z wąsami i brodą, o sympatycznym i inteligentnym wyrazie twarzy i przyzwoitych ruchach, choć te ostatnie zalety może tylko w jednéj „pannie" mogły znaleść częściowe uznanie.

Stało się jednak, że któraś z tych cech dodatnich zdobyła mu protekcyę poważnego kupca, który łaskawie wskazał mu miejsce przy sobie.

— Ciężka droga i ciężkie jechanie, niech pan sobie co wzmocni — poradził.

— Że tak źle będzie, nie przypuszczałem.

— Nu, wiadomo, koleją lepiéj. Pan do Pultowii, czy może daléj?

— Tylko do Pultowii.

— A czy pan wié, że za tego rubla, co pan tu całą drogę przejedzie, pan-by jadąc koleją zaledwie dorożkę na koléj zapłacił, a gdzie koléj, a cztery mile pocztą?

— Tylko te względy mię zmusiły do podróżowania, jakie wybrałem.

— No, to nic, pan jest młody. Pan do krewnych może, czy do znajomych?

— Nie, za interesem.

— Tylko na kilka dni pewno?

— Może na czas bardzo krótki, a... może i na bardzo długo.

— Nu, to ja panu zarekomenduję, ja jestem ogólny plenipotent

kupiec, nu, czasem to i faktor na wszystkich panów w Pultowii i obywatelów na okoliczność; może i panu co będzie potrzeba?

— Dziękuję i może będę korzystał. Czy pan znasz doktorów tamtejszych?

— Oj, czemu nie! Jest pan Protopowicz, pan Raliński, pan Śniegocki, co ma takie ładne żone, pan... ten... ten... taki dżywak, a! Możdżewski.

— To lekarzy u was nie brakuje?

— Chwała Bogu, jest ich dosyć, można sobie i chorować. Dlaczego pan sobie tak pyta, czy pan, broń Boże, nie chory przypadkiem?

— Nie, jestem dotąd zdrów, choć nie ręczę, czy będę zdrów po ukończeniu tak miłéj, jak dotąd, podróży. Lecz pytam o lekarzy, bo i sam nim jestem.

— A!—zdziwił się kupiec, sięgając do czapki—to pan może będzie u nas mieszkać?

— To będzie zależéć od widoków przyszłéj praktyki.

— No, praktyka się znajdzie. Ja, Cynober, to panu potrzebuję mówić. Trzeba tylko coby pan posłuchał dobre rade, ja dla pana mogę dużo nastręczyć takie porządne i bogate panowie... — mówił ostatnie słowa, świdrując oczyma młodego człowieka i w tonie głosu usiłując przybrać stanowisko „z góry”.

Modlibor pozostał zimnym, choć fala krwi zlekka zczerwieniła mu czoło i policzki.

— Czy pan i kolegom moim, już zamieszkałym w Pultowii, taką usługę oddawał?

— Ja ich wsistkich znam i wiem dawno, co każdemu potrzeba.

— Ja jednak za takie usługi bezwarunkowo dziękuję, a może poproszę o nastręczenie mieszkania, mebli, służącéj, lub o coś podobnego.

Kupiec spojrzał badawczo na młodego człowieka i zamilkł. W myśli rozważał zapewne, że nikt jeszcze z mieszkańców Pultowii nie lekceważył bezkarnie usług jego, Cynobera, i że ten dumny „doktorże” wkrótce na drodze korzystnych układów będzie go prosił o poparcie.

Ze skromnego bufetu młody lekarz wybrał trzy jajka już ugotowane i butelkę piwa, któréj korek obejrzał troskliwie. Cała butelka wypita może mu da sen, drzémkę tylko, lub choćby odurzenie w tém, jeszcze na cztery godziny zapowiadaném, piekle smrodu, chrapania i... szeptów.

Przez szyby karczemnych okien zaczął nieśmiało przezierać wczesny dzień wiosenny. Gruby furman wchodzi z biczem i kolejno tarmosi za odzież rozespanych współbraci. Czas siadać, bo już parobek karczemny zebrał przenośny żłób z przed szkapin, które melancholijnie, ze schylonemi łbami, wspominają o tych nielicznych ziarnach chudego owsa, które tak skwapliwie usiłowały wyłowić z powodzi obfitéj sieczki. Pani kupcowa jeszcze jednem, może już nareszcie ostatniém, gniewném spojrzeniem obrzuca pana z tak twardemi kolanami, wesoły pasażer w czapce na bakier jeszcze ostatni przechyla kieliszek, „panna” poprawia nieład włosów i ubrania, i... buda znowu bierze swój ładunek.

Już od rana, choć to był dzień świąteczny, stary Piotr był w złym humorze. Tyle-bo zabłoconych chłopów przewaliło się przez te czyste, z pokostowaną podłogą i ścianami, sień i przedpokój jego pana, doktora Romana Możdżewskiego.

Prawda, że każdy z nich, powitany już w progu groźnem spojrzeniem gniewnego Piotra, cofał się na ulicę pośpiesznie, jeszcze przed ukończeniem zaczętego: „niech będzie...”, i tam starannie oskrobywał błoto z butów o sztachety małego, przed domem położonego ogródka; ślady niemniéj jednak zostawały po każdym; a po kilkunastu łącznie tworzyły z błota wyraźne chodniki wiodące do gabinetu doktora.

Albo z temi Żydami?—to jeszcze gorzéj.

Cóż z tego, że on półgodziny tupie nogami, a nawet własną ręką ściera błoto z obuwia, kiedy każdy z nich jest mniéj więcéj do pasa uszargany w błocie. Gdzie się poruszy, czy siądzie, czy stoi, wszędzie idzie z nim razem to brudne, cuchnące błoto rynku, dziś jeszcze specyalnie, jako w dzień świąteczny, i obfite i dobrze rozrobione. I było téj procesyi aż do samego obiadu. Piotr, ciągle gniewny, już w części za pomocą szczotki i ściérek usunął ślady wziętości swego pana u chorych, kiedy oto znowu zaledwo pan doktór wypił czarną kawę, pięć bab, dwóch chłopów i jeden Żyd, zasiedli na ławach oszklonego ganku.

— A to skaranie boskie, czy co! na taki czas iść gdzieś tam o wiorst kilka albo i kilkanaście do doktora! toż to druga choroba i tyla—mruczał Piotr, spoglądając po zebranych na ganku.

— A to kto znowu? — jakiś nieznajomy, musi nietutejszy i... tu idzie, pewno i ten do nas. Przepadły moje nieszpory, bo taki w kapeluszu to lubi sobie długo posiedzieć. A bodaj to marności!...

— Czy pan Możdżewski w domu?

— Jest. Chory, czy do chorego? — z nachmurzonemi brwiami burknął gniewny Piotr.

Nieznajomy podał mu bilet wizytowy i poprosił o zameldowanie.

Na bilecie Piotr, chlubiący się umiejętnością czytania, przesylabizował: Tadeusz Modlibor, lekarz.

— Co za dyabeł? — lekarz? Będąc od lat dwudziestu służącym Możdżewskiego, Piotr znał doktorów, adwokatów, aptekarzy, różnych agentów i fabrykantów, ale o żadnym lekarzu dotąd nie słyszał. Uderzyło go jednak od razu podobieństwo wyrazu „lekarz" do „leki", „lekarstwo", „leczyć", które się mu dość często obijały o uszy. Stąd łatwo zrodziło się przypuszczenie, że nowoprzybyły albo sprzedaje lekarstwo, albo jest jakimś wędrownym, coś jakby znachorem z liczby tych, o których Piotr wiele słyszał od dzieciństwa.

Nic dziwnego, że podobne określenie fachu lub zajęcia, nie usposobiło go dobrze względem przybysza: zostawił go w przedpokoju, a sam pośpieszył do gabinetu pana.

— Proszę pana, jakiś do pana z interesem.

— Któż taki?

— Nie znam, musi nie tutejszy i coś od niego apteką pachnie. Tu jest kartka, którą mi dał.

Możdżewski odłożył czytaną gazetę na stronę i wziął bilet z rąk Piotra.

— Poproś.

Był obojętny, choć zdziwiony nie mniéj od swojego Piotra.

Nieznajomy wszedł po chwili i z godnością zwrócił się do gospodarza.

— Jako obcy przybysz w Pultowii, a lekarz z zawodu, składam najpierwszą mą wizytę panu, jako starszemu koledze.

Możdżewski powstał, wyciągając dłoń do przybysza i wskazując mu najbliższe krzesło. Na pierwszy rzut oka, gospodarz był starszy od gościa o jakie lat dwadzieścia: obaj byli szczupli, choć wyglądali krzepko i zdrowo. Możdżewski, jasny blondyn, z wspaniałym zarostem i silnie a charakterystycznie zaznaczonemi liniami twarzy, przenosił powagą o wiele młodzieńczego jeszcze Modlibora, w każdym rysie twarzy, w każdym ruchu zdradzającego gorączkowe pragnienie rzucenia się na fale życia.

— Rad jestem, witając kolegę u siebie, lecz jako stały mieszkaniec Pultowii, a nie znający pana dotąd, daruj kolego, że od razu zapytam, co cię do mnie sprowadza?

— Przed kilku godzinami przybyłem z Warszawy i myślę... rad-

bym... może mi się uda... tu się na stałe osiedlić... mnie tak niewiele potrzeba...

— Cha! cha!... cha! cha!...

Modlibor spłonął szkarłatem, czy z oburzenia, czy też może z obawy, bo śmiéch ten mógł być strasznym; zmilczał jednak, czekając wyjaśnienia.

Możdżewski milczał czas dłuższy, usilnie badając wzrokiem przybyłego kolegę.

— Darujcie proszę, ależ kolego, jesteś wspaniały z tém swojém ewangeliczném: „mnie tak niewiele potrzeba!...” Wszak wiecie chyba, że jest już nas w Pultowii czterech, czyż więc zamierzacie każdego z nas odwiedzić i po kolei tym frazesem niejako złagodzić nam cios zadany waszém przybyciem. Jestto wkupne niejako za prawo wypowiedzianéj nam wojny konkurencyjnéj, czy prawda?

— Może nie zupełna. Wszak żadne względy nie mogą mi wzbronić wolnéj z panami konkurencyi, bo ja mam taki sam dyplom, jak i inni, a... co ważniejsza może...

— Masz taki sam, a nawet jako młody może i większy apetyt od nas starych.

— Więc niech i tak będzie. Jeśli zaś mówię, że mi niewiele potrzeba, mówię to szczerze, bo wielkich rzeczy się nigdy nie spodziéwam, a o powodzeniu mojém zaledwie śmiem marzyć.

— Czy już poznałeś, kolego, swoich rywali, tych trzech innych, oprócz mnie? Nie znasz. Żeś przyszedł wprzód do mnie, niżli do nich, to twój błąd pierwszy. Posłuchaj. Protopowicz ma szpital i powiat... no, co zatém idzie, ma pieniądze i o praktykę nie dba, lecz za wiele myśli o swéj przodującéj roli. Ruliński zdolny lekarz, zdawna tu osiadły, chybił pono na którymś szczeblu życiowym, jest bardzo poszukiwanym, gdy bywa trzeźwy, ale to mu się dość rzadko przytrafia: kiedykolwiek, zapewne już niedługo, gdy miarkę przebierze skończy w szpitalu pod opieką znienawidzonego przez siebie Protopowicza, zostawiając żal szczery po sobie w kilku tylko bliżéj go znających mieszkańcach Pultowii. Wreszcie o Śniegockim i wiele i mało możnaby powiedziéć. Został lekarzem bez chęci, bez zamiłowania, ot, tak, aby czémś zostać, dziś jest wszystkiém: spekulantem, handlarzem, przemysłowcem, a przedewszystkiém mężem ładnéj żony — najmniéj zaś lekarzem. Czy nie wspaniały egzemplarz przeciętnego karyerowicza? Trzy razy już robił majątek i tyleż razy go stracił, trudno przewidziéć, co będzie na końcu; tymczasem łaskawie przyjmuje praktykę tylko dobremi końmi i ładnym powozem przed dom jego zajeżdżającą. A jaż wreszcie, a kilku jeszcze mniéj groźnych, bo ciągle zmnieniających

się, choć stale tu mieszkających lekarzy wojskowych w Pultowii! Cóż myślisz kolego o tém wszystkiém?

— Zaczynam wierzyć, że mogę być tu potrzebnym.

— A gdybym ci jeszcze dodał, że co do mnie, myślę już o zupełném wycofaniu się z praktyki?...

— Na tych gruzach nic nie chcę budować.

Możdżewski powstał i kilka razy przeszedł się po pokoju; zatrzymał się po chwili przed Modliborem i, opiérając się na jego ramieniu, mówił:

— Dobrzeście zrobili, przyjeżdżając do nas, nam bardzo lekarzy potrzeba. Nie doktorów, nie jakichś skrzywionych karyerowiczów, ale prawdziwych lekarzy, tych dobrych i nie głośnych pracowników, przenikających swą działalnością wszystkie warstwy społeczne i obejmujących wszystkie najdroższe ideały społeczne. Odemnie zaczynając, który po dwudziestu latach ciężkiéj pracy dobrowolnie zejdę z pola, wszyscy my tutaj już powinnibyśmy być zmienieni, a to bez różnicy czy z wolą naszą, lub wbrew niéj. To bajki, że krzyczą powszechnie o nadmiernéj liczbie lekarzy. Ciągle aż dotąd jest ich zamało, choć w tysiącznych jeszcze wypadkach lekarz nie zajął należnego mu stanowiska. Lekarzy rozumnych, kochających ludzkość i ludzi, jeszcze bardzo wielu nam trzeba, a takich tam... doktorów, to już oddawna mamy zadosyć. Cóż pyszniejszego jako ilustracya naszych stosunków i poglądów nad to, że mój Piotr wziął ciebie kolego, który używasz tytułu lekarza na bilecie, za jakiegoś szarlatana lub obieżyświata! cha! cha!... On dotąd znał tylko doktorów, a z takich, jak mój Piotr, składa się większość ogółu, która pada ofiarą blagi doktorskiéj.

— Może kolega zbyt gorąco bierze to nieraz niewinne użycie tytułu stopnia naukowego zamiast tytułu zajęcia fachowego? Jestto często nadużycie, ani słowa, ale uprawnione już poniekąd powszechnym zwyczajem.

— Ani trochę; dziś już nie umiałbym być gorącym w czémkolwiek. Piętnuję jednak ten błąd powszechny, bo sam przed dwudziestu kilku laty skończyłem wydział lekarski ze stopniem doktora, nie jestto więc woda na mój młyn. A wiész-że, kolego, czém byłem po ukończeniu? — skończonym osłem, doktorem, który mógł od biédy nauczać większych osłów od siebie anatomii, patologii, lub wreszcie farmakognozyi, ale nigdy... leczyć ludzi i uzdrawiać ich.

— A kliniki z praktycznemi zajęciami, a setki tomów symptomalogii i kazuistyki medycznéj?...

— To tylko martwy katechizm, naprędce przez dziécię zapamię-

tany, który jednak nie daje żadnéj gwarancyi wiary przyszłéj i miłości dla ludzi. Dziś, każdy przygodny z bożéj łaski, doktór i lekarz, staje wobec współrodaków z dyplomem i... gwałtowną ochotą jaknajwiększego zarobkowania, a reszta głupstwo, głupców tylko obowiązujące. Jeśli się coś wypadkiem zrobi dobrego, to się wyzyska dla dalszego powodzenia, a jeśli się nie uda, no! — to kto tam będzie kontrolował!

— Ależ, szanowny kolego, obadwaj chyba mamy to przeświadczenie, że lekarz nie zawsze jest w możności uleczyć cierpienia?

— Niestety, prawda, powinien jednak zawsze wiedziéć, czy jego pomoc może być potrzebna, czy nie, a co ważniejsza, powinna o tém wiedziéć z ust jego ta publiczność, która mu ufa. Tak zwany przez nas obowiązek nie opuszczania chorego aż do ostatniéj godziny życia lub konieczność wypróbowywania wszystkich środków znanych w medycynie, jest tylko niecnym wyzyskiem lub szarlataneryą. To samo robią i znachory po wsiach i miasteczkach, śmiem nawet twierdzić, że, mając w ręku mniéj środków, i szkody mniéj przynoszą od nas dyplomowanych.

Możdżewski podczas rozmowy coraz bardziéj zapalał się, snać kwestye poruszone były dla niego długotrwałą bolączką.

— No, dość tego jak na pierwszą znajomość. Powiedźcie mi jeszcze, proszę, co was skłoniło, że do mnie najprzód skierowaliście swoje kroki?

— Szczerze mówiąc—słowa Cynobra, którego miałem za towarzysza podróży, i który charakteryzował kolegę jedném tylko słowem: „dziwak” i mówił tak jakoś niechętnie, a niechęć jmci Cynobra, o ile sądzę, często może być uznaną za najlepszą rekomendacyę.

— To jeszcze dość łaskawie. Dziwak!... dziwak!... ha! i ten tytuł jest tak dobry, a może i lepszy, niżli wiele innych. Czy pan wprost z ławy uniwersyteckiéj?

— O! nie, dwa lata już pracowałem w szpitalach warszawskich pod okiem doświadczonych praktyków.

— Winszuję, i sam tak niegdyś zrobiłem. Nic też dziwnego, że kiedy tamci trzéj panowie, używając nienależnego sobie tytułu doktora, leczyli i leczą tylko jakby mimochodem, ja zapragnąłem być tylko lekarzem i byłem nim przez lat przeszło dwadzieścia tu w Pultowii. To dosyć—mam już trochę marnego grosiwa, a co ważniejsza—śmiał się—i tytuł dziwaka, trzebaby już teraz pomyśléć o zrobieniu czegoś dla siebie, dla swojéj ambicyi... może trochę dla nauki, jedném słowem, teraz czas już zostać... doktorem.

Zadzwonił, kończąc te słowa:

— Piotrze, czy są chorzy?

— A tych-by kiedy zabrakło! pełne sieni błota.

— To ja pożegnam kolegę—mówił, powstając Modlibor.

— Zostań: ci moi chorzy są bez kaprysów, równie dobrze i przy was opowiedzą swe dolegliwości, a ja nic nie mam do skrywania, a radbym jeszcze z wami pomówić, jeszcze się trochę może wykłócić...

— Nie obiecuję tego, bo niejako przeczucie mi mówi, że na wielu punktach moglibyśmy się godzić bez walki.

— Zobaczymy, zobaczymy.

Chorzy kolejno wchodzili do gabinetu, najprzód baby, późniéj chłopi, na końcu Żyd, choć ten właśnie najmniéj zdradzał cierpliwości w oczekiwaniu swéj kolejki. Taką klasyfikacyę i porządek Piotr raz na zawsze ustanowił.

Z pięciu kobiét, jeszcze dość młodych, trzy uskarżały się, że „krew po nich ciągiem chodzi”.

— To, brak dobrych akuszerek po wsiach — mówił Możdżewski.

Dwie inne miały na rękach drobne, wychudłe dzieciny. Mówiły, że dzieci krzyczą, mało śpią i stale, coraz więcéj, mizerniają. Wypytywane przez lekarza, objaśniły, że obydwie są wyrobnicami we dworze, że w chałupach biéda, że krowy mléko zupełnie zarwały, a we dworze płacą tylko po 25 groszy dziennie.

— Wy za biletami?

— A jużci, wielmożny panie.

— To, brak szkoły we wsi i wierna ilustracya pięknego stanu ekonomicznego w kraju!—mruczał Możdżewski jeszcze gniewniéj, wpychając każdéj kobiécie po kartce w rękę.

Odeszli już wszyscy, chłopi żegnali Możdżewskiego dziękczynném: „niech będzie pochwalony...”, a Żyd chciał w rękę całować, za co go lekarz ofuknął, jednocześnie wskazując na brudy odzieży.

Tadeusza uderzyły często wspominane bilety, zapytał więc o nie kolegę.

— To także moje dziwactwo.

Wyjął z szuflady biurka arkusz zadrukowany dużemi literami i podał go, milcząc, Modliborowi.

— Przeczytaj kolega głośno.

Tadeusz trochę zdziwiony, posłusznie jednak czytał:

„Warunki porady lekarskiéj, udzielanéj przez Romana Możdżewskiego.

1. Każdy chory przychodzący do mojego gabinetu opłaca z góry na ręce służącego kop. 30.

2. Każdy wzywający mnie na miasto do chorego opłaca również z góry kop. 75.

NB. Gdyby chory przed mym przyjściem zmarł, obowiązany jestem zwrócić wzięte pieniądze.

3. Każdy wzywający mnie do chorego po za obrębem Pultowii obowiązany jest:

a) przywieść i odwieść mię swoimi końmi i ekwipażem, na jakie go stać;

b) zapłacić po rs. 1 kop. 50 z akażdą godzinę czasu straconego w drodze lub na miejscu;

i *c*) gdyby bytność moja wypadła w czasie godz. ósméj rano, pierwszéj po południe, lub siódméj wieczorem, obowiązany mi jest dać posiłek, jaki sam zwykle przyjmuje.

4. W czasie pomiędzy godz. ósmą wieczorem i tąż samą rano, wszystkie powyższe wynagrodzenia otrzymam w podwójnéj ilości.

5. Każdy płacący obowiązanym jest do dawania pieniędzy w jaki tylko chce sposób, aby nie za pomocą tajemniczego wkładania w rękę przy uścisku, gdyż sposób taki jest mi wstrętnym.

6. Za wszelki udział w radach lekarskich, przezemnie zwoływanych, nie będę brał wynagrodzenia żadnego, a przez mych współkolegów—potrójne w stosunku do tego, jakieby mi się należało w wypadku zwykłym.

Modlibor skończył czytać i zamyślony powtórnie przebiegał oczyma treść dopiéro co przeczytaną.

— Jak wam się to podoba?—badał Możdżewski.

— Przyznaję, że bardzo, choć może... nie wszystko dobrze zrozumiałem. Czy kolega zupełnie nie przyjmuje nic nie płacących?

— Najzupełniéj.

Modlibor przykro został zdziwiony, i to nie uszło baczności Możdżewskiego.

— Powiédzcie mi, proszę, czy przystępując do chorego, chcecie mu pomódz?

— Naturalnie, że tak.

— A czy praca wasza jest w takim razie coś wartą?

— Chyba, że tak, jak i każdego innego pracownika na inném polu.

— I wam tę pracę wolno ocenić. Ja moją cenię w ten sposób— mówił powolnie, uderzając dłonią o dopiéro co odczytany arkusz.

— To prawda, jest pan w najzupełniejszym porządku i zgodzie z etyką ogólnie ludzką, ależ... są przecie... biédni a chorzy... któż tym da poradę?... Nasza etyka korporacyjna wskazuje...

— Wasza etyka korporacyjna jest wrzodem rozwiniętym na jedynie racyonalnéj i dobréj etyce ogólnie obowiązującéj. Przyjmujecie biédnych bezpłatnie i w tém szukacie albo reklamy dla siebie, albo ujścia dla swéj czułostkowości młodzieńczéj, albo téż, co najgorsza, cierpliwych medyów dla waszych niedowarzonych prób w pierwszych chwilach wyrabiania praktyki.

— Nie ma zgody — wybuchnął Modlibor — wszak najmniéj doświadczony lekarz może nieść korzyść już choćby wyjaśnianiem prawd hygieny i przepisów dyetetyki w chorobie, a pociechę w zmartwieniu zbolałego otoczenia.

— Bajki, frazesy, lub deklamacya. Lekarz powinien być przedewszystkiém lekarzem, a nie nauczycielem, księdzem lub siostrą miłosierdzia.

— Ależ lekarz bezpłatnie leczący tém samém płaci obowiązujący dla siebie podatek na rachunek już przeżytéj i wyranżerowanéj z koła życiowych zapasów cząstki ludzi!

— To tylko arbitralność w określeniu wygodnéj swéj roli: „Daju tobie niebоże, szto dla menia niebоże". Największą chorobą jest głód; kartki, które od czasu do czasu rozdaję mym chorym—to moje usprawiedliwienie, że swoję cząstkę dla zwalczenia tego strasznego zła chętnie wnoszę. Są to kwity przezemnie podpisane do rzeźnika, do piekarza, lub sklepu spożywczego. Lecz nikogo nie leczę darmo, bo chcę sam kontrolować użyteczność mych datków, a zupełnie nie pragnę być wyzyskiwanym przez podłych lub chciwych.

— Lecz, kolego, skoro od możniejszego weźmiecie za poradę tu u siebie rs. 1 kop. 50, to póżniéj możecie dwóch biédnych przyjąć darmo. Tak przecie robią powszechnie.

— Czy robią, to jeszcze pytanie; lecz gdyby i tak było, to w każdym razie jest to i głupie i nieuczciwe, bo biorąc rs. 1 kop. 50, a nie kop. 30 mi należne, od szczodrobliwego chorego i nie oddając komuś uboższemu otrzymanéj przewyżki, jestem fagasem, zgarniającym napiwki, a nawet oddając te rs. 1 kop. 20 na dobro nędzy ogólnéj, staję się głupcem, który się bawi w filantropię z cudzéj kieszeni. Czy nie tak?

— Siła waszych dowodzeń jest zbyt oczywista, więc milczę, ale... ci biédacy... czyż muszą być tak często pozbawieni naszéj opieki?

— Jest sposób wyjścia, przynajmniéj dla mnie on dotąd wystarczał. Wszelkie naddatki zwracam płacącym, lecz jednocześnie proponuję, by je złożyli na ręce mojego starego uczciwego Piotra. Piotr i kucharka Stanisławowa — to mój komitet dobroczynności. On zna prawie wszystkie wsi okoliczne, ona miasto samo, jako tutejsza od lat kilkudziesięciu mieszkanka. Oni to za wspólną poradą w kuchni nabywają z pieniędzy uzbiéranych bilet dla chorego do mojego lub kolegi którego gabinetu, chory otrzymuje poradę, a my należne nam wynagrodzenie. Korzyść jeszcze jest i ta, że tu o biédnych biédni stanowią, a nie ludzie, nie znający biédy, jak to ma miejsce wszędzie w znanych mi szumnych komitetach dobroczynności.

— Czy od czasu wprowadzenia tego systemu naddatki nie zdarzają się mniéj często?

— Owszem, nawet częściéj, nim przedtém; to dowodzi, że społeczeństwo nasze jest zawsze chętne do ofiar.

— Czy żaden z kolegów tutejszych nie poszedł w wasze ślady?

— Dotąd ani jeden, lecz nic dziwnego: jak wspominałem, oni czasem tylko i to chyba we śnie myślą o tém, że są przedewszystkiém lekarzami.

— To może ja pierwszy będę wyznawcą tego dobrego przykładu — mówił powstając Modlibor i w serdecznym uścisku ujmując na pożegnanie dłoń kolegi.

— Powoli, powoli, żebyście późniéj nie potrzebowali się cofać. Do widzenia prędkiego! Ale, ale... — przypomniał, wybiegając do przedpokoju — nie staraj się, proszę, o mieszkanie i wogóle nic nie postanawiaj jeszcze przez dni parę.

Nie potrzebował Modlibor tego przypomnienia, gdyż przez następne dwa dni, siedząc w numerze hotelowym, lub téż chodząc po mieście dla poznania się z niém, przerabiał w myśli wszystko, cokolwiek słyszał od Możdżewskiego, usiłując wytworzyć i dla siebie jakiś program przyszłéj działalności.

A praca to była nie małoważna, należało bowiem odrazu przy rozpoczęciu téj działalności wyjść z punktu, jasno określającego jego stanowisko, jako lekarza, w stosunku do publiczności—przyszłych pacyentów.

Sumiennie więc mózgiem i sercem pracował, a jednak w ogólnych zarysach, te „warunki" kolegi zostały nietknięte, myślał tylko o konieczném może zniżeniu stopy wynagrodzenia na początek. Ogólna etyka, wyznawana przez Możdżewskiego, jako lekarza, miała dzi-

wną siłę przyciągającą i przypadła mu najzupełniéj do przekonania. Dziwił się tylko, dlaczego mu wprzód nigdy to wszystko na myśl nie przyszło, choć teraz po dwóch dniach przetrawienia już mu się czasem zdawało, że chyba inaczéj nie mogło być na świecie, i że taki program jest już jego dawną, wypróbowaną własnością.

Z krótkich wiadomości od gospodarza hotelu, Cynobra, który go już dawno po przyjeździe pośpieszył odwiedzić i następnie codzień po razy kilka zaglądał, ofiarując swoje usługi i jeszcze kilku przygodnych znajomości, dowiedział się, że Możdżewski budzi powszechny szacunek dla siebie, a nawet jakby trochę jakiéjś obawy, a tu i owdzie posiada szczerą sympatyę wśród uboższéj ludności. Mówiono tylko, że jest odludek i dziwak; lecz te zarzuty w oczach Modlibora były raczéj zaletami, gdyż i one zbyt wymownie do jego gustów przemawiały.

Podczas krótkich wycieczek po mieście już był nad wyraz znudzony i znużony tém natrętném zaglądaniem w oczy, temi badaniami faktorów i faktorek, nagabywaniem sprzedających w sklepach, do których zachodził, a nawet i oficyalną indagacyą, przeprowadzoną przez strażnika miejskiego, w pełnym uniformie składającego mu wizytę w hotelu.

Czuł już przedsmak dusznéj, małomiasteczkowéj atmosfery towarzyskiéj i przeciw pochłonięciu przez nią postanowił odrazu walczyć z całych sił natężeniem. Intuicyjnie przeczuwał, że każdy krok na początku słabo lub nieoględnie postawiony może go wprowadzić na drogę... ogłupienia i indywidualnéj anestezyi. Trzeciego dnia wieczorem odwiedził go znów Możdżewski. Już zaraz po przywitaniu zapowiedział swój wyjazd z Pultowii na dwa tygodnie. Modlibor nie śmiał pytać o przyczynę.

— Zastąpcie mnie, kolego, do powrotu u moich chorych. Będzie to łaska z waszéj strony, bo wyjadę spokojniejszy o moją gromadkę.

— Jaknajchętniéj, rad jestem, że zdobędę zajęcie tak upragnione, bo już do książek musiałem uciekać przed natręctwem pultowian.

— No, może już chorzy?

— Chorzy... na ciekawość, któréj ja nie myślę zaspokajać.

Możdżewski poprosił Modlibora o przeniesienie się zaraz jutro do jego mieszkania na cały czas swojéj nieobecności i, otrzymawszy zapewnienie, pożegnał go pośpiesznie.

Do przymiotów „rozumny” i „rzadki”, jakiemi chrzcił Modlibor kolegę od pierwszéj chwili poznania, teraz w myśli dodał: „i zacny ten dziwak”.

Raniutko dnia następnego wraz z tłomoczkami stawił się w ganku oszklonym, gdzie go uprzejmie powitał siwowłosy Piotr, już tytułując „panem doktorem”.

— Nie pytam cię, kolego, teraz, czy uznajesz moje „warunki”, bo ich odrzucić na te dwa tygodnie, jako zastępca, nie możesz. Życzę więc powodzenia i pogodzenia ostatecznego. Piotr i Stanisławowa będą tu o was pamiętać.

Tadeusz niezwłocznie rozpoczął przyjmowanie chorych, a gdy skończył, dowiedział się od Piotra, że gospodarz już od dwóch godzin wyjechał.

Dobrze szło wszystko pod nieobecność Możdżewskiego. Tadeusz już wkrótce zapoznał się bliżéj z Piotrem i Stanisławową, dowiadując się powoli drobnych szczegołów o życiu Romana.

Przyjechał do Pultowii przed dwudziestu przeszło laty i zaraz przyjął do służby Piotra, Stanisławowa dopiéro w rok późniéj objęła obowiązki kucharki-gospodyni. Zamieszkał w tym samym domu, a w pięć lat późniéj nabył go na własność od wyjeżdżającego urzędnika z sądu, wraz z całym ogrodem, schodzącym aż nad brzeg Narwi i drugim domem, w głębi ogrodu umieszczonym. Dom ten teraz zajmuje podżyłe małżeństwo, on chodzi z gwiazdką na czapce, a ona taka brzydka, tłusta i czerwona; on, często pijany, wraca późno do domu, zaś w zimie niedawno złamał młodą gruszę, przez doktora zasadzoną i nią bił po sztachetach ogrodzenia, krzycząc, że go... mordują; ona, jeszcze w lecie, kilka razy zerwała po parę róż z krzaków ulubionych doktora. Doktór im teraz wymówił mieszkanie i wynoszą się za tydzień.

Nie taki on zawsze, jak teraz, jakiś smutny i nie towarzyski. Coś przed dwunastu laty, jeździł często najętą pocztą do Rudy; upodobał sobie pannę Annę, córkę właścicielki-wdowy. Panna była pono mu rada, a matka, to już jak syna go zawsze witała. Był tam jeszcze i brat starszy, nic dobrego, utracyusz, niby-gospodarz na folwarku, a stały gość w mieście. Takie to tam było i gospodarstwo.

Już był nawet coś po roku téj jazdy do Rudy, i dzień ślubu naznaczony i wyprawę szykowano pośpiesznie, kiedy gruchnęło po mieście, że nowy doktór, pan Śniegocki, przyjechał do Pultowii. Było to w zimie, Ruda od miasta niedaleko, panna Anna więc często bywała to na wieczorach tańcujących, to na przedstawieniach teatru amatorskiego, raz będąc widzem, a drugi i sama występując, to na ślizgawce wreszcie, urządzanéj corocznie na odnodze Narwi.

Żegnała swoją panieńską swobodę, jak mówiła.

— Ale my to z Piotrem — kiwała głową żałośnie Stanisławowa, ciągnąc opowiadanie —dorazuśmy odgadli, co ta nic dobrego nie wyńdzie z takiego żegnania tego, coć przecie gdzieś nie uciekało za góry i lasy.

— Piękne to było żegnanie — ciągnęła w parę godzin późniéj, trzęsąc głową i czépcem Stanisławowa — kiedy nasz pan to co dnia przychodził do domu smutniejszy, a nieraz długo w noc gadał cosik ze sobą!

Odtąd jeździł do Rudy rzadziéj, ale jeździł i to zawsze pocztą, a ten Śniegocki, to tam także dojeżdżał, ale parą rączych siwków w brzękadła przybranych, w malutkie sanki uprzężonych, z niedźwiedziem na woźnicy i fartuchu.

No i był ślub w czasie oznaczonym. Panna Anna wyszła za doktora Śniegockiego, a Możdżewski... został i nadal tylko z Piotrem i Stanisławową.

Krótkie, ale smutne dzieje jednego serca ludzkiego!

Tadeusz z serdeczném współczuciem dołożył przymiotnik „biédny" do liczby innych, już niemal przyrosłych do imienia... dziwaka.

Oczekiwano go od dwóch dni. Tadeusz kompletował listę chorych i notatki o szczegółach choroby i kuracyi, Stanisławowa z tryumfem przygotowywała się do zażądania nowéj, znacznéj liczby biletów dla swoich protegowanych biédaków, a Piotr przez pół dnia codzień grzebał się w ogrodzie, troskliwie wyjmując z zimowego spowicia ukochane przez pana sztamowe róże i mocując ich zwątlałe snem długim łodygi do wbijanych palików.

Słońce z dniem każdym coraz jaśniéj, coraz radośniéj biło promieńmi w powierzchnię ziemi, w ludzi, zwierzęta i rośliny, gubiąc zimy martwotę, a siejąc hojnie ruch, życie i wesele dokoła.

Narew huczala u podnóża ogrodu, napróżno bijąc falami o dość wyniosłe wzgórze; za to z przeciwnéj strony, nie spotykając zapory, szeroko rozlała się hen! tam po łąkach i smugach, roznosząc resztki brył lodowych, tak długo ją w niewoli więżących, i tu i owdzie, pieniąc się, skrzepami mętów i brudu, powstałych z usilnéj i gwałtownéj pracy, poruszającéj jéj nurty do tajemniczych głębin. Młode drzewa i dzikie i owocowe, nieśmiało puszczały pędy, długo nabrzmiéwając pączkami liści i kwiatów, nimby się choć trochę wzmocniły dla zniesienia wiosennych wiatrów i przymrozków. Jakże zabiegliwą i rozumną jest matka przyroda!

I dziś, jak od dni kilku, Piotr ruszył przed pocztę o południowéj godzinie na spotkanie oczekiwanego dyliżansu od kolei.

W godzinę późniéj wracał z tryumfem, niosąc za panem tłomoczek podróżny i wołając już zdala na Stanisławową o obiad dla pana.

Tadeusz witał Możdżewskiego na ganku, nie mogąc ukryć prawdziwéj radości na widok téj miłéj twarzy... dziwaka.

— No, jakżeż tam? wszystko dobrze i pieniędzy huk, a chorych zatrzęsienie?

— Przyjąłem przez dwanaście dni w domu stu czterech, na mieście zrobiłem wizyt czterdzieści siedm, a sześć razy wyjeżdżałem na okolicę—razem godzin dwadzieścia dziewięć.

— Oho! znać nowicyusza, tak dobrze na pamięć wszystko pamiętacie!—śmiał się Możdżewski.

— Jest to mój obowiązek, gdyż jestem tylko czasowym depozytaryuszem i waszych pieniędzy i waszego stanowiska w społeczeństwie tutejszém.

— Po tém o tém, a teraz niech nas Stanisławowa weźmie pod swoją opiekę—mówił, ujmując ramieniem szyję staruszki, chylącéj się dla ucałowania jego ręki. — Mówiłem wam tyle razy, moja Stanisławowo, że to nie wypada, ażeby wdowa tak familiarnie witała kawalera, choćby nawet tak starego jak ja; jeszcze nas ludzie ogadają.

— A co? — mówił, ujmując Modlibora i prowadząc pod ramię do pokoju jadalnego — może teraz, po kilkunastodniowéj praktyce, nabraliście ochoty do dalszego zastępstwa? tak... nazawsze gdyby?

— A pan, a wy z czém zostaniecie?...

— Jak mówiłem koledze, od lat paru noszę się już z myślą porzucenia praktyki, a jeśli tego dotąd nie zrobiłem, to prawie jedynie dlatego, że może téj mojéj dwuzłotowéj gromadce byłoby dziś trudno rozsypać się między wielkich doktorów. Ty, kolego, chcesz być lekarzem, i nim będziész w dobrém i szerokiém znaczeniu tego zadania, ja się nie mylę tym razem... weź więc ją odemnie, tę gromadkę szarą i ubogą, a ja dla rozmaitości, zostanę rentyerem i... doktorem.

— Ależ to ofiara, i to ogromna, ja jéj przyjąć nie mogę! — zakrzyknął Tadeusz.

— To frazesy, a nie odpowiédź! Wszak oddam ci tylko to, co dla mnie z chwilą raz powziętego postanowienia raz przestać już istniéć musi, a jeśli służy mi prawo moralne wyrażenia tu jakiéjkolwiek woli, to chętnie przekażę mych chorych tobie, kolego, naturalnie, o ile i sami chorzy na to się zgodzą.

— Ależ kolega jeszcze może i powinien pracować, to dezercya... ze szkodą ogółu!

— Oj! dawno mi już ta praca przyciężka... a życie zasmutne!... Zresztą, tu będzie miała miejsce tylko zmiana rodzaju pracy; ta nowa, do któréj przystąpię, może być, a nawet powinna być może jeszcze więcéj korzystną dla ludzi, choć nie bezpośrednio, jak dotychczasowa. Więc to nie dezercya! Dla mnie za to będzie już mniéj stanowczo, bo nie jestem pewny... i sił mych, potrzebnych do końca... a może i owoców doczekać... będzie za trudno. Siadajmyż choć raz już do stołu, bo żal mi téj Stanisławowéj, która w czasie naszéj rozmowy drepce dokoła podanéj wazy, jak kura na widok kacząt, puszczających się na wodę.

— Wolne żarty pana doktora — mówiła udobruchana staruszka, śpiesząc z rozlaniem zupy w talérze.

Przy obiedzie rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych. Modlibor szczegółowo opisywał dzieje ostatnich lat fakultetu lekarskiego w Warszawie, a Możdżewski słuchał uważnie i tylko od czasu do czasu krzywił się jakby niechętnie.

Ku końcowi Możdżewski zaproponował toast braterstwa, a Modlibor ochoczo pośpieszył na wezwanie.

— Podobałeś mi się odrazu, kochany Tadeuszu, i z serca rad ci jestem pod mym dachem, przy mym stole.

— Błogosławię tę chwilę, kiedy cię poznałem, ty najlepszy z dziwaków, czyż mogłem przypuszczać, że tu, w Pultowii, już tak prędko znajdę dobrego przyjaciela!

— Więc zostań, jeśli cię moje bycie lekarskie nie razi, wlecz je naprzód i daléj, a może i ludzie na tém coś zyszczą. Wierz mi, jam już bardzo stary... tak mało już się spodziéwam od życia... coraz mi trudniéj o chwilę radości... o szczyptę zapału! I cóż dziwnego, że tę wydeptaną ścieżkę, tak nieraz wspomnieniami dla mnie bolesną, tobie, koledze i przyjacielowi oddaję w chwili, kiedy ją muszę bezpowrotnie porzucić!

— A ty cóż z sobą zamierzasz? Mamże, zyskując może praktykę, stracić jednoczeście przyjaciela!

— A! nie, ja tu w Pultowii do końca życia na stałe zostanę, chyba tylko na kilka miesięcy co rok wybiegnę do większych księgozbiorów dla poszukiwań i badań. Widziałeś mój drugi domek w ogrodzie? tam w krótce zamieszkam, a tobie wraz z chorymi ten dom odstępuję za dobre piéniądze. Będzie tak lepiéj i dla mnie, bo tam mi będzie spokojniéj i zaciszniéj, i dla moich drzew i kwiatów, które miéć ciągle będę już odtąd na oku.

— Romanie! to niemożebne, cóż cię za gorycz opanowała? Mogęż ją wyzyskać z tak wyraźną szkodą dla ciebie?

— Z korzyścią tylko, bo będę miał w tobie dobrego lokatora, gdyż mam nadzieję, że mi drzew łamać i kwiatów zrywać nie będziesz, a zapłacisz mi dwieście czterdzieści rubli rocznie, t. j. tyle ile zaledwie mógłbym otrzymać za odnajęcie tego domu innemu. Jeśli mi chcesz zrobić prawdziwą przyjemność — kończył, silnie ściskając wyciągniętą dłoń Tadeusza — to już o tém ani słowa. Pomówmy raczéj o twojém przyszłém zarządzeniu się tutaj. Czy masz jakie zasoby?

— Trochę książek, narzędzi, bielizny i odzieży — w gotówce sześćdziesiąt rubli.

— To niewiele, bo razem z zarobioną seciną nawet na najlichsze umeblowanie nie starczy. Mógłbym ci i w tém bardzo łatwo dopomódz, ale tego nie zrobię; zawołaj Cynobra, daj mu spis wszystkiego, co ci jest potrzebne, wytarguj się aż do zgniéwania imci Cynobra, daj sto rubli zaliczki, a na resztę kwit do spłaty półrocznéj z doliczeniem dziesięciu procentów. Tak będzie najlepiéj. Odrazu całe miasto dowié się, żeś biédak, stracisz może kilku pacyentów z tego powodu, to i lepiéj... powodzenie cię nie popsuje, a ludzie ci głowy i serca nie stumanią, straty zaś małe łatwo pracą w przyszłości pokryjesz. Od jutra więc ruch!...

— Zgoda, mój mistrzu! Jakżebym rad cię moją pracą, mém życiem całém zadowolnić!

Roman zamilkł, pogrążony w głębokiéj zadumie.

Tak... ruch!... życie!... Wszystko dokoła rwie się naprzód, a on?... dobrowolnie lézie w skorupę ślimaczą! .. Niech tam!... A może nauka?...

— Przyznaj się, Tadeuszu, pewno przy tych maluczkich zasobach i dyplomie w kieszeni, masz już o wiele większe zobowiązania?

Tadeusz spłonął, jak nie-lekarz i nie-mężczyzna z taką wielką czarną brodą.

— Cha, cha! a więc zgadłem?

— Muszę dopomagać siostrze w wychowaniu dzieci i... takie malutkie, malusieńkie jakieś „i”.

— A więc: i?

— Przed pół rokiem zaręczyłem się ze śliczną...

— Rozumną, najmilszą i najszlachetniejszą.

— Zgadujesz trafnie, taką właśnie pannę Maryą, z którą połączenie się... jest dla mnie prawie celem życia w téj chwili...

— To dobrze, że tylko „prawie”, a nie całym celem, to może dłużéj odemnie zostaniecie dobrym lekarzem, bo ja... to... także niegdyś taki cel miałem... a dziś już muszę—zostać doktorem...

Milczał czas długi. Tadeusz nie mógł z siebie wykrztusić ani słowa współczucia, wobec tak wielkiéj i prawdziwéj boleści, któréj akt, może czwarty z kolei, przewijał mu się przed oczami, a piąty i ostatni zdawał się grozić... aż hen tam, kędyś w tajemniczém jutrze... jednako smutny. Niemal karykaturalne rysy Romana zadrgały skurczem bolesnym, a oczy, zawsze bystre i przenikliwe, mgłą się powlekły. Rozszalałe nerwy pod wrażeniem dotkliwego bólu stoczyły już po raz nie wiedziéć który bój tytaniczny z potęgą ducha tego człowieka, i... jeszcze raz legły u nóg, pełzając, lecz nie pobite, nie uspokojone, tylko na chwilę przyczajone, by przy zdarzonéj sposobności z nowemi siłami wybuchnąć.

— Posag czy bierzesz? — ciągnął Roman głosem cichym i złamanym.

— Tylko w uczuciach.

— I wiele i mało. Jako mąż przyszły, którąż więc z dwóch dróg obrałeś, czy malthuzyanizm małżeński, czy może znaczne zwiększenie proletaryatu, i tak u nas zbyt rozwielmożnionego?

— Romanie, co mówisz!? czyż tylko te dwie drogi przed każdém małżeństwem się ścielą.

— Nie przed każdém; dla bogatych istnieje trzecia, jedynie bezpieczna — odradzania się w potomstwie z przekazaniem nabytków cywilizacyi, o ile para takiemi nabytkami może się pochlubić. Do bogatych zaliczam i tych, którzy, jak nasi włościanie naprzykład, już w dziesiątym roku życia pasaniem świń zarobkują na swoje utrzymanie. Ale ci, niestety! niewiele chyba mają do przekazania.

— To—potworne, co mówisz; lecz tak nie jest na szczęście!

— Rażą cię słowa, jasno sformułowane, nie zaś rzecz sama — przyznaj to otwarcie; przyznaj się również, że nigdy zupełnie poważnie o tém nie myślałeś.

— Przyznaję, że w takich barwach nigdy nie widziałem przyszłości. Mówią, że tylko zamożne pary mają racyę bytu, a wskaż mi, proszę, fortunę tak stałą, firmę tak „solidną”, którychby klęski losowe nie obaliły, którychby podłość ludzka lub tylko walka o byt, nie podkopały? Wskaż mi również drogi dobre, uczciwe i szlachetne, po których idąc młodzież płci obojéj, ma znaléść wynagrodzenie za to lekceważone, a sobie wrodzone poczucie szczęścia w dobraném małżeństwie? Napróżno skostniałéś w swéj ciężkiéj boleści. Jeden zawód życiowy, jedna próba nieudana, wykoleiły cię do tyla, że kładziesz cyfry na miejsce wszystkiego, co może życie ozdobić, robiąc je względnie szczęśliwém! Marne wysiłki! jeśli każde wspomnienie téj straconéj drogi, téj jedynie ukochanéj, rani cię dziś i ranić będzie

zawsze!... Nie przeczę, że na tych dwóch drogach, przez ciebie wskazanych, kroczy wiele małżeństw i to, o, hańbo!... małżeństw, głoszących miłość, poszukiwanie ideałów, pracę dla ludzkości i t. p.! Małżeństwa bezdzietne z wyrachowania — to szczyt najwstrętniejszego egoizmu, to zwyrodnienie moralności ogólnie ludzkiéj, pokryte maską udanéj troskliwości o przyszłe pokolenia. Jestże matka tak głupia, by wierzyła, że jéj trzyletnie dziecię samo z siebie uczuje się nieszczęśliwém z powodu braku modnéj sukienki; jestże ojciec tak ślepy, któryby wierzył, że rodzą się synowie już z gotowém pragnieniem karyery? Mąż demoralizuje żonę, zwykle dopiéro przez niego o téj, rzekomo wielkiéj konieczności powiadomioną, żona w najszczęśliwszym razie zapamiętywa się w bezmyślnym pościgu za urojonemi dążnościami szerszych horyzontów, albo téż brodzi w salonowéj rozpuście — to są owoce obrzydliwego rachunku.

Tadeusz już od niejakiego czasu, rozgorączkowany, biegał po pokoju, Roman milczał, uważnie badając przyjaciela.

— Ależ nie powiedziałeś nic jeszcze, co ty wybiérasz, skoro odrzucasz drogi przezemnie wskazane?

— Wybrałem już dawno: miłość i pracę, pracę i miłość. Jeśli zaś legnę w pół drogi życiowéj, nie zdoławszy zapewnić dobrobytu dla mojego potomstwa — to będzie tylko wypadek, nie zaś ogólna zasada, a wypadki powinna brać na swój rachunek społeczna zabiegliwość i opieka. Ja umrę bez chwały, ale... i bez zarzutu tych win, które mi stawiasz przed oczy. Żadne prawo nie skazuje na potępienie człowieka, który nie zdołał opanować tak nieuchwytnego objawu życiowego, takim jest śmierć.

— Przestańmy, Tadeuszu! Twój zapał, twoja wiara... są cokolwiek zaraźliwe... rób ty swoje, a ja... jeszcze będę próbował tego filozoficznego macania... by trafić na znośną choćby drogę życia...

— No, Romanie! ruch... życie!... a może mi wkrótce przyjdzie zwrócić i mieszkanie i pacyentów?

— Nie żartuj, a...bądź... bardzo szczęśliwy...

Ujęli się w długim serdecznym uścisku.

II.

Piękna, złocista jesień darzyła ludzi obfitemi plonami. Za znój, za trudy, każdy, ktokolwiek brał udział w podtrzymywaniu, zasilaniu, ub nawet choćby tylko w spostrzeganiu zadziwiającéj siły wzrostu

przyrody, czerpał, czerpał teraz pełnemi garściami z pola, wód, lasu i ogrodu.

Pultowia, obfitując w ogrody owocowe, jakby wieńcem okalające ją ze wszystkich stron aż do brzegów Narwi, stanęła w krasie bogactwa i imponującego wdzięku tychże ogrodów. We wszystkich kierunkach, w najdalszych i najciaśniejszych miasta zakątkach, przez okna, bramy i płoty widziéć było można drzewa, obciążone owocem wszelkich odcieni barw, począwszy od blado-żółtéj, aż do ciemno-amarantowéj i granatowéj. Żółknące liście, miejscami przybiérające brudno-ceglaste zabarwienie, potęgowały wrażenie obfitości, mnożąc pozornie aż do nieskończoności ilość owoców na drzewach.

Cieszyli się pultowianie, ciekawém okiem badając brzegi Narwi, przy których tu i owdzie już ukazywały się mniejsze galary, szukające ładunku owocowego. Zwolna ruch się coraz bardziéj i w przystani i w ogrodach ożywiał, a pultowianie święcili czas swojego żniwa, śląc jabłka, gruszki i śliwki na rynki stolicy.

Tylko Narew, już spokojna w jesieni i jakby senna, obojętnie toczyła swe nurty, umiejscowione w stałém, skromném łożysku, nie biorąc żadnego udziału w codziennych zabiegach pultowian.

Ogród doktora Możdżewskiego pięknemi zbiorami szlachetnych swych odmian przodował wśród innych, choć niewiele sprzedawał. Możdżewski, który niemal własnoręcznie każde w nim drzewko zasadził i przez długie lata pielęgnował, nie chciał się nigdy zgodzić na gospodarkę w ogrodzie chciwego przekupnia, w ślad za którym poszłyby wkrótce pustka i zniszczenie. Wolał więc mniéj zyskiwać, a dłużéj się cieszyć owocowaniem swych wychowańców. Co rano, Piotr przy pomocy takichże jak sam, dwóch siwowłosych weteranów, ostrożnie zdéjmował z drzew starszych potrosze owocu i kilka koszów sprzedawał za bramą ogrodu oczekującéj tam biédnéj jakiéjś wdowie, która z rozsprzedaży drobnéj na mieście ciułała grosze na utrzymanie kilkorga drobnéj dziatwy.

Możdżewski więc prawie nie spostrzegał strat w ogrodzie, a to témbardziéj, że Piotr przy rannéj grabieży starannie omijał drzewka najmłodsze, ale już owocujące, które cieszyły się największemi względami pana doktora.

Pięć lat już z górą upłynęło od czasu osiedlenia się Modlibora w Pultowii i dobrowolnéj bezczynności Możdżewskiego na lekarskim deptaku w mieście. Tadeusz już w pierwszym roku pobytu zaślubił swoją Maryę i stale zamieszkiwał w domu Romana. Obadwaj dochowali święcie aż dotąd, przed laty zawartéj przyjaźni, choć warunki życia każdego z nich ułożyły się całkiem odmiennie.

Tadeusz, przyjąwszy z rąk przyjaciela jego praktykę lekarską, nietylko jéj nie utracił, lecz owszem znakomicie powiększył i dziś był najczynniejszym z lekarzy-praktyków w Pultowii. Miło mu było widzieć zadowolenie Romana, że „warunki" jego nienaruszenie zachowane wydały tak dobre i pożądane rezultaty. Roman po zupełném usunięciu się od praktyki, cały swój czas dzielił między książki, ulubiony ogród i wiernych przyjaciół.

Aż dotąd Tadeusz zwyciężał, lecz to nietylko nie oziębiło stosunków przyjaźni, lecz owszem zacieśniało je coraz bardziéj. Sceptycyzm Romana i jego rachunkowa rozwaga, bite co krok w praktyce naocznéj życiowéj, milkły stopniowo coraz bardziéj... coraz chętniéj może.

A Roman nietylko nie bolał nad tém, lecz, owszem, zdawało się, coraz radośniéj witał nową porażkę.

Apostołowane przez Tadeusza miłość i praca, wydały już dla niego widoczne i małe rezultaty. Dziś właśnie 8 września obchodzoną będzie uroczystość piątéj rocznicy zaślubin z ukochaną Maryą i zarazem imieniny téj najlepszéj z żon.

W uroczystości miały już przeznaczone swoje nie najmniejsze role dwie śliczne dziewczynki, czteroletnia Zosia i dwuletnia Krysia, córki Modliborów.

A Możdżewski jak przed pięciu, jak przed dwudziestu pięciu laty, żył w otoczeniu wiernych mu zawsze — Piotra i Stanisławowéj. Zrazu było mu z tém dobrze, lecz zwolna, stopniowo, rodziła mu się w mózgu jakaś czczość życia, a w sercu próżnia, bolesném echem dająca znać o sobie co dzień, co godzina, coraz częściéj, przy każdéj, by najmniejszéj okoliczności. Napróżno z początku usiłował zrozumiéć ten stan jakiegoś bezładu własnego, napróżno wytężał całą uwagę w kierunku pracy podjętéj i programu, z góry nakréślonego, fałszywe nuty coraz częściéj wplatały mu się w sztucznie zlepioną harmonię życia i coraz dotkliwiéj budziły do refleksyi. Kiedy Tadeusz zamieszkał z młodą żoną we frontowym domu, niezwłocznie zapoznał ukochaną Maryę z jedynym w Pultowii swoim przyjacielem.

Marya powitała go z całém wylaniem szlachetnéj i wdzięcznéj natury kobiécéj, ale Roman pozostał zimnym tylko obserwatorem. I przez czas długi, bez względu na usilne starania Tadeusza, trzymał się zdala od młodéj pani z frontowego domu, ironiczném niekiedy spojrzeniem śledząc zakochanych małżonków, spacerujących pod jego okiem w ogrodzie.

— Stara, jak świat, pieśń żywéj miłości, śpiéwana na nowy, niby oryginalny i lepszy temat dwojga pragnień i pożądań!

Lecz miesiące, za niemi lata szybko biegły, miłość Tadeusza i Maryi nie wygasała, nie słabła, przechodząc jednak w coraz to nowe, mniéj jaskrawe, lecz coraz cieplejsze i piękniejsze tony.

Po krótkiéj epoce dziecinnych niemal i bardzo ciasnych wzajemnych zachwytów, miłość ta własną, samodzielną prężnością wydobyła się z krępującego, nawskroś egoistycznego, choć „we dwoje" spowicia i coraz to szersze zataczając koła, poczęła się wplatać w życie najbliższego otoczenia, w życie społeczne i wszechludzkie. A ten pochód raz rozpoczęty, obiecywał być trwałym i w plony bogatym. Nie była to więc para, samiec z samicą, w przygodnym doborze połączona i podéjmująca pracę marną, jedynie stworzenia własnego gniazda wśród téj lub innéj gromady ludzi, lecz dwoje ludzi, świadomych dróg życia i celów, łączących się we wspólną całość—dla dalszego i lepszego, skuteczniejszego pochodu.

Roman patrzał i obserwował starannie. I oto dziwił się zrazu niemało, późniéj od czasu do czasu zapadał w stan zupełnéj apatyi wśród ścian swojego gabinetu i laboratoryum, a w końcu zbliżył się do Modliborów, powitany przez nich radośnie i z utęsknieniem.

Nareszcie więc uwierzył!

Szkoda tylko, że cokolwiek zapóźno, bo już włos siwy, choć nieliczny jeszcze, srebrzył się na głowie i w bujnéj, zawsze imponującéj brodzie, a cała postać zlekka pochyliła się naprzód, zapewne od ciągłego ślęczenia przy biurku.

Uwierzył w to, na co od początku patrzał własnemi oczyma i co badał z całą ścisłością w ciągu trzech lat z górą; więc ta wiara musiała być silną i mogła zrodzić poważne następstwa przy sprzyjających okolicznościach.

Ale wtedy zjawiła się nowa, może równie groźna nieprzyjaciółka—ta pustka w sercu, któréj nie byli w stanie zapełnić ani Tadeusz z żoną i dziećmi, ani stary Piotr ze starszą od siebie Stanisławową.

W życiu, jakie Roman prowadził, wolny był od trosk i kłopotów, żadna klęska nie mogła zburzyć tego skromnego istnienia, lecz za to życie to było tak szare, tak bezbarwne, tak jeszcze nie licujące z tym ogromem sił, jakiemi rozporządzał!

Zdawało mu się przed laty, kiedy, wyczerpany męczącą, całodzienną pracą przy chorych, siadał w swym gabinecie, że nauka może przynajmniéj wypełnić dalsze jego życie, a tak się nie stało. Ona wielka i wspaniała, sama jedna tylko zamknięta z Romanem w zaciszu biblioteki lub laboratoryum, prawda, łatwo go wzięła w swoje nieograniczone posiadanie, lecz równocześnie chłonęła z tego swojego oblubieńca całą soczystość jego żywéj, bogatéj w uczucia ludzkiéj na-

tury. Wzięła go, jak niewolnika, a nie jako pełnego życia, ochoczego szermierza.

Raz tylko, coś tak przed rokiem, Roman ożywił się nagle. A stało się to wtenczas, kiedy Pultowia zawrzała na wieść o samobójstwie powszechnie znanego doktora Śniegockiego. Dzieje były dość smutne, choć do pewnego stopnia łatwo dające się przewidziéć.

Po raz czwarty zdobyty majątek Śniegocki zaprzepaścił w ryzykownéj spekulacyi, z Rudy nie mógł spodziéwać się ratunku, bo ta lada dzień mogła być rozszarpaną przez wierzycieli, w żonie nie znalazł dźwigni moralnéj, o czém nigdy aż dotąd nie miał czasu pomyśléć, stracił więc prawdopodobnie wiarę, by mu się los jeszcze zechciał kiedy uśmiéchnąć, stracił więc jednocześnie najdroższe z nielicznych swych aspiracyi... i pozbawił się życia, które już mu nic nie obiecywało.

Możdżewski dostał gorączki, dla uléczenia któréj został sprowadzony... Cynober. Krył się odtąd najbardziéj przed mieszkańcami domu frontowego, choć ci odgadując przez pół powody gorączki, odrazu stanęli dyskretni na stronie. Roman nie zdawał sobie sprawy nawet sam przed sobą, że wobec tych dobrych i znających go przyjaciół, ogarniało go wtedy jakieś uczucie niezrozumiałego... zażenowania, którego ani trochę nie uczuwał—z Cynobrem.

Cynober, raz przywołany, zjawiał się regularnie co dzień po kilkakroć i z miną drwiąco-tajemniczą spoglądał na zawsze dla siebie niechętnego Piotra. Dom Możdżewskiego może jedynym był dotąd w Pultowii, którego drzwi były dla niego stale zamknięte, a jednak teraz i te stanęły mu otworem. Mógł się czuć dumnym i był nim téż w istocie.

Dzięki tym częstym, poufnym naradom w gabinecie, każdy czyn, każda myśl, zda się Śniegockiéj, były wiadome Możdżewskiemu, którego gwałtowna gorączka zamieniła się w stan naprężonego oczekiwania.

Grubą żałobą okryta osamotniona wdowa, niepodzielnie oddała się żalowi po stracie męża. Tak, „oddała się” żalowi, a nie on ją uchwycił, i Możdżewski, o tém nie wątpiąc, usprawiedliwiał ją chętnie, przez lata całe patrząc na jéj pożycie ze Śniegockim.

Powszechna opinia pultowian głosiła, że dwadzieścia dwa lata taczki bezdzietnego pożycia małżeńskiego prześliznął się lekko po pięknéj jeszcze postaci i twarzy czterdziestoletniéj wdowy.

Czyżby i ten wzgląd kokietował biédnego Romana, wydziérając go z objęć książki, rękopismu i retorty!

Lecz otoczenie Śniegockiéj nie uszanowało jéj żalu i przymusowego spokoju. Zjawili się liczni wierzyciele, nie opłaceni przez Śniegockiego, i zażądali od wdowy obrachunku i pieniędzy. I o jedno i o drugie trudno było w domu zmarłego spekulanta. Stąd hałas i krzyk powszechny, wzniesiony przez cały legion niecierpliwych i zawiedzionych.

Drażliwa opinia pultowian podzieliła ich na dwa nierówne odłamy, z których prawie mały stanął po stronie pokrzywdzonéj wdowy, większy w najlepszym wypadku, zachowując się obojętnie, wyczekiwał rychłego, a łatwo dającego się przewidziéć rozwiązania — smutnéj likwidacyi wszystkiego, co miało jakąś wartość, a co stanowiło spuściznę po zmarłym i... ewentualną oprawę biédnéj wdowy.

Lecz rezultat wypadł całkiem i przez nikogo nieoczekiwany.

Mieszkańcy Pultowii wkrótce ze zdumieniem spostrzegli, że te czarne, brodate, a do pasa uszargane w błocie miejskim postaci, coraz rzadziéj i mniéj licznie zjawiają się przed domem Śniegockiéj. Oczekiwano klątw, skarg i procesów — napróżno. Ten i ów, zapytany, objaśniał, że jest zapłaconym i milczał dyskretnie. Coby to było?

Nikt nie domyślał się, poco każdego wieczora wiódł Cynober po dwóch, po trzech ze swoich współbraci do samotnego domku Możdżewskiego, stojącego na uboczu. Jeden Piotr tylko może coś wiedział, lecz milczał i, choć ze wzrastającym gniéwem, puszczał żydów do gabinetu pana, bo tak chciał ten „pan doktór", a to było dla niego prawem już od tak dawna. Jednocześnie i dom Śniegockiéj i ten domek samotny w ogrodzie, zostały uwolnione od niemiłych i niezwykłych gości.

Możdżewski trochę się uspokoił, dumał tylko ciągle, może jakieś plany układał i... czekał.

Po czterech miesiącach doczekał się nareszcie...

Cała Pultowia nanowo zakipiała wieścią o tajemniczém zniknięciu Śniegockiéj z młodym wojskowym, który został przeniesionym w głąb Rosyi.

Możdżewski teraz już rzeczywiście zachorował.

Napróżno serdecznie tem dotknięty Tadeusz po kilkakrotnie usiłował przedrzeć się do łóżka przyjaciela, Piotr niemal ze łzami wzbraniał mu tego, powołując się na wyraźny rozkaz pana doktora

Długo pasował się i cierpiał biédny Roman, zanim ucichły i zległy się te bóle szalone, które szarpały zarówno ducha i ciało. Aż wreszcie po trzech tygodniach powstał zgnębiony, bardziéj smutny i mizerny i poszedł po raz pierwszy odwiedzić przyjaciół w domu frontowym.

Wtedy to po raz pierwszy Modliborowie spostrzegli te srebrne nici we włosach i brodzie Romana. Nie śmieli go pytać o nic, bo i zresztą nie potrzebowali tego, łatwo dopełniając w myśli całość z pozbiéranych spostrzeżeń, Roman zaś milczał zawzięcie. Serdeczny ból zaciskał mu zęby i ubezwładniał język.

Wspomniał, że prawdopodobnie Pultowię opuścić będzie zmuszony, a więc i domu wspólnie zamieszkiwanego się pozbyć. Zaproponował, by od niego dom nabyli, bo inny właściciel mógłby ich usunąć z zajmowanego mieszkania, a to by mogło zaszkodzić praktyce Tadeusza.

Modliborowie w zasadzie zgodzili się bardzo chętnie, lecz brakowało im piéniędzy: wielką oszczędnością i pracą Tadeusza zdołali zebrać zaledwie pięć tysięcy rubli dotąd, a dom był przecie wart razem z ogrodem najmniéj ośm tysięcy.

— To, co macie, jest zupełnie wystarczające: płacicie mi 240 rubli rocznie komornego, co przedstawia dochód od kapitału czterech tysięcy rubli i te mi zapłaćcie, a cały dom wasz, bo dom, który zamieszkuję i prawo gospodarowania w ogrodzie zostanie przy mnie w używalności dożywotniéj.

— A ja długo żyć będę na waszą biédę! — zdołał słabo uśmiéchnąć się, żartując.

Stało się, jak chciał, choć długo musiał walczyć z opiérającymi się Modliborami.. Cała posiadłość została przepisaną na imię Maryi.

Potém wyjechał z Pultowii, lecz domu nie zwinął. Po kilku miesiącach wrócił, niby znowu spokojny i w sobie zamknięty i znowu wiódł cichy żywot w Pultowii z Piotrem i Stanisławową.

Takim pozostał aż do dziś, uroczystego 8 września, przygarnął się tylko do ogniska Modliborów, ziejącego nań ciepłem prawdziwego szczęścia i zadowolenia. Oto właśnie wychodzi przez oszklone drzwi swojego domu do ogrodu, z nożem ogrodniczym w ręku, a Piotr za nim niesie spory kosz na ramieniu.

Już jest prawie południe. Słońce swojemi krótkiemi promieniami pieści radośnie drzewa i kwiaty ogrodu, rzucając więzie złotych i czerwonych barw na tło zanikającéj zieloności, śląc dary te jakby na pożegnanie drzewom, kwiatom i trawkom. One już wkrótce kresu życia dobiegną, lub tylko usną na zimę, a to z żalu i tęsknoty, kiedy się słońce dobroczynne od ziemi oddali i na czas dłuższy zwolni uścisk serdeczny i gorący.

Roman z Piotrem przechodzą kolejno wśród szeregów drzew młodziutkich, lecz już przepysznym owocem obciążonych; Roman uważnie zdéjmuje z każdego po kilka sztuk najpiękniejszych i składa do kosza. Piotr palcem wskazuje upatrzone piękniejsze okazy. Wszak to prezent dla dzisiejszéj solenizantki, pani Maryi, któréj jasna suknia widnieje tam zdaleka na wzgórzu, skąd dolatują młodziutkie, dźwięczne głosy bawiących pod okiem matki Zosi i Krysi.

Kosz już pełny, Piotr spogląda nań z radością i rodzajem dumy, nie mogąc się dość nacieszyń zapachem i pięknym wyglądem zebranych owoców. Oprócz kosza Piotr niesie jeszcze w ręku dwa największe i najpiękniejsze jabłka dla swoich maleńkich solenizantek, których imieniny co dzień w ten sposób obchodził od czasu, jak pokazały się owoce.

— Poczekaj tu, Piotrze, w cieniu, ja jeszcze pójdę po kwiaty.

Wrócił po chwili z wiązanką prześlicznych, choć nie dużych, prawie ostatnich już, róż miesięcznych, których kolekcyę hodował w ogrodzie ze szczególną lubością.

— No, to już chodźmy z darami i życzeniami.

Na spotkanie idących wybiegły dziewczynki, radośnie witając owoce i kwiaty, a wyciągając rączki po dań, sobie należną, po te dwa jabłka, które Piotr napróżno, śmiejąc się, usiłował ukryć za plecami.

Marya już zdaleka witała Romana przyjaznym uśmiéchem. Roman serdecznie dłoń jéj uścisnął.

— To—wspomnienie czasów z przed pięciu laty — mówił, podając róże—a to—wskazywał na kosz, który Piotr stawiał na ławce przy Maryi—jest miłém i smaczném „dziś”; oboje niech pani służą wraz z słowem prawdziwego przyjaciela.

— Dziękuję, bardzo dziękuję, i za jedno i za drugie: trudno orzec, co jest piękniejsze i milsze, choć pierwsze już żyje tylko w pamięci, a drugie jest tłem życia bieżącego.

Była piękną w tém miłém otoczeciu czerwieniejącéj zieleni ogrodu, łagodnych słonecznych promieni i miluchnych dziéweczek, w swéj skromnéj jasnéj sukni i ze swym, niemniéj jasnym wyrazem regularnych rysów. Wysoka blondynka o dość pełnych kształtach i inteligentnym wyrazie twarzy, uderzała cichém, lecz pełném zadowoleniem z życia.

Udziałem takich kobiét — jest budzić lepsze pragnienia i rozsiéwać dokoła siebie radosne i ciepłe promienie.

Roman, zapatrzony na obrazek, który miał przed oczyma, milczał pogrążony w tęsknéj zadumie, a Zosia i Krysia z krzykiem radości, otrzymawszy od Piotra pożądane jabłka, wśród śmiéchów i hałasu

uprowadziły go z sobą w kierunku małego drewnianego domku, zamieszkałego przez króliki.

Marya zwróciła się do Romana.

— Proszę tu usiąść koło mnie i pocieszać mnie, gdyż jestem bardzo zmartwiona. Pan wié, że Tadeusza nie ma, i to dziś właśnie nie ma?

— Zapewne był zmuszony wyjechać do chorego?

— Tak, do Rozpadlina, już o siódméj godzinie rano; podobno sam pan na tyfus zachorował, jak pisze żona, prosząc Tadeusza, by pośpieszył z przyjazdem.

— Czy to już całe nieszczęście?

— Czyż to jeszcze mało? och! ten tyfus jest najgorszy!

— Tadeusz wróci przed wieczorem dość wcześnie, by wziąć udział w tak miłym dla niego obchodzie; co zaś do tyfusu, powinna już pani była z nim się oswoić, od lat pięciu będąc żoną lekarza; nie wszyscy na tyfus chorują, a tylko znakomita mniejszość chorujących umiéra.

— Ale i pan będzie dziś z nami, panie Romanie!

— Z gotowością, jak zawsze, gdy mogę patrzéć na wasze szczęście.

— O! nie, dziś pan nie będzie tylko patrzał, dziś, jako solenizantka, żądam od pana jeszcze jednego prezentu.

— Czy może drugiego kosza owoców, ależ najchętniéj!

— Bynajmniéj—przerwała—chodzi tu o coś ważniejszego, co mi na myśl przyszło w téj chwili, a co już dawno niepokoi moją ciekawość. Wszak prawda, pan ją zaspokoi?

— Nie mogę przykładać się do rozwinięcia w pani tak brzydkiéj wady.

— Musi pan być posłusznym. Już kilka razy wspominał mi Tadzio o jakiéjś rozmowie z panem przed pięciu laty, jakiéjś rozmowie, chyba bardzo niedobréj, kiedy mi jéj sam nigdy nie chce powtórzyć, a zawsze staje się smutnym na chwilę, kiedy mu o tém przypomnę. Pan mi to musi dziś wszystko powtórzyć; czy zgoda?

— Zgaduje pani i słusznie, że było to coś nieprzyjemnego, na cóż więc dziś to poruszać, kiedy wszyscy cieszyć się tylko będziemy?

— To nic, wszak to już przeszło? wszak chyba zło lub nieszczęście dziś nikomu już nie grozi?

— Tak, zupełnie i bezpowrotnie.

— A więc — będzie to tylko zaspokojenie mojéj ciekawości i ostateczne pogrzebanie tego widma, téj brzydkiéj rozmowy. No, zgoda, zgoda!...—prosiła z uśmiéchem.

— Rozmowa, jaką wiedliśmy z Tadeuszem, jest wspólną własnością i jego i moją, więc i jego tu pozwolenie jest konieczne.

— Ja za Tadzia ręczę.

— W takim razie życzenie pani będzie spełnione.

Słońce chyliło się ku zachodowi, spuszczając się za linię zdala czarném pasmem ciemniejących lasów z drugiéj strony Narwi, kiedy Marya z Romanem i obiema dziéweczkami wyszła na drogę, idącą w kierunku Rozpadlina, skąd oczekiwała rychłego przyjazdu męża.

Zosia i Krysia radośnie szczebiotały, ciesząc się zawczasu, że ujrzą wkrótce tatusia.

Droga wiodła pod górę, więc gromadka posuwała się zwolna.

— Czemu pan smutny, panie Romanie? Może to jest egoizm z méj strony, lecz tak bym rada dziś tylko radosne twarze spotykać dokoła siebie!

— Jeśli egoizm, to z tego lepszego gatunku, który się nie co dzień spotyka. Co zaś do mego smutku, jest to cierpienie chroniczne, o usunięcie którego już dawno starań zaprzestałem, uważając wszystkie za chybione już w samém założeniu.

— Może pan nie starał się zgłębić źródła lub przyczyny tego smutku. Jako lekarz, wié pan najlepiéj, że léczenie od tego rozpoczynać należy.

— Tak, o ile to źródło, ta przyczyna, leżą w nas samych, a nie po za granicami naszych zmysłów, lub choćby tylko wpływów czysto duchowéj natury.

— W każdym razie trzeba szukać, probować, starać się, czy ja wiem wreszcie, co robić, dość, że czuję, że ja tak, jak pan, tak samotnie, tak... bez pragnień... i... i...

— Bez celu, bez jasno i bezpośrednio określonych obowiązków, bez codziennego jakiegoś zadowolenia...

— Jedném słowém, bez tego wszyskiego, co stanowi właściwą treść życia, wyżyćbym nie mogła ani dnia, ani godziny jednéj nawet.

— Mamże więc powiesić się, zastrzelić, skoczyć w nurty narwiańskie, lub téż tylko delikatnie zachloroformować się na wieczność całą?—pytał z uśmiéchem Roman.

— Nic z tego wszystkiego. Ma pan tylko „chcieć” być szczęśliwym.

— Przedtém, niż „chciéć”, trzebaby „umiéć”.

— Zdolność do tego chyba każdemu jest wrodzoną.

— O! niewątpliwie. Polinezyjczyk bywa szczęśliwy po zjedzeniu nosa i uszu swojego nieprzyjaciela, Afrykanin—gdy z całéj swéj postaci jedną głowę tylko ustroi w blaszane pudło od konserwów, a przeciętny Europejczyk spocznie na laurach szczęścia dopiéro wtedy, kiedy, walcząc w tłoku życiowym, stu swych współzawodników delikatnie zadusi. Wszyscy oni, ci trzéj, mają swój ideał szczęścia i umieją go zdobyć.

— Za szerokie koła pan obejmuje, trzeba je znacznie zacieśnić.

— Powinienem wykrajać sobie szablony szczęścia przeciętnego pultowianina.

— No, to znów zamało, ale takie ramki są bliższe i prawdopodobniejsze.

— Ogłosić, że posiadam dwadzieścia tysięcy rubli kapitału, żadnych ubocznych zobowiązań, pięćdziesiąt ośm lat wieku, znaczny zasób sił fizycznych, niewielkie wymagania i usposobienie do prędkiéj utraty wzroku. Nie wątpię, że tu, w Pultowii znajdzie się jeszcze kandydatka, która zapragnie objąć ster nad całym tym wyszczególnionym inwentarzem i poprowadzić mnie na upragnioną... drogę szczęścia. „Umiejętność" do używania tego szczęścia powinienbym znaleść w sobie, ot, tak, z natchnienia, lub z przypadku może.

— Po odrzuceniu tych wszystkich dziwacznych pomysłów w wykonaniu, rzecz samą i jabym panu serdecznie doradziła, bo tylko na téj drodze...

— Można dostrzedz szczęście prawdziwe — zakończył Roman, wskazując na bryczkę, która w pośpiesznym kłusie koni niespodziéwanie ukazała się na załomie drogi.

Konie stanęły i Tadeusz pośpieszył uścisnąć żonę, dzieci i przyjaciela.

— Jakaż miła niespodzianka, o jaki kwadrans módz was wcześniéj powitać! chodźmyż już teraz razem—zaproponował, odprawiając konia i biorąc Krysię, czepiającą się jego ubrania na ręce.

— Pewnoś bardzo zmęczony, Tadziuniu, nie bierz Krysi na ręce, ja ją chętnie poniosę, gdy ją nóżki zabolą.

— Taki ciężar raczéj usunie zmęczenie, które istotnie uczuwam, a jeszcze i ból głowy napadł mię, niewiadomo od czego.

Cała gromadka ruszyła z powrotem do domu. Marya niespokojném okiem śledziła ruchy męża i nie dziw, bo Tadeusz zdradzał zbyt silne utrudzenie w ruchach, głosie i całéj postaci.

Zanim doszli do domu, uchwaloném zostało zgodnie, by obchód uroczystości odłożyć do jutra, kiedy Tadeusz należycie po trudach wypocznie...

— Jutro już za to, ponieważ uprzedziłem, że nie przyjadę do Rozpadlina, zostanę z wami przez dzień cały i cały naznaczony ceremoniał będzie z nadprogramowemi dodatkami spełniony — zapewniał żonę, wchodząc do bramy domu.

Pomylił się o tyle, że ze wszystkiego, co zapowiadał — tylko nadprogramowe, a nad wyraz smutne, dodatki miały miejsce.

Wśród nocy Piotr zbudził Możdżewskiego. Tadeusz silnie zachorował i pani Marya prosiła o natychmiastową pomoc.

Możdżewski pośpieszył do łóżka chorego kolegi. Długoletnia staranna praktyka dawała mu w pewnych wypadkach smutną nieomylność.

Tadeusz leżał w łóżku już tylko z resztakmi przytomności — był dotknięty szybko rozwijającym się tyfusem.

Oczy miał zamknięte i dopiéro rankiem je otworzył na chwilę i nieco przytomném spojrzeniem objął pochylone nad swém łóżkiem postaci Maryi i Romana. Ujął ich ręce swojemi obiema i długo ściskał w nerwowym, przeciągłym uścisku. Było to uznanie, żal, podziękowanie... a może prośba jaka... a może i ostatnie pożegnanie.

Tydzień zbiegł dla Maryi i Romana, czuwających niemal bez przerwy przy łóżku chorego w bezsenności i dręczącéj obawie, nie przynosząc żadnego polepszenia, żadnéj uprawnionéj rzeczywistością nadziei.

Aż wreszcie przyłączyła się jakaś komplikacya mózgowa i Tadeusz, nie odzyskując przytomności, zmarł dnia dziesiątego.

Legł na posterunku.

Roman przez cały czas choroby nie opuszczający domu frontowego, usunął się natychmiast. Poprostu widok niby spokojnéj w swym bólu Maryi i płaczącéj dziatwy był dla niego nie do zniesienia.

Powrócił w ciężkiéj zadumie pogrążony do samotni swojego opuszczonego gabinetu.

Długo w noc bezmyślnie przebiegał wzdłuż i wszerz niewielką przestrzestrzeń pokoju, aż wreszcie znużony padł na fotel przed biurkiem. Machinalnie wysunął jedną z szuflad jego i wyjął sporą szkatułkę w safian oprawną. Był to skromny, srebrny sztuciec na dwanaście osób do stołu jadalnego, który Tadeusz niedawno w sekrecie sprowadził przez będącego w Warszawie Romana, gotując niespodziankę dla ukochanéj żony.

Był to pierwszy od ślubu prezent zbytkowny... dla niéj, téj dro-

giéj Maryi, przeznaczony, i ten nie mógł być wręczony!... Wszak mógł już sobie nań pozwolić. Miał dom własny, porządnie umeblowany, praktyka szła mu coraz lepiéj, w ostatnich czasach musiał już nawet prosić żony, która prezydowała w komitecie dobroczynnym, przed laty założonym przez Możdżewskiego, żeby usiłowała skłonić wszystkich chorych „za biletami", by udawali się po poradę nie do niego, lecz do innych młodszych lekarzy, którzy niedawno zjechali do Pultowii. Już nie mógł wystarczyć. Długu nie miał ani grosza, a w najtajniejszéj szufladzie biurka leżały dwa tysiącrublowe bilety procentowe, jako zaczątki przyszłych posagów dla Zosi i Krysi.

„Co tam ten Roman gadał kiedyś?!..." tylko od czasu do czasu przemknęło w głowie Tadeusza... i coraz jaśniéj, coraz weseléj działo mu się w sercu i głowie.

A ten Roman siedział teraz jak posąg boleści, wpatrując się w szkatułkę, i szeptał głosem złamanym:

— Miałem więc racyę, tę racyę obydną i potworną w skutkach!... jak kruk czarny kraczę na ludzką niedolę i boleść!... podła rola!... jedyna, jaką odgrywać jeszcze mi wolno... Nie! nie! —to Tadeusz miał słuszność: życie nie mierzy się na sążnie i łokcie... on kochał... był szczęśliwy i sam dawał szczęście! .. Och! i ona była tak szczęśliwą!... No, a daléj?... co będzie jutro?... za rok?... za lat dziesięć? Opieka społeczna, zbiorowa?!... Frazes piękny, lecz frazes — tylko. Ach! jakże trudno jest w wypadku podobnym określić, gdzie prawda, a gdzie fałsz! — to szlachetne, porywające uczucia... wiara w siły i przywiązanie; trochę szczęścia... późniéj lata całe niedoli dla najdroższych... a może i upodlenia, a tam... a u mnie? Czémże ja jestem z moim wyrobionym programem i niewzruszonemi zasadami, za które życie oddałem?... ach! — tylko komedyantem od początku do końca. Gdzież prawda? gdzie choćby złudzenie téj prawdy? Ależ ja, doktór, jestem głupiec skończony! stoję w położeniu bez wyjaśnienia, bez zrozumienia... Możeby można coś zrobić, coś obmyśléć? ale co i jak? Ha! próbujmy, wszak chyba łatwiéj coś robić, jak podobnie zawiłe kwestye rozumnie rozwiązywać.

Strata męża była dla Maryi nad wyraz ciężką i bolesną. Nie mówiła o tém wcale, nie skarżyła się, nie płakała, nie zbiérała jałmużny współczucia wśród otoczenia, a jednak czuła, że poniosła krzywdę i to krzywdę, któréj nikt i nic nie nagrodzi.

Była jednak matką i to ją oderwało od grobu i wróciło natych-

miast życiu rzeczywistemu, nie dozwalając osłabnąć we łzach i rozpaczy.

Nie rozumowała i nie namyślała się ani minuty. Te dwie drobne, ukochane istotki, które tuliła w objęciu, straciły więcéj niż ona, bo straciły ojca.

Nagi ten fakt zmuszał ją, matkę, do dźwigania odtąd podwójnych obowiązków, i przyjęła je z energią i wiarą, że im podołać potrafi.

Niewzruszone prawdy życia nie pieszczą zwykle, nie kokietują nienaturalną czułostkowością, ale biją silnie w ludzi, umiejących czuć i kochać prawdziwie, i budzą w nich echo przeciwdziałania, ujawniającego się w życiu i w czynach.

Któż łatwiéj zdoła te prawdy odczuć i ocenić, jeśli nie matka, która kocha swe dzieci?!...

Marya odrazu stanęła na wysokości zadania i cała jéj miłość bezgraniczna dla dzieci okazała się niezwłocznie w czynach, a nie łzach, lub bezradnych westchnieniach.

Już w tydzień po pogrzebie większa część mebli została sprzedaną, a na bramie domu umieszczono kartę z oznajmieniem, że są do wynajęcia trzy pokoje z przedpokojem i wejściem frontowém. Dla siebie zatrzymywała Marya tylko dwa mniejsze z kuchnią i oddzielném wejściem od podwórza. Dwoje służby po obliczeniu również odprawiła, choć z żalem prawdziwym, bo byli to krewniacy Piotra i Stanisławowéj. Od razu więc Marya śmiałą ręką zakreśliła właściwy tor dalszego życia, zaledwie do trzeciéj części dotychczasowego zredukowany.

Roman niezwłocznie się o tém wszystkiém dowiedział, choć nie brał najmniejszego udziału w przeprowadzeniu reform podjętych. Był zdumiony energią Maryi.

Tegoż samego wieczoru, kiedy Marya wywiesiła ogłoszenie wynajmu swojego mieszkania, Roman wdał się w dłuższą pogawędkę ze Stanisławową.

Przypomniał jéj, że mu już kilkakrotnie napomykała o swych zamiarach zamieszkania przy jedynéj zamężnéj już córce, że on się na to dotąd nie zgadzał, lecz teraz sam ją do tego namawia, bo ona... już potrzebuje wypoczynku, a oni... z Piotrem dadzą sobie jakąś radę. Żeby zaś nie szła na łaskę zięcia i poniewierkę w cudzéj chacie, boć i nie pięknie przychodzić z pustemi rękami, on, dziękując jéj za tyloletnią pracę i życzliwe starania, przeznacza jéj pięćset rubli, którémi może dowolnie i w każdym czasie rozporządzać.

Po załatwieniu téj sprawy, jak tylko się zdołał wyrwać z uści-

sków rozpłakanéj Stanisławowéj, dziękującéj sto razy za wszystkie dobrodziejstwa, Roman pośpieszył do Maryi, u któréj nie był od śmierci męża.

Znalazł ją znacznie mizerniejszą i bledszą, lecz spokojną i silną. Trzymając Krysię na kolanach, a Zosię mając przy boku z niewielkiéj otwartéj książki dziecinnéj objaśniała treść malowanek.

Wskazała, po przywitaniu, Romanowi krzesło najbliższe i zamknęła książkę.

— Dość będzie na dzisiaj, pójdźcie do Joasi i poproście o mléko na podwieczorek.

Roman milczał czas jakiś, kręcąc się niespokojnie na krześle, aż wreszcie Marya rozpoczęła rozmowę, zapytując o ogród i roboty w nim dokonywane.

— Mało wiem o tém, bo... dawno już o ogrodzie nie myślałem. Przyszedłem z interesem do pani.

— Chętnie wysłucham.

— Dobra pani, przepraszam, że śmiem panią zatrudniać mojemi sprawami; Tadeusz za życia już mi dość dawno obiecywał, że wynajmie komu spokojnemu większą część mojego domu, bo... ja dla siebie potrzebuję tylko dwóch pokoi, tych... pani wié, od ogródka...

— A więc pan życzy, bym ja panu w tém dopomogła?

— Jakto? mnie? to tylko sobie, bo cóż mnie obchodzą mieszkaniu w pani domu?

— Ależ dom ten na mocy obowiązującéj nas umowy jest pańską dożywotnią własnością i mocen pan jest z nim robić, co mu się tylko podoba; więc wynajęcie tylko pana dotyczy, a ja bardzo chętnie w tém panu...

— Będę pomagać. Ależ to szał już chyba poświęcenia!... Co za historya? pani dom, a ja może będę brał pieniądze—to mniejsza, ale kłopotał się o przyszłych lokatorów, żeby mi znowu drzewa i kwiaty niszczyli!...—mówił pośpiesznie i opryskliwie.

Marya badała go swemi łagodnemi i rozumnemi oczyma, i Roman mieszał się coraz bardziéj, usiłując zachować równowagę... w oburzenia. Ale usiłowania były próżne.

— Widzi pani—mówił głosem błagalnym prawie — jam już stary... i Piotr mój także... Stanisławowa nas porzuciła; w wielkich pokojach tak mi coś zimno... i straszno. Myślałem... i Piotr także myślał... że pani nam zrobi tę łaskę i weźmie nas obu na swój stół... Wszak nam już trudno starać się o nową... jakąś obcą gospodynię i kucharkę!

— Niepoprawny dziwaku! — uśmiechnęła się Marya łagodnie

przez łzy, gwałtem tryskające — i myślisz, że tym wszystkim bajeczkom uwierzę? Nie chcę być jednak gorszą od pana: z połową téj szlachetności, z jaką pan proponujesz ofiarę, ja ją przyjmuję, bo sądzę, że takie ofiary powinny być zawsze przyjęte. Czy pan wiész, że ja i swojego domu część większą odnajmuję? Otóż zróbmy tak, niech w połowie pan będzie górą! Ja bardzo chętnie przeniosłabym się wraz z dziećmi z tego... smutnego domu, gdzie na każdym kroku... Czy pan nas przyjmie na lokatorów do siebie?

— Nie śmiałbym nigdy sam prosić o to!

— To niechże się pan ośmieli. Co zaś do stołowania, zatrzymajmy wspólnie Stanisławową, bo ja nie wierzę, że ona chce się wyrwać od pana; będzie u nas i nadal kucharką, a obok tego ja, wychodząc na lekcye, o które starania rozpoczęłam, będę spokojna o dzieci, pod jéj okiem zostające. Będzie więc nas wszystkich: ja, pan, dwoje dzieci liczę za jedną osobę, Piotr, Stanisławowa i Hanka, razem sześć osób, koszty więc w dwóch trzecich będę ponosić ja, a pan resztę dopłaci. Czy zgoda?

— Ależ nigdy! co pani myśli, my mężczyźni mamy ogromny zawsze apetyt, więc chyba naodwrót byłoby najwłaściwiéj, choć i to będzie jeszcze z krzywdą dla pani.

— To szkoda, bo cały mój plan w takim razie upada; byłoby to, jak myślę, na gruzach dwóch rządów obalonych, taka kwitnąca, nowa rzeczpospolita, któréj pan byłbyś prezydentem, a ja pierwszym i jedynym ministrem.

Spiérali się długo; Roman był bardzo wymowny, aż wreszcie stanęło na równych do połowy udziałach, i przeprowadzkę oznaczono zaraz na dzień następny. Dom frontowy cały został bardzo chętnie wynajęty przez nowoprzyjezdnego lekarza, który z możliwym pośpiechem starał się zająć miejsce opróżnione wskutek śmierci Modlibora.

Marya więc, licząc sto rubli procentu od kapitału dwóch tysięcy, które posiadała, wraz z trzema set rublami komornego za dom frontowy, zapewniła sobie czterysta rubli stałego rocznego dochodu, zdobyła więc prawie pewność, że... śmierć głodowa już jéj dzieciom nie grozi.

Po niejakim czasie dostała kilka godzin zajęcia w mieście i budżet skromnego istnienia został jako tako ułożony, a razem z tém względny spokój zagościł w tych pokoikach domu ogrodowego, które zajmowała od niedawna Marya. Ona się czuła zadowoloną i bardzo niewiele jak na teraz więcéj pragnęła, a najbardziéj trochę zapomnienia chyba. Ej! nie, chyba zapomnienie tych pięciu lat z nim przeżytych, byłoby dla niéj największém nieszczęściem...

Dla Romana było to jednak za mało. Chłodny pesymizm życia raz wraz podsuwał mu mroczne obrazy choroby, zwiększonych potrzeb na naukę dzieci, a w końcu... smutne, z nędzą graniczące, ubóstwo dla tych, do których już zdołał serdecznie i jedynie się przywiązać.

Bolało go to, że on nie był w stanie nic im dpomódz, mając środki odpowiednie: na swoje skromne potrzeby nigdy nie zdołał wydawać całkowitego dochodu od kapitału dwudziestu tysięcy, jakie posiadał, po odliczeniu sum przeznaczonych dla Piotra i Stanisławowéj. Na cóż mu się przydały dziś te tysiące, kiedy za ich cenę nie mógł nabyć prawa do serdecznéj opieki nad tymi, którzy dziś mu za ludzkość całą niemal wystarczali?

Marya przyjąć cośkolwiek od niego nigdy się nie zgodzi, a on nie może nawet bardzo nalegać.

Już i teraz pultowianie coś złośliwie podobno tu i owdzie przebąkują o tém wspólném zamieszkaniu jednego domu. Ach! jakżeby im na zawsze zamknąć te brudne, nic świętego nie znające usta?!...

Jeszcze dwa lata przemknęły, kreśląc napozór tylko małoznaczne w życiu i usposobieniu mieszkańców tego domu w ogrodzie.

Czynny, pożerający na początku smutek Maryi zwolna przekształcił się w cichą, rzewną tęskliwość, która wyraźnemi głoskami wypisała się na jéj twarzy, zawsze przystojnéj i w całéj postaci cokolwiek szczuplejszéj, niż przedtém.

Miała dopiéro dwadzieścia dziewięć lat i była zdrowa i silna, nie mógł więc pożreć ją ból by największy, była zaś z drugiéj strony dość rozumną i zbyt dobrą matką na to, by się dać unieść porywom fantazyi lub chwilowego upodobania.

Roman zmienił się daleko więcéj. Mniéj się już teraz poświęcał książkom i laboratoryum, a więcéj—jak zawsze, ulubionemu ogrodowi, który coraz obficiéj i różnorodniéj wynagradzał go za wszystkie trudy podjęte.

Cieszył się zawsze, ilekroć, wracając z ogrodu, wypróżniał kieszenie z licznych niespodzianek, zebranych jako daninę codzienną a jako podatek następnie składanych w fartuszki witających go Zosi i Krysi.

Posiwiał bardzo znacznie, a cała postać tchnęła zupełnie nowym, a dotąd dla niéj obcym, wyrazem. Na miejsce siły drgającéj wprzód w każdém słowie, w każdym ruchu, zjawił się gość całkiem nieznany, choć ten sam co i u Maryi—tkliwość, czy rzewność z towarzyszeniem łagodnego, stałego uśmiechu.

Szereg ciosów, dotykających Romana przez całe dziesiątki lat, wydał więc w rezultacie skutki jednakie z temi, jakie były następstwem ostatnich dwóch lat dla Maryi.

I tu i tam bogactwo zasobów moralnych obroniło te dwie postaci od zgorzknienia i wyjałowienia. Łatwo się stać mogli ostem i pokrzywą wśród tłumu mijającego ich w pośpiesznéj i wesołéj wędrówce życiowéj.

Dla Romana był to piękny okres przejścia od wieku czynu, wieku twórczego, do miłéj dla otoczenia pory zasłużonego spoczynku.

Dziécię z radosnym uśmiechem na ustach dąży do życia, do jego czarów zwodniczych i ułud, bo nie zna jego cierni i bólów, starzec, jednako z uśmiechem, żegna te drogi—już przebyte, żegna bez żalu śląc uśmiéch pamięci chwil jasnych i szczęśliwych. Biada mu, gdy ta pamięć nie budzi w nim echa choć kilku, choć krótkich chwil radości i zadowolenia! biada mu jeszcze bardziéj, ilekroć zapragnie powrócić na te drogi po nowe żniwo zdobyczy!

Roman był sercem oddany Maryi i jéj dzieciom: lubił jéj towarzystwo, szukał go, dzielił coraz z nią drobne radości i smutki. Marya, za życia męża mająca bardzo ograniczone towarzyskie stosunki w Pultowii, dziś zupełnie się od nich usunęła, już to dla braku czasu, a bardziéj jeszcze dla braku — chęci. Towarzystwo wykształconego i przyjaznego dla niéj Romana było najzupełniéj wystarczające.

I tak się zwolna zadzierzgnął węzeł trwały, a może i niezmienny, na lata całe. Byli oboje zadowoleni.

Pultowianie nie zapomnieli o Maryi. Widzieli ją często przebiegającą ulice miasta, w pogodę i niepogodę, śpieszącą na lekcye w odległych jego zakątkach. Była ładną, a więc nie mogła ginąć w tłumie. Ten i ów uczuwał się powołanym, jak mniemał, do posłannictwa ofiarności, i nie zadając sobie wiele trudu z biédną wdową, ruszał do szturmu wstępnym bojem. Już w parę miesięcy po zdjęciu żałoby zaproponował jéj swoją rękę, serce, nos nadmiernie czerwony i wysokie stanowisko miejscowy dygnitarz, burmistrz miasta, powszechnie tytułowany panem prezydentem.

Marya grzecznie, lecz stanowczo odmówiła. Zdziwienie, a następnie oburzenie było powszechne. Jak śmiała i mogła odrzucić tak dobrą ze wszech miar partyę, powinna była ją przyjąć, już choćby przez wzgląd na dzieci! Zaczęto dobadywać się przyczyny i odnaleziono ją—w Możdżewskim.

W następstwie Marya znosiła aż dotąd drobne i różnorodne prze-

śladowania, podejmowane z ramienia obrażonego w swéj godności potentata i jego klientów.

Marya prędko dowiedziała się o sądach opinii, lecz przyjęła je śmiechem i cichą negacyą, ani jedném słowem nie wspominając o tém przed Romanem, który prawie nie wychodząc na miasto, nie miał możności sam bezpośrednio badać puls chorowitych w swych sądach pultowian.

I tak to zwolna przycichło, choć nie zraziło innych kandydatów.

Już w parę miesięcy późniéj Marya ponownie była zmuszona zawieść nadzieje bogatego mieszczanina pultowiańskiego, który w ciągu trzydziestu lat zbiérał majątek, pochował dwie żony, a teraz zapragnął w połączeniu z Maryą „porządnie”, jak sam mówił, życia używać. Miało to znaczyć zapewne, że już odtąd miał przestać pożyczać na lichwę i jeździć na licytacye dla pozyskania odstępnego.

I znowu opinia powszechna zakotłowała się w Pultowii, mniéj ze współczucia dla wzgardzonego konkurenta, jak bardziéj z powtórnego dociekania przyczyn odmowy. I tu bezpośrednia kara nie ominęła Maryi: straciła jedną z tak potrzebnych jéj lekcyi, którą miała w domu pokrewnym zawiedzionego aspiranta.

I ten wypadek uszedł uwagi Romana.

Marya bolała jednak skrycie nad podobnie powstającemi kombinacyami, przewidując i to słusznie, że to tak dłużéj trwać nie może, że kiedyś, może niedługo, Roman dowié się o wszystkiém, a wtedy, ten dobry, wypróbowany przyjaciel, któremu tyle zawdzięczała i ona sama, i jéj drogiéj pamięci Tadeusz, boleśnie odczuje złość i głupotę ludzką.

Nowy a niespodziewany wypadek nie kazał na siebie czekać zbyt długo.

Młody lekarz, kawaler, zamieszkujący dom frontowy, nie zdołał wziąć w całości razem z mieszkaniem praktyki po Modliborze. Nie wiodło mu się jakoś, choć Cynober dość często do niego przychodził na poufne narady. Łatwo przyszedł do przekonania, że trzeba na innéj drodze szukać potrzebnéj pomocy i poparcia.

Panny z Pultowii nie zadawalniały go dla rozmaitych powodów, okoliczne zaś niezbyt chętném witały go spojrzeniem, a tu w domu z okien, codzień po razy kilka, widział młodą, przystojną Maryę, z wdziękiem przesuwającą się pod oknami. Dom z ogrodem stanowił niejako równoważnik niepotrzebnego ciężaru, złożonego z dwóch córek. Zresztą można coś i poświęcić na ryzyko spodziéwanych korzyści z wpływów Maryi na praktykę tę „dwuzłotową”, któréj pamięć nie

zaginęła jeszcze wśród ludzi i mile była wspominaną, a może i ten Możdżewski, opiekun z łaski głosu powszechnego, poczuje się do jakich obowiązków wdzięczności...

Zdecydował się prędko, po krótkim namyśle, nowy konkurent i bez długich preludyów, tłómacząc się brakiem czasu i potrzebnych stosunków, przy opłacie kwartalnego komornego, zaproponował Maryi, by nietylko te marne trzysta rubli rocznie, lecz i cały jego dochód zechciała z nim podzielić, zostawszy jego żoną.

To już wyprowadziło z równowagi długo cierpliwą Maryę i wybuchła ona we łzach żalu i oburzenia, tém silniejszego, że tak długo tłumionego.

Jeszcze w kilka godzin, skarżąc się, jak dziécię, przed Romanem, płomieniała z gniewu, opowiadając mu tak o ostatniéj otrzymanéj propozycyi, jak i dwóch poprzednich. Zapomniała na razie, pod wpływem przykrości osobistych, o konieczności oszczędzania szczęśliwego nieświadomością Romana.

A Roman słuchał téj wyrywającéj się na usta z głębi piersi spowiedzi, przerażeniem i bólem niezwalczonym zdjęty.

Zawsze jedno i to samo. Najlepsze jego intencye, najszlachetniejsze pragnienia, rodzą w skutkach—ból i prześladowanie dla tych, których kocha, których drogę życia możliwie lekką chciałby uczynić!... Uciekł od Maryi, nie zdolny ani jedném słowem pocieszyć ją lub choćby uwagę jéj odwrócić w inną stronę.

Zamknięty w swoim pokoju, spędził długie godziny, to szamocząc się w gniewie... bezsilnym, to znowu pogrążony w zupełnéj apatyi. Cóż mógł zrobić i jak poradzić?

Bez wahania oddałby Maryi i jéj dzieciom majątek swój cały, a nawet i siebie...

Ha!—siebie? A możeby?...

Fakt był widoczny, że Marya odrzuciła wszystkich trzech konkurentów do swéj ręki i serca, nie wierząc, by którykolwiek z nich mógł jéj szczęście zapewnić.

Na Romana wywarło to wrażenie przyjemne, choć nie zupełnie jasno dające się wytłómaczyć.

Czy jednak postąpiła tak ze wstrętu na myśl powtórnego małżeństwa wogóle, czy może tylko dlatego, że kandydaci istotnie nie byli do pozazdroszczenia.

Roman długo i poważnie nad czémś rozmyślał w samotni pokoju,

lub błądząc po okrytych liśćmi suchemi ścieżkach ogrodu i wzrokiem goniąc rozległe przestrzenie nizin zanarwiańskich.

Wszak nie był jeszcze stary! a zresztą ten szczegół w jego oczach był już dziś zupełnie drugorzędnéj doniosłości. Jego pięćdziesiąt ośm lat mogły się jeszcze wybornie pogodzić z jéj wiekiem, akurat w połowie mniejszym. Główną tu rzeczą było, jego mniemaniem, jasno określona pozycya Maryi, jako pani Możdżewskiéj, i najwłaściwsze umieszczenie tych dwudziestu tysięcy rubli, których już on niedługo prawdopodobnie będzie potrzebować.

Tak! — obowiązkiem jego było choć w ten sposób nagrodzić krzywdę Maryi i jéj dzieciom zrobioną!...

— Piotrze—mówił do zaufanego sługi pewnego wieczora—cobyś na to powiedział, gdybym się téż i ja ożenił?

— Wolne żarty, proszę pana doktora — uśmiechnął się Piotr dobrodusznie—a coby ta pan ze żoną robił?

Możdżewski zżymnął gniewnie ramionami i zamilkł.

Przecież dopiéro ma pięćdziesiąt ośm lat? wszak niejeden żeni się w tym wieku i bywa czasem szczęśliwy. Ale czy sam daje szczęście?

Na wszelki wypadek postanowił wprzód zbadać, jak się Marya zapatruje na powtórne zamążpójście.

Udało mu się to łatwo w rozmowie wieczornéj w dni kilka po niefortunnych oświadczynach lokatora domu frontowego.

— Więc pani nigdy i za nikogo zamąż już nie wyjdzie?—zapytał wśród rozmowy.

— Prawdopodobnie—nie. O przyjęciu propozycyi takich, jakie mię już spotykały, nie może być mowy, gdyż nie zdołam odgadnąć, czego ci panowie szukali i co sami mnie mogli ofiarować. Nie przeczę jednak, że mogłabym kogoś pokochać, gdyż sądzę, że nawet największa, lecz jedyna miłość, życia wypełnić nie jest w stanie nikomu. Jestem pewna, że równie i silną i szlachetną może być miłość i druga i trzecia i jeszcze tam która z kolei, jeśli dana jednostka ma w sobie odpowiednie zasoby. Lecz dla mnie i dla innych do mnie podobnych istnieje przeszkoda całkiem odmienna. Kto z uczciwych mężczyzn mnie w dwojgu dzieciach mającą już swój odrębny, a dla niego zupełnie i na zawsze obcy świat uczuć i pragnień, zechce wziąć przepołowioną? Żaden podobno—chyba głupi lub nieszlachetny, a ja nie pokocham ani jednego, ani drugiego. Każdy z moich dotychczasowych, a może, na nieszczęście moje, i przyszłych, konkurentów, albo nie zdaje sobie sprawy, czego chce i szuka, albo téż, co gorsza, jest wysoce lekkomyślnym w układaniu i swojéj i mojéj przyszłości.

— Ma pani słuszność zupełną, o ile ma na myśli wypadki poszczególne. Ja zaś sądzę... i wierzę, że wszystko to dałoby się jakoś ułożyć; możeby... się i znalazł człowiek, dla któregoby dzieci pani mogły stać się i jego dziećmi również. Może on już niewiele w życiu pragnąć... może wymagania swoje, choć jasno sformułowane... zrobić tak małemi...

— Lecz, panie Romanie — przerwała Marya — małżeństwo nie może i nie powinno być nigdy kombinacyą dobroczynną ani aktem ofiarności jednéj ze stron.

— A jeśliby taka ofiarność była szczęściem dla... téj jednéj strony?...

— Tém więcéj czułaby się upokorzoną druga.

Prosta logika tych niewielu wyrazów obroniła Romana przed drugim i prawdopodobnie już ostatnim w życiu—harbuzem.

„Chybaż ja rzeczywiście jestem dziwak, kiedy tak mało w życiu mię zrozumiano. E! niech tam!—a przecie te dwadzieścia tysięcy muszą być kiedyś wasze, bo ja już chyba prędko... dociągnę do końca!”

Tak rozmyślał Roman, wpatrując się w sporą fotografię przedstawiającą Tadeusza, Maryę i dwie dziewczynki — cały światek jego ostatnich i najtrwalszych uczuć.

Napoleon Rouba.



Z GŁĘBI DUSZY.

(SONETY).

Obrazek.

Szumią cicho zachodem ozłocone łany
I łagodnie pochyla się pszenicy fala,
Jakieś głosy zmieszane i brzęk słychać zdala
W błękitnego powietrza roztoczy świetlanéj...

Złocistemi snopami wóz naładowany,
Niby góra pszenicy, na rżysku się chwieje...
Zjechał z pola w zielonych kasztanów aleję,
Zakłębiły się z tyłu złotawe tumany...

Zdala słychać rozgłośne brzęczące turkoty
I wesoły gwar ludzi, jadących na pole,
Szumi cicho, jak fala, pszeniczny łan złoty...

Zachód spłonął purpurą i pyłu tumany
Wiatr zanosi na świeżo zaoraną rolę
W błękitnego powietrza roztoczy świetlanéj...

Wieczór.

Ściemnia się... w mętniejszéj powietrza głębinie
Błyszczą słabo gdzieniegdzie gwiaździste punkciki...
Od berlinek na Wiśle granie harmoniki
Z chłodnym fali powiéwem urywane płynie...

Światełka odbijają się w klarownéj wodzie,
Maszty rosłe czernieją w splątanych lin sieci,
Czasem zdala szczekanie psów z wiatrem doleci,
Lub wołania głos zabrzmi w powietrzu o chłodzie..,

Ciemna głębia nieznanych, bezdennych obszarów
I szeroka woń szklana w gwiazd milion rozbłysły
I odbija się w wodzie rząd mostu filarów...

Maszty rosłe czernieją, harmoniki granie
Z chłodnym fali powiéwem dolata od Wisły,
Zdala słychać w ciemności psów ciągłe szczekanie...

Promienie.

Na stole świéca jasnym płomieniem się pali,
W ciemne szyby kroplisty jesienny dészcz dzwoni,
Bezczynnie siedzę z czołem, opartém na dłoni,
Dźwięczna trąbka pocztarska zabrzmiała w oddali...

W jasny płomień wpatrzony, senne oczy mrużę,
Koło świécy lśni wiązka ukośnych promieni,
Na tle ciemném szyb drżących widmowo się mieni,
Gdy ją skrócę oczyma i znowu wydłużę...

Fala wspomnień odniosła mnie w lata dziecinne,
Kiedy, w płomień wpatrzony, mrużyłem powieki,
By wywołać na jawie złudzenie niewinne...

W oczach łzy się zaszkliły... Promienie tęczowe
Zalśniły, niby wizya przeszłości dalekiéj...
Pochyliłem w zadumie rozmarzoną głowę...

Wacław Wolski.



Znaczenie drogi żelaznéj Syberyjskiéj.

CHINY.—JAPONIA.

Nadzieje, pokładane z powodu budowy dr. żel. Warszawsko-Terespolskiéj i Brzesko-Moskiewskiéj. — Warszawa punktem składowym handlu Europy z Azyą. — Zawiedzione nadzieje i utracona pozycya.—Wszechświatowe znaczenie drogi Syberyjskiéj.—Przebudzenie się dalekiego Wschodu.—Japonia.—Bystre przyjęcie cywilizacyi europejskiéj. — Dążenia Chin. — Kolej magistralna w Chinach z północy na południe. — Plan budowy kolei Syberyjskiéj. — Warunki techniczne i koszta budowy.—Prawdopodobne skutki przeprowadzenia drogi Syberyjskiéj.—Emigracya, rolnictwo, przemysł i handel w Syberyi. —Taryfy pasażerskie do Irkucka i Władywostoku.—Znaczenie Wierchneudinska i Kiachty. — Wytwórczość Chin.—Jedwab. — Herbata. — Cukier.—Bawełna.—Opium.—Porcelana.—Stosunki handlowe Zachodu z Chinami. — Handel Rosyi z Chinami. — Udział Japonii w ruchu kolei Syberyjskiéj.—Wzrost ludności w Japonii.—Ekonomista japoński Ourakami.—Japonki, jako dobre matki. — Utworzenie w Warszawie Towarzystwa akcyjnego dla handlu ze Wschodem.

Kiedy przed trzydziestu niemal laty podjęto budowę drogi żelaznéj Warszawsko-Terespolskiéj, a zwłaszcza późniéj Brzesko-Moskiewskiéj, prasa warszawska i większość kupiectwa wyrażała niezłomną nadzieję, że Warszawa stanie się ogniwem, łączącém Zachód z dalekim Wschodem i że w grodzie syrenim, jako leżącym przy wiel-

kim trakcie pomiędzy Europą i Azyą skoncentruje się cały międzynarodowy ruch handlowy z Azyą środkową i wschodnią.

Rzeczywiście Warszawa posiadała wiele warunków, ułatwiających zajęcie nader wybitnego stanowiska w handlu międzynarodowym: położenie geograficzne, dogodne komunikacye kolejowe z Berlinem i Wiedniem i dosyć znośną wodną z Gdańskiem, dostatek inteligencyi, a nawet kapitałów (niestety w $^3/_4$ częściach bardzo spokojnie w skrzyniach leżących), zogniskowanie krajowych interesów rolniczych, handlowych i przemysłowych, jak niemniéj różnica szerokości torów kolejowych, w kierunku wschodnim biegnących, wszystko to silnie przemawiało na korzyść Warszawy.Ześrodkowanie nad Wisłą handlu międzynarodowego ze Wschodem leżało też w interesach państw ościennych, których granice zaledwie o 7, a stolice Wiedeń i Berlin tylko o 18—20 godzin jazdy są oddalone od Warszawy. W dalszym ciągu Warszawa połączoną została bezpośrednio z Gdańskiem, Królewcem, Kijowem, z morzem Czarném, Azowskiém, Kaspijskiém, Uralem, oraz wogóle ze wszystkiemi większami ogniskami wschodniego ruchu ekonomicznego— i cóż się okazało?

Oto ćwierć wieku upłynęło od zbudowania wschodnich torów kolejowych, a Warszawa nietylko nie zajęła wybitnego stanowiska w handlu międzynarodowym, ale nawet nie umiała własnych potrzeb zaspokoić bezpośredniém zawiązaniem stosunków tak z wytwórcami potrzebnych nam towarów, jak i konsumentami naszéj produkcyi. Nadzieje prasy, sfer handlowych i przemysłowych, tak krajowych, jak i ościennych, prysnęły, jak bańka mydlana i Warszawa dotąd tylko spogląda na ten wielki trakt, przy którym leży spokojnie, spełniając niejako rolę słupa wiorstowego.

Warszawa nie umiała korzystać ze swego położenia geograficznego, choć korzystać mogła, bo to całkowicie leżało w jéj mocy i możności i nie ma tak doniosłych przyczyn, któreby tę niezaradność usprawiedliwić mogły. I jaka ironia losu! Miasto, które przed laty pragnęło stać się źródłem składowym, dziś bardzo wiele otrzymuje towarów zagranicznych nie bozpośrednio, lecz na zlecenie z Moskwy, gdyż wiele firm obcych otworzyły tam swoje oddziały i główne agentury. Z drugiéj strony wyroby nasze rzadko dochodzą bezpośrednio konsumenta wschodniego, zwykle zaś przechodzą przez alembik pośrednika, tym sposobem lwią część zysków otrzymującego ze szkodą tak dla wytwórcy jak i dla spożywcy. Nie umieliśmy nawet zrównoważyć i zobojętnić strat, poniesionych i ponoszonych obecnie wskutek przepełnienia rynków krajowych obcą wytwórczością.

Czy możebném jest polepszenie obecnego położenia ekonomicznego i możliwém jeszcze zajęcie tego stanowiska w handlu międzynarodowym, które nam samo położenie geograficzne wskazywało, a na któreśmy przez trzydzieści lat z taką apatyą spoglądali?

Przed kilku jeszcze laty było to już prawie niemożebném, bo jak rzeka zwykle się trzyma raz wyżłobionego nurtu, tak i handel niełatwo porzuca drogi, któremi szerzył swój podbój, lecz obecnie, skutkiem budowy drogi żelaznéj syberyjskiéj, Warszawa może znowu zająć stanowisko wybitne w handlu zachodniéj Europy z dalekim Wschodem, mianowicie z Syberyą, Chinami i Japonią.

Znaczenie kolei syberyjskiéj jest niezmiernéj doniosłości dla Rosyi i niemniéj doniosłe dla całego kontynentu Europy. Ani jedna z istniejących gdziekolwiek dróg żelaznych nie ma i nie będzie miéć tego znaczenia, co droga żelazna syberyjska. Koléj syberyjska połączy dwie najstarsze i najludniejsze części świata, Europę i Azyę w całéj rozciągłości, rozwinie jedną żelazną wstęgę pomiędzy dwoma oceanami, Atlantyckim i Wielkim i nie pozostanie bez wpływu nawet na zachodnie pobrzeże trzeciéj części świata, Ameryki, zwłaszcza północnéj (Kalifornii). Świst lokomotywy nad Bajkałem i Amurem niewątpliwie w bliskiéj już przyszłości zniewoli do większéj gościnności ten świat rozległy, z ludnością, o wiele liczniejszą od całéj Europy, oddzielny i zamknięty w sobie, którego w ciągu przeszło 4000-letniego istnienia żadne burze zewnętrzne i wewnętrzne z posad ruszyć nie mogły. Z tych to względów, powtarzamy, żadna z dróg żelaznych starego i nowego świata nie może miéć tego znaczenia, jakie będzie miała koléj syberyjska, która zwłaszcza w dziejach handlu wszechświatowego, niewątpliwie zajmie nader wybitne, epokowe miejsce.

Ze względu na tę niezmierną doniosłość budującego się toru kolejowego, chcemy poznajomić czytelników z ogólną topografią kolei syberyjskiéj i ekonomicznėm jéj znaczeniem, tak dla całego kontynentu, jak i specyalnie dla naszego kraju.

Myśl zbudowania kolei syberyjskiéj, wogóle nie nowa, powstała jeszcze przed trzydziestu laty, wkrótce po utrwaleniu się Rosyi nad dolnym Amurem i brzegami oceanu w sąsiedztwie z Koreą. Przed 20 laty wyraziła się w akcie prawodawczym, lecz z powodu ogromu przedsięwzięcia, wymagającego olbrzymich kapitałów i trudności technicznych saméj budowy, dopiéro przed kilku laty można było wejść w okres rozpoczęcia robót.

Różne przyczyny spowodowały powzięcie ostatecznéj decyzyi w sprawie szybkiéj budowy kolei syberyjskiéj.

Na dalekim Wschodzie, który dla europejczyka był jakby martwym, w śnie wiecznym pogrążonym, w ostatniéj ćwierci bieżącego stulecia nastąpiło przebudzenie. Japonia, która do owego czasu była krajem niemal barbarzyńskim, nagle zapragnęła stanąć w rzędzie państw cywilizowanych i to pragnienie zaczęła urzeczywistniać z niesłychaną dotąd w dziejach świata energią, jaką nawet Stany Zjednoczone poszczycić się nie mogą. W ciągu niespełna ćwierci wieku przyswoiła sobie nietylko koleje żelazne (obecnie buduje sieć dróg, która połączy wszystkie bez wyjątku miasta i porty), telegrafy, telefony, otworzyła uniwersytet, akademie i inne wyższe zakłady naukowe, ale nawet przyjęła prawie bez zmiany kodeks Napoleona, co już ze względu na stosunki azyatyckie, wygląda nieco na ekscentryczność. Jeden z naszych towarzyszy, powołany przed kilkunastu laty przez kapitalistów japońskich do przyjęcia udziału w przemyśle bawełnianym, pisze nam, że jadąc pierwszy raz koleją z Yokohamy do Tokio, zdumiony był rozmową angielską agentów kolei — Japończyków. W przemyśle bawełnianym, który, nawiasem mówiąc, bardzo szybko się w Japonii rozwija, znalazł tak udoskonalone maszyny przędzalnicze, jakie nie często i na kontynencie europejskim spotykał. Tysiące Japończyków uczęszcza do najgłośniejszych zakładów naukowych w Europie i Ameryce, bądź kosztem rządu, bądź stowarzyszeń prywatnych. Uczeni japońscy, zwłaszcza w dziedzinie medycyny, nauk ścisłych i ekonomiki, w ostatnich latach zajęli téż niepoślednie miejsce.

Otóż Japonia, państwo ambitne, morskie, samo mianujące się Anglią dalekiego Wschodu, z 42-milionową ludnością, wogóle nieco gęstszą, a ze względu na nieużytki, jak góry, skały i t. p., znacznie gęstszą od gubernii Królestwa Polskiego, czuje się ścieśnioną obecnemi granicami i pożądliwie spogląda na puste terytorya kontynentu azyatyckiego, które radaby użyć dla swéj kolonizacyi.

Z drugiéj strony i Chiny, chociaż bez porównania powolniéj, niż Japonia, wykazały także dążenia nowatorskie. Sieć telegraficzna łączy już obecnie najdalsze zakątki państwa niebieskiego, powstają rozliczne fabryki i doki dla budowy okrętów wojennych. Przed kilku téż laty rozpoczęły budowę wielkiéj kolei żelaznéj, od Tiencinu biegnącéj na północ do Girina w sąsiedztwie kraju Ussuryjskiego i na południe w kierunku Kantonu.

Powody ekonomiczne budowy kolei syberyjskiéj są nierównie ważniejsze. W Syberyi przemysł prawie nie istnieje, jedyna gałąź górnictwa — kopalnie złota, jak wykazaliśmy już w artykule „Złoto i srebro” („Ateneum”, zeszyt marcowy r. b.), wyzyskiwane są dotąd sposobem nader pierwotnym. Rolnictwo, zwłaszcza w zachodniéj Syberyi,

pomimo nader bogatéj gleby dziewiczéj, dla braku rąk mało rozwinięte, a brak rąk jest skutkiem bardzo rzadkiéj ludności i trudnéj komunikacyi z okolicami bardziéj zaludnionemi. Handel ogranicza się tylko do potrzeb miejscowych, a zewnętrzny z Chinami prawie wyłącznie tylko herbatą, skórami i tkaninami. Słowem, dotychczasowy ruch ekonomiczny Syberyi jest małoznaczny dla państwa, a prawie żaden dla reszty kontynentu Europy.

Zanim wskażemy na prawdopodobne zmiany obecnego stanu, poznajomimy czytelników z samym planem budowy kolei syberyjskiéj.

Jeżeli zastanowić się bliżéj nad geograficzném i etnograficzném znaczeniem obszarów, leżących za Wołgą w kierunku Urala, to naczelny punkt kolei syberyjskiéj należałoby odnieść do brzegów Wołgi, a właściwie do Samary, to jest o 1,169 wiorst bliżéj. Tak też pierwotnie sądzono, ustanawiając główny kierunek toru kolejowego, że jednak jeszcze przed wydaniem ostatniéj decyzyi, droga żelazna od Samary do Czelabińska została już zbudowaną, to krańcowy punkt téj kolei (Czelabińsk) postanowiono przyjąć za początek kolei syberyjskiéj, która tym sposobem zamiast 8,281 wiorst (od Samary do Władywostoku), będzie miała tylko 7,112 wiorst (Czelabińsk—Władywostok) długości.

Postanowienie co do budowy kolei syberyjskiéj wydane zostało 17 marca 1891 r., a ostateczny plan i rozkaz budowy obejmuje ukaz z d. 10 grudnia 1892 r.

Drogę żelazną Syberyjską podzielono na sześć wielkich części, mianowicie:

I.	zachodnio-syberyjską, od Czelabińska do rzeki Ob,	długości	1,328	wiorst.
II.	środkowo-syberyjską, od rzeki Ob do Irkucka,	„	1,754	„
III.	bajkalską, okrążającą Bajkał, od Irkucka do Mysowskiéj	„	292	„
IV.	zabajkalską, od Mysowskiej do Srjetienska	„	1,009	„
V.	amurską, od Srjetienska do Chabarówki	„	2,000	„
VI.	ussuryjską, od Chabarówki do Władywostoku	„	729	„
	Łącznie	długości	7,112	wiorst,
	doliczając linię, która łączy istniejącą już drogę uralską z syberyjską	„	238	„
	ogólna długość kolei syberyjskiéj i łącznicy wyniesie	długości	7,350	wiorst

Budowa dokonywa się obecnie na przestrzeni od Czelabińska do Irkucka, od Władywostoku do Chabarówki i na łącznicy drogi Uralskiéj z syberyjską. Z ogółu robót wykonano $^1/_6$ i oddano do użytku publiczności $^1/_7$ część całéj długości kolei syberyjskiéj. Pierwotnie roboty rozłożono na 12 lat (1893—1904), lecz prawdopodobnie koniec bieżącego stulecia będzie też chwilą ukończenia robót budowy całéj

drogi, część zaś do Irkucka (3,082 wiorst) postanowiono ukończyć najpóźniéj za cztery lata, t. j. w 1898 r. i tym sposobem Warszawa, oddalona od Irkucka o 6,499 wiorst, będzie wkrótce już połączona jednym nieprzerwanym torem kolejowym.

Koléj syberyjska w pierwszym swym oddziale przebieży dosyć równą płaszczyznę, przeciąwszy wielkie rzeki Irtysz i Ob i znaczniejsze Tobol i Iszim. Następnie pomiędzy rzekami Ob i Tom przejdzie miejscowość górzystą z głębokiemi jarami. Daléj, od Aczyńska do Irkucka budowa napotka wielkie trudności techniczne, gdyż cała ta przestrzeń pokryta górami, w których będzie przebite kilka znacznych tuneli a także dziesięć mostów, długości 100—200 sążni, oprócz wielkiego mostu pod Krasnojarskiem na Jeniseju (450 sążni).

Linia bajkalska (292 wiorst), od Irkucka do Mysowskiéj, okrąży Bajkał, biegnąc bez przerwy po pochyłościach gór, licznych wiaduktach i tunelach, z których najdłuższy będzie miał przeszło 3½ wiorst. Z tego powodu część ta drogi będzie najtrudniejszą, najkosztowniejszą i najwięcéj téż czasu do ukończenia robót potrzebującą. Łatwiejszą, chociaż także w miejscowości górzystéj, będzie linia zabajkalska (1,009 wiorst), która przetnie wiele znacznych rzek, jak: Brań, Chodun, Kondu, Czita, Nercza i nader ważną Selengę, biegnącą z głębi Chin, na któréj most będzie miał 455 sążni długości. Linia amurska, od Srjetienska do Chabarówki (2,000 wiorst) będzie najdłuższą i przejdzie kilka wielkich rzek, jak: Zeja, Bureja, oraz największą na całéj linii syberyjskiéj Amur, na którym będzie zbudowany most 1,260 sążni, t. j. przeszło 2½ wiorsty długości. Nakoniec linia ussuryjska, od Chabarówki do Władywostoku (729 wiorst), w większéj połowie już ukończona, wzdłuż przebiegnie dolinę rzeki Ussuri aż do kresu kolei syberyjskiéj, Władywostoku.

Koszta budowy drogi syberyjskiéj wraz z taborem obliczono, jak następuje:

Dla linii od Czelabińska do Irkucka (3,082 wiorst)	119,534,377	rubli,
„ bajkalskiéj (292 wiorst)	22,310,820	„
„ zabajkalskiéj (1,009 wiorst)	53,309,817	„
„ amurskiéj (2,000 wiorst)	107,555,835	„
„ ussuryjskiéj (729 wiorst)	36,399,633	„
Dla łącznicy uralsko-syberyjskiéj (238 wiorst)	7,738,952	„
Różne dodatkowe wydatki	11,100,000	„
Ogółem koszta budowy kolei syberyjskiéj wyniosą	357,949,434	rubli,

czyli średnio po 48,701 rubli na jedną wiorstę. Lecz suma ta prawdopodobnie znacznie podwyższoną będzie, gdyż tabor kolei obliczono na 3 pary pociągów dziennie, to jest zamierzono zaopatrzyć całą linię

tylko 700 lokomotywami, oraz 422 osobowemi i 7,693 towarowemi wagonami.

Jakie prawdopodobnie wywrze skutki budowa drogi syberyjskiéj? Przedewszystkiém skieruje ruch emigracyjny z wewnętrznych gubernii do Syberyi. Ludność Syberyi wynosi około 5 milionów, co stanowi zaledwie $^1/_2$ mieszkańca na jeden kilometr kwadr. Najludniejsza gub. Tomska liczy $1^1/_2$, a Tobolska tylko 1 mieszkańca na kilometr kw. Jeżeli nawet $^3/_4$ terytoryum Syberyi odliczymy na puste przestrzenie północne, to i w tym razie średnia wyniesie tylko 2, a w gub. Tomskiéj 6 mieszkańców na kilometr. Tymczasem południowo-zachodnia część Syberyi z bardzo żyznym czarnoziemem obejmuje przestrzeń równą terytoryum Francyi, nie mówiąc już o kraju Ussuryjskim, mającym tłusty ciężki czarnoziem, długie lata nie potrzebujący sztucznéj mierzwy. Z drugiéj strony, jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydaje się nieprawdopodobném, włościanin wielkorosyjski nader często cierpi na wielki niedostatek ziemi własnéj lub gminnéj, gdyż przy reformie włościańskiéj innemi tam kierowano się zasadami przy uposażeniu ziemią. I dlatego téż emigracya włościan wielkorosyjskich ma racyonalne podstawy, uznane i przez organa wykonawcze.

Emigracya do Syberyi w ostatnich latach przybrała wielkie rozmiary, gdyż w przeciągu 7 lat (1885 — 1891) przesiedliło się około 188,000, a w jednym tylko 1891 roku aż 60,000 ludzi, bez względu na niezmierne trudności z powodu braku choćby znośnych komunikacyi, a wielkich przestrzeni, które bądź drogą wodną, bądź lądową, pieszo, po bezdrożach przechodzić potrzeba. Jeżeli więc tak znaczna liczba emigruje bez względu na tak ciężkie warunki, to ileż przesiedlać się będzie, gdy koléj choćby do Irkucka ukończoną zostanie?

Z powiększeniem się ludności szybko naturalnie wzrośnie wytwórczość rolnicza, zwłaszcza na tak urodzajnéj glebie, jak w południowo-zachodniéj Syberyi. Już dziś nierzadko cena żyta obniża się tam do 15 kop. za pud, więc znaczne powiększenie produkcyi rolnéj mogłoby nader szkodliwie wpłynąć na rolnictwo wewnątrz państwa, a nawet ewentualnie i nad Wisłą, dlatego téż niedawno postanowiono połączyć koléj uralską z Archangielskiem, aby zbożu syberyjskiemu ułatwić wywóz zagranicę i utrudnić dostęp na rynki wewnętrzne.

Koléj syberyjska ujednostajni téż ceny zboża w saméj Syberyi, które tamże niesłychanie są chwiejne. I tak, gdy np. w okręgu Ałtajskim cena żyta była 15 kop. za pud, to w Irkucku dochodziła do 180 kop., a w Błagowieszczeńsku do 220 k. za pud, nawet w gub. Tomskiéj, względnie do miejscowości, cena żyta chwieje się pomiędzy 15 i 110

kop. za pud. Z przeprowadzeniem kolei syberyjskiéj naturalnie znikną, a przynajmniéj zmniejszą się te anomalie różnicy cen, co znowu spowoduje znaczne zwiększenie spożycia. Nietylko zboże, lecz i inne towary również zmienną, a zawsze wysoką mają cenę; arszyn np. perkalu kosztującego 11 kop. przedaje się nad Amurem po 22—25 kop., a pud nafty po $5^1/_2$ rubla, większość zapasów żywności w kraju Ussuryjskim pochodzi z Chin, Korei, Japonii, a nawet z Ameryki.

Przemysł, z wyjątkiem kopalni złota, w Syberyi także prawie nie istnieje, pomimo stwierdzonego już bogactwa mineralnego. Przemysł fabryczny mało znany, górniczy zaś wykazuje w r. 1890 następujące rezultaty, a mianowicie dobyto w Syberyi:

złota	1,858	pudów	surowcu	438,382	pudów
srebra	808	„	żelaza	264,802	„
ołowiu	41,821	„	węgli kam.	2,071,157	„
miedzi	19,337	„	soli	3,613,780	„

Już obecnie robią się wielkie przygotowania celem ożywienia wytwórczości górniczéj, zwłaszcza przez cudzoziemców, tworzą się wielkie kompanie akcyjne, z których jedna francuska z kapitałem 5 milionów rubli złotem, już zatwierdzoną została.

Handel wewnętrzny Syberyi ocenia się obecnie na 50 mil. rubli, ale ponieważ większość towarów przedaje się za podwójną i potrójną cenę, to z ukończeniem budowy kolei syberyjskiéj handel niewątpliwie odrazu przynajmniéj się podwoi, gdyż obniżenie cen znakomicie zwiększy spożycie i ułatwi towarom dostęp na rynki zewnętrzne, szczególniéj w Chinach i Korei.

Koléj syberyjska, jeżeli zwłaszcza i do niéj zastosowane zostaną nowe taryfy, niesłychanie ułatwi i uprzystępni komunikacyę nietylko z całém państwem, ale i z resztą kontynentu europejskiego, oraz z Chinami i Japonią. Nowe taryfy pasażerskie, w zastosowaniu do kolei syberyjskiéj, będą miały doniosłe znaczenie dla handlu wewnętrznego, oraz dla ruchu tranzytowego pomiędzy Zachodem, oraz Chinami, a głównie Japonią. Podróż np. z Londynu lub Paryża do Japonii morzem trwa od 45 — 50 dni, jest nader kosztowną (bilet I-éj klasy dochodzi nawet 800 rubli) i uciążliwą, gdyż trzeba przepływać strefę gorącą, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie wogóle podróży morskiéj. Tymczasem w przypuszczeniu, że nowe taryfy osobowe zastosowane będą i do kolei syberyjskiéj, koszta podróży (biletu) wyniosą:

z Warszawy do Irkucka (6,499 wiorst)	w III kl. 31 r.,	w II kl. $46^1/_2$ r.,	w I kl. $77^1/_2$ r.
„ Władywostoku (10,529 w.)	„ 47 r.	„ $70^1/_2$ r.	„ $117^1/_2$ r.

Wobec tak wielkiéj taniości, bezpieczeństwa i skrócenia o połowę cza-

su podróży, cały ruch osobowy międzynarodowy niewątpliwie skieruje się na drogę syberyjską, głównie gościńcem idącym na Warszawę, która tym sposobem zamiast kiwających się na wystawach sklepowych, oglądać będzie naturalnych, żywych Chińczyków i Japończyków, a zwłaszcza tych ostatnich z ich egzotycznemi pięknościami.

Co się tyczy towarowego ruchu tranzytowego, to i w tym dziale kolej syberyjska wielkie znaczenie mieć będzie. Ludność Chin, Korei i Japonii wynosi około 500 milionów, a obroty handlu zewnętrznego tych krajów dochodzą 600 milionów rubli. Lecz co do Chin, nie zapominajmy, że obrót towarami europejskiemi prawie wyłącznie dokonywa się w portach oceanu Wielkiego. Przytém w Chinach, z małemi wyjątkami, brak dróg w znaczeniu europejskiém. Towary do wnętrza państwa dostają się rzekami, niekiedy rozwożą się wołami lub wielbłądami, a najczęściéj są roznoszone, zwłaszcza w stronach górzystych. Taki sposób transportowania nader kosztowny i dużo zabiérający czasu, mianowicie dla prowincyi oddalonych od brzegów morskich, które z tych powodów mogą korzystać tylko z cenniejszych towarów europejskich. Prawda, że transport morzem znacznie tańszy od kolejowego, lecz tę różnicę w znacznéj części niweczą: długi czas przewozu, droższe opakowanie, a co najważniejsza ubezpieczenia, które dla wschodnich frachtów morskich są nader kosztowne. Dziś już niektóre towary, jak jedwab', cenniejsze tkaniny, porcelana, dostawiane są z Chin do Europy przez Amerykę drogą kanadyjską. Towary te niewątpliwie skierują się na drogę syberyjską, jako krótszą, tańszą i niewymagającą tylokrotnego przeładowania, co przez Kanadę.

Droga syberyjska, począwszy od Krasnojarska aż do Władywostoku, to jest na przestrzeni przeszło 5,000 wiorst, biedz będzie w niewielkiéj odległości od granicy chińskiéj, co bardzo ułatwi zbyt towarów do wnętrza Chin i stamtąd na rynki europejskie. Jak powiedzieliśmy wyżéj, w Chinach buduje się droga żelazna z Tiencina do Girina w sąsiedztwie linii ussuryjskiéj, którą prawdopodobnie w celach strategicznych Chińczycy przedłużą daléj na północ, w kierunku Chabarówki lub Władywostoku. Tym sposobem i Pekin, leżący w sąsiedztwie Tiencina i północne porty chińskie byłyby połączone nieprzerwanym torem kolejowym z Moskwą, Warszawą i całym kontynentem europejskim.

Bliższym i ważniejszym dla Rosyi punktem będzie stacya kolei syberyjskiéj Wierchneudinsk (za Bajkałem). W tém miejscu tor kolejowy przetnie wielką i spławną rzekę Selengę, biegnącą z wnętrza Chin, tuż obok Kiachty i chińskiego Majmaczynu, które są odwiecznemi rynkami handlowemi Rosyi z Chinami. Bliskie sąsiedztwo kolei

syberyjskiéj z Chinami na tak wielkiéj długości, niewątpliwie wywoła energię synów państwa niebieskiego i spowoduje budowę kolei z Kiachty do wnętrza Chin w niedalekiéj już przyszłości.

Wracając do ruchu tranzytowego towarów, widzimy, że $^3/_5$ ogólnego wywozu z Chin stanowią herbata i jedwab', mianowicie w roku 1890 wywieziono z Chin:

jedwabiu za	7,848,000 funt. szt.
herbaty	6,916,000 „ „

których wywóz na rynki europejskie w znacznéj części skieruje się na drogę syberyjską. Zwłaszcza co do herbaty, ten kierunek leży w interesach samych Chin, gdyż Anglia, mając prawie monopol transportów morskich i produkując w Indyach wschodnich wielką ilość herbaty, wszelkiemi sposobami stara się utrudnić dostawę tego towaru na targi Europy.

Celem bliższego jeszcze określenia przyszłości handlu wewnętrznego i pośredniczącego z dalekim Wschodem, zastanowimy się nieco nad obecnym stanem jego wytwórczości, a zwłaszcza Chin, z któremi i Warszawa powinnaby zawiązać bezpośrednie stosunki, jeżeli chce zająć w handlu międzynarodowym to stanowisko, które jéj samo położenie geograficzne wskazało, a które już raz posiąść zaniedbała.

Państwo niebieskie zajmuje terytoryum przeszło 11 mil. kilom. kwadratowych, t. j. 87 razy większe od gubernii Królestwa Polskiego, w tém prawie połowa przypada na właściwe Chiny, a resztę zajmują Mandżurya, Mongolia i Tybet. Odległość Pekinu np. od Kaszgaru wynosi 5,012 wiorst, a to najlepiéj świadczy o ogromie państwa. Tak wielka przestrzeń musi się téż znajdować w rozmaitych warunkach klimatycznych, powodujących różność kultury, rozmaitość płodów rolniczych i wytwórczości przemysłowéj. Południowe prowincye Chin uprawiają głównie ryż, trzcinę cukrową, herbatę, bambus, rośliny lekarskie; strony leżące powyżéj sieją zboża, hodują jedwabniki i odznaczają się przemysłem, gdy tymczasem prowincye północne cechują bogactwo kopalniane, oraz hodowla bydła i innych zwierząt, np. wielkich stad psów w Mandżuryi.

J e d w a b' jest najcenniejszym przedmiotem wywozowym Chin, tak ze względu na swą wewnętrzną wartość, jak i z przyczyny ogólnéj sumy wywozu tego produktu. Wytwórczość jedwabiu surowego w Chinach wynosi około 10 milionów kilogramów, z których $^2/_5$, wartości około 8 milionów funtów szterlingów, odprawia Shang-haï i Kanton na rynki europejskie, głównie do Londynu i Lyonu. Hodowlą jedwabników i przemysłem jedwabnym zajmuje się stale około milio-

na Chińczyków. Przemysł głównie jest domowy i drobno-fabryczny, bez użycia motorów parowych, tylko Shangaï i Kanton posiadają przędzalnie jedwabiu na europejski sposób urządzone. Przemysł jedwabny najbardziéj kwitnie w prowincyi Schentouan, posiadającéj przeszło 2,000 fabryk, najwięcéj zaś surowego jedwabiu dostarcza prowincya Tsché-king.

Jedwab' skupują agenci w całém państwie maleńkiemi partyami i odprawiają głównie do Shangaï, gdzie pod nadzorem inspektorów *(silk-inspectors)* nader skrupulatnie bywa sortowany. Jedwab' chiński cechuje wielka rozmaitość gatunków, gdyż jedwabniki nietylko w domach są hodowane, ale téż żyją w stanie dzikim na drzewach, między temi ostatnimi najważniejszy gatunek Antheraea Pernyi, żyjący w lasach dębowych na skłonach gór.

Jedwab' z powodu małéj objętości, a wielkiéj wartości łatwo zniesie taryfy kolejowe wyższe od morskich i niewątpliwie wywóz chiński na rynki europejskie skieruje się prawie całkowicie drogą syberyjską.

H e r b a t a zajmuje drugie miejsce w wywozie Chin, chociaż z każdym rokiem wywóz herbaty napotyka coraz większe trudności, z powodu współzawodnictwa Japonii, a zwłaszcza Indyi wschodnich.

Herbata w znaczeniu handlowém jest towarem przygotowanym z liści krzewu tegoż nazwiska, kulturą uszlachetnionego, z nieznaczną domieszką innych roślin, dla spotęgowania aromatu i jeszcze mniejszém dodaniem barwników dla otrzymania wyciągu żądanego koloru. Krzew herbaty rośnie nie na całém terytoryum Chin, lecz głównie w południowo-wschodniéj części. Krzew w kulturze będący wynosi 5—6 stóp wysokości, o liściach lancetowatych 4 — 5 cali długich, w stanie zaś dzikim zamienia się na drzewo do 30-tu stóp wysokie. Krzew herbaty uprawia się zwykle na stokach gór, najczęściéj długiemi rzędami z małemi odstępami, bez żadnego umierzwienia. Liście obrywają się dopiéro z trzyletnich krzewów, które po dziesięcioletniém użytkowaniu zastępowane są nowemi sadzonkami. Praca plantatora polega na uprawie krzewu, zebraniu i sortowaniu liści, przygotowanie zaś herbaty handlowéj jest przedmiotem fabrykacyi, polegającéj na wysuszeniu liści bądź drogą kosztowniejszą na słońcu, bądź sposobem sztucznym w żelaznych cylindrach. Następnie liściom nadaje się żądana forma i kolor przez silniejsze ogrzanie (herbata czarna), lub zabarwienie krajowém indygiem w połączeniu z korzeniem imbieru żółtego (herbata zielona). Wszystkie te czynności dokonywają się ręcz-

nie, lub przy pomocy nóg; maszyny angielskie nie mają dotąd w Chinach zastosowania, gdyż temu i rząd i naród bardzo się opiéra.

Przez długie wieki Chiny miały monopol w przygotowaniu herbaty, dopiéro w r. 1840 odkrycie herbaty dziko rosnącéj w lasach Assam w Indyach wschodnich dało początek plantacyom indyjskim. Odkrycie herbaty w Assam wywołało niezmierny entuzyazm w Indyach spotęgowany początkowém mniemaniem o wyższości rośliny indyjskiéj. Rzeczywiście herbata w Assam była drzewem do 30 stóp wysokiém, o liściach lśniących, dwa razy dłuższych i dających bez porównania mocniejszy wyciąg, niż liście krzewu chińskiego. Lecz wkrótce przekonano się, że herbata z Assam w innych okolicach nie może być z korzyścią uprawiana, a co się tyczy wyciągu, to chociaż on jest mocniejszy, ale za to cierpki i nieprzyjemny w smaku dla spożywcy przywykłego do towaru chińskiego. Pomimo to Anglicy, bez względu na wielkie straty poniesione wskutek gorączki herbacianéj, nie dali za wygraną i z pomocą nauki uszlachetnili krzew, maszyny zaś zrównoważyły taniość robotnika chińskiego.

Chociaż i dziś herbata indyjska pod względem smaku i aromatu znacznie się różni od chińskiéj, to jednak Anglicy, nie szczędzą usiłowań w celu rozpowszechnienia swego towaru i usunięcia chińskiego z rynków europejskich. Stanowcza walka herbaciana odbędzie się dopiéro po przeprowadzeniu kolei syberyjskiéj, w któréj odnośnie do kontynentu Europy, zdaniem naszém, Chiny zwyciężą, gdyż wtedy będą mogły rzucić na rynki masę prawdziwéj herbaty „lądowéj” z delikatniejszym smakiem i silniejszym aromatem, niż herbata indyjska. W interesie téż Chin leżéć będzie udogodnienie i uprzystępnienie komunikacyi z drogą syberyjską.

Herbatę uprawiają głównie prowincye: Houpe, Hounan i Foutcheou, handel zaś tym towarem ześrodkował się w Shang-haï, Kantonie, Tiencinie, Hankou i Fou-tcheou. Do niedawna Londyn był niejako monopolistą herbaty chińskiéj, lecz od kilku lat kupcy ruscy znacznie rozszerzyli swoją działalność przez otworzenie kantorów w portach chińskich, a także w Kałganie i Urgie, leżących przy drodze kiachtyńskiéj i wywóz herbaty chińskiéj do Londynu zmniejszył się o połowę.

Posiadanie w Chinach „własnych” plantacyi herbaty tak wytrwale reklamowane w dziennikach moskiewskich i warszawskich, należy do utworów fantazyi podnieconéj spekulacyą. Rola europejskich agentów w portach chińskich ogranicza się do kupna gotowego towaru, i odprawy drogą morską głównie z Shangaï, lub lądową przez Kałgan i Kiachtę. Wprawdzie parę firm ruskich posiada w portach własne

fabryki, lecz wyłącznie dla przygotowania herbaty cegiełkowéj (kirpicznéj lub plitocznéj) z odpadków téj rośliny. Zresztą i firm ruskich w Chinach jest zaledwie kilka, mianowicie:

1) Tokmakow, Mołotkow, Starkow i K°. posiada swe kantory w Hankou, Fou-tcheau, Tiencinie, Kiachcie i Moskwie;

2) Piatkow, Mołczanow i K°. w Hankou, Tiencinie i Fou-tcheau;

3) A. A. Rodionow i K°. w Hankau i Tiencinie.

Nawet wielkie firmy, handlujące herbatą w Moskwie, nie mają nietylko „własnych" plantacyi, ale nawet i własnych agentów w Chinach, herbatę zaś kupują zwykle w Londynie, Irbicie, Kiachcie, Niżnym Nowogrodzie, a jeżeli kupują w Chinach, to za pośrednictwem wyżéj wskazanych trzech firm ruskich lub domów handlowych angielskich.

Cukier w Chinach jest przedmiotem spożycia w stopniu znacznie wyższym, aniżeli w jakimkolwiek innym kraju. Ilość spożywanego cukru jest miarą zamożności Chińczyka, który spożywa masę słodyczy pod rozmaitą postacią. Mimo to, wyrób cukru w Chinach przewyższa zapotrzebowanie, a nadmiar około 3 milionów pudów wywożony bywa na inne rynki azyatyckie lub amerykańskie. Wyspa Formoza jest ogniskiem cukrownictwa chińskiego.

Głównym materyałem na odzież Chińczyka są wyroby bawełniane; towary lniane mało są znane, a jedwabne dostępne tylko dla bogatych. Z tego powodu rząd chiński bardzo się troszczy o rozszerzenie plantacyi bawełnianych i samego przemysłu. Posiada nawet własną tkalnię i dwie przędzalnie bawełny o 37,000 wrzecion w Shangaï, a trzecią przędzalnię o 25,000 wrzecion w Hankou. Fabryki te są wzorowo urządzone na sposób europejski z udoskonalonemi maszynami angielskiemi.

Chiny produkują 20 mil. pudów bawełny, przerabiają zaś około 24 mil. pudów, brakującą część zakupują w Indyach. Lecz wytwórczość chińska zaspakaja zaledwie część potrzeb, resztę zaś Manchester, Stany Zjednoczone, a od 10 lat Indye Wschodnie, groźny konkurent pierwszego. Z otwarciem kolei syberyjskiéj choćby do Irkucka, przemysł bawełniany Królestwa może liczyć na bardzo znaczny zbyt, jeżeli potrafi zastosować się do potrzeb i zwyczajów chińskich. Oszczędność Chińczyka dochodzi granic niemożliwych dla Europejczyka, dlatego téż Chińczyk kupuje nie to co mu przywiozą, ale to co mu jest potrzebne i co ściśle odpowiada jego nawyknieniu i zwyczajom. Tkaniny choćby najtrwalszéj i najpiękniejszéj nie kupi, gdy ta będzie na cal szerszą od zwykle używanéj. Przedaż przędzy bawełnianéj łatwiéj może przybrać znaczne rozmiary, gdyż zapotrzebowanie

jéj dla Chin bardzo wielkie i nie doznaje przeszkód ze strony rządu chińskiego. Z tkanin bawełnianych największym popytem cieszy się szyrting i grube wyroby na odzież z odpadków bawełnianych.

Plantacye maku, jako surogatu opium, także wielkiéj doznają opieki państwa niebieskiego, choć w zasadzie opium nie cieszy się względami rządu chińskiego.

Opium pochodzi z Azyi Mniejszéj, skąd je Arabowie, jako lekarstwo, przenieśli w IX-ém stuleciu do Chin. Dopiéro w XVII-ym wieku rozpowszechniło się w państwie niebieskiém użycie opium, dostarczane z Indyi wschodnich. Opium, jak wiadomo, było przyczyną w 1840 r. wypowiedzenia wojny przez Anglią (wskutek zniszczenia 23,000 pak opium przez wice-króla Kantonu) i pośrednio spowodowało otwarcie portów chińskich dla handlu europejskiego. Rząd więc chiński, zmuszony dozwolić na przywóz opium, stara się go zmniejszyć przez rozszerzenie krajowych plantacyi maku, co mu się téż udaje. W prowincyi Younnan pola makowe zajmują ⅓ całéj przestrzeni, mimo to przywóz opium wynosi jeszcze 20% ogółu przywozu do Chin.

Odwieczny handel porcelaną chińską jest niejako historyą handlu z dalekim Wschodem. Kiedy w 1708 r. powstała w Dreznie pierwsza europejska fabryka porcelany, to przemysł ten miał już tysiącoletnią historyę za sobą w Chinach. Wyrobem porcelany w jednéj tylko prowincyi zajmowało się 500 fabryk z milionem robotników. Przemysł ten miał już swoją epokę złotą (1662—1792 r.), któréj wyroby téż prawie na wagę złota są dziś cenione. Obecnie wyrób porcelany w Chinach pod względem artystycznym znajduje się w upadku, będąc jednak jeszcze ważnym przedmiotem wywozu.

Również w upadku znajduje się wyrób barwników roślinnych, oraz słynnych lakierów.

Chiny uprawiają bardzo wiele roślin lekarskich, zwłaszcza w Tybecie, oraz przygotowują masę specyfików leczniczych z materyałów roślinnych lub zwierzęcych. Wywóz jednych i drugich dotąd bardzo jest znaczny.

Prócz tego z Chin wiele wywożą produktów świata roślinnego i zwierzęcego w stanie surowym lub w wyrobach i niemniéj téż przywożą wytworów europejskich. Chiny np. mają olbrzymie bogactwa kopalniane złota, miedzi, rudy żelaznéj, węgla kamiennego w najlepszym gatunku, a mimo to przemysł metalurgiczny jest dopiéro w zaczątku. Dlatego téż wyroby i narzędzia żelazne i stalowe europejskie bardzo znacznym cieszą się popytem w Chinach.

Słowem, Chiny pod względem przywozu i wywozu stanowią nader wielki i ważny rynek dla przemysłu i handlu europejskiego. Tak

jeden jak i drugi przenikały tylko do portów chińskich i do sąsiednich im prowincyi. Droga syberyjska ułatwi dostęp do wnętrza państwa, dając jednocześnie przewagę wyrobom ruskim nad zagranicznemi.

Stosunki handlowe Zachodu z Chinami sięgają jeszcze czasów greckich i rzymskich. Głównym traktem handlowym był południowy Turkestan, a pośrednikami Persowie, a późniéj Syryjczycy i Arabowie. Dopiéro po odkryciu drogi morskiéj około przylądka Dobréj Nadziei u wybrzeży chińskich pojawiają w 1516 r. Portugalczycy, potém Hiszpanie, Holendrzy, w XVII-ém stuleciu Francuzi i Anglicy, a w XVIII Niemcy. Kanton był znany już wcześniéj, podczas rozkwitu potęgi Arabów, którzy prowadzili tu znaczny handel. Arabowie téż właściwie pierwsi rozpowszechnili w Europie zachodniéj wyroby chińskie.

Potęga Mongołów zniweczyła odwieczny trakt handlowy przez Turkestan. Chiny od północy odgrodziły się historycznym murem, a późniéj zamknęły i porty morskie, przekonawszy się, że pionierowie europejscy plany zaborcze nie zaś handlowe, mieli na celu. Dopiéro w 1842 r. po ukończeniu wojny z powodu opium, zmuszono Chiny do otwarcia pięciu portów, którą to liczbę traktatami z 1860 i 1878 r. podniesiono do 20.

Gdy od strony morskiéj Europa armatami torowała sobie dostęp do brzegów państwa niebieskiego, na północy i zachodzie Chin handel zawiązywał się i wzrastał drogą zupełnie pokojową. Po wielu próbach handlu karawanowego, stosunki handlowe Rosyi z Chinami ostatecznieześrodkowały się w Kiachcie przy pomocy głównych składów towarów ruskich w Irkucku i chińskich w Urgie i Kałganie. Oprócz Kiachty handel z Chinami odbywa i w innych miastach pogranicznych prowincyi, jak np. w Kobdo, Kuldży, Mukdenie i t. p., lecz rynki te dla braku dogodnych komunikacyi są podrzędnego znaczenia. Dopiéro z przeprowadzeniem drogi syberyjskiéj nad Amurem (około Chabarówki lub Błagowieszczeńska) niewątpliwie powstanie druga Kiachta, która, być może, zaćmi obrotami pierwszą.

Udział Japonii w przewozie osobowym i towarowym po drodze syberyjskiéj będzie nader znaczny, jaki zaś wywrze wpływ na stosunki ekonomiczne Królestwa, dziś określić niepodobna, choćby dlatego, że Japonia znajduje się jeszcze w epoce reformatorskiéj. Wytwórczość japońska bezprzykładnie szybko rośnie, lecz téż rośnie i ludność Japonii. Ekonomista japoński, T. Ourakami, oblicza w *L'Économiste français*, że za 50 lat ludność tego Albionu wschodniego dosięgnie 80 mil., co dla terytoryum, prawie trzy razy tylko większego od gubernii Królestwa Polskiego będzie chyba zawiele. Szybki wzrost ludności ($1^1/_3$% rocznie) Ourakami objaśnia nietyle stosunkiem urodzeń, ile pie-

czołowitością japonek o swe niemowlęta, a stąd zmniejszeniem ich śmiertelności. W tym kierunku Japonia wszystkie państwa europejskie, za wyłączeniem Anglii, daleko po za sobą pozostawiła. I tak:

	na 1,000 mieszkańców urodziło się	na 1,000 dzieci zmarło przed dojściem do 5 lat
w Rosyi	49,4	423
w Austryi	38,4	390
w Bawaryi	39,5	405,3
w Prusach	38,8	335,6
w Anglii	35,1	255,6
we Francyi	25,4	341,2
w Japonii	30,2	276

W ciągu 17 lat (1872—1889 r.) ludność Japonii wzrosła istotnie o 7 milionów mieszkańców i obecnie wynosi około 42 miliony.

Jak wyżéj powiedzieliśmy, koléj syberyjska, biegnąc na przestrzeni 5,000 wiorst wzdłuż granicy chińskiéj, ułatwi wytwórczości Rosyi dostęp do wnętrza państwa niebieskiego i zbyt produktów Chin na rynkach Europy. Ten międzynarodowy zbyt handlowy z dalekim Wschodem przechodzić będzie i przez Warszawę, która z niego mogłaby osiągnąć nie małe korzyści. Skoro koléj syberyjska w 1898 r. przechodzić będzie niedaleko od Kiachty, to należałoby przedsięwziąć już dziś środki, aby Warszawa znowu nie pozostała słupem wiorstowym przy trakcie.

Utworzenie w Warszawie Towarzystwa akcyjnego dla handlu ze Wschodem, któreby miało swoje agentury na początek w Kiachcie, Shan-gaï i Kantonie, oraz składy towarów w Irkucku, Tomsku i Kiachcie, uważamy za będące na dobie.

Leon Iwanicki.



W SZWAJCARYI.

Okres genewski w życiu J. Słowackiego

(1832 — 1836) *).

§ 3.

Jednego z ostatnich dni lipca zaproponowała Słowackiemu pani Wodzińska, wybierająca się z całą prawie rodziną na parę tygodni w Alpy Berneńskie, ażeby się przyłączył do ich grona. Projekt ten, oczywiście, trafił mu do przekonania od razu; pojmował bowiem, że taka wycieczka w góry, w najromantyczniejsze, najcudowniejszemi legendami opromienione strony ojczyzny Tella, wzbogaciłaby jego wyobraźnię niezliczoném mnóstwem obrazów, co, dla poety, nieocenionym mogło być poprostu nabytkiem. To też, choć okoliczności nie bardzo sprzyjały tak... kosztownemu bądź co bądź przedsięwzięciu, postanowił, nie bacząc na nic, skorzystać z okazyi i wybrać się. Widział wprawdzie, że Eglantyna (która po powrocie niedawno z Paryża, skąd mu przywiozła w upominku piękny kryształowy kielich, leżała chora w łóżku przez parę dni i teraz dopiéro zaczynała zwolna przychodzić do siebie) nie bardzo chętném na projekt ten spoglądała okiem—bo przykro jéj było pomyśléć o nowém z Juliuszem rozłącze-

*) Patrz zeszyt październikowy str. 1.

niu na parę tygodni — z drugiéj strony jednak nie uważał tego za wystarczający powód, ażeby się do towarzystwa Wodzińskich nie przyłączyć. Jedynemi względami, które go w domu zatrzymać mogły, były... względy materyalne, ale usunęła je pani Patteg, która przydała mu do jego wypróżnionéj kasy potrzebną ilość franków, tak, iż droga była przed nim wolna zupełnie. Nawet Eglantyna przekonała się ostatecznie, że za wiele żądała od swego „brata", kiedy nalegała nań, ażeby dla niéj to zrobił i nie jechał... Wszak i jemu także należało się trochę rozerwać! Tak długo nie wychylał się nigdzie!...

Skończyło się na tém, że dnia 31 lipca, na pokładzie statku, wypływającego z Genewy o godzinie 9-éj zrana, w gronie rodziny Wodzińskich, panny Mallet i młodego Darowskiego (albowiem on był zdaje się owym ziomkiem ze Żmudzi, o którym wspomina Słowacki w liście do matki) znalazł się także i autor Kordyana. Ten ostatni, w bluzie płóciennéj, haftowanéj zielonym jedwabiem [1]), z mantelzakiem na plecach, przepasany czarnym pasem skórzanym, w białych szarawarach, w kapeluszu z białéj i czarnéj słomy plecionym, dość niskim, ale z ogromnemi skrzydłami, ozdobionym ponsową wstążką, w trzewikach na grubéj podeszwie—umyślnie do chodzenia po górach—z wysokim, białym kijem w ręku (wyższym od niego), zakończonym u dołu kolcem żelaznym, podobny w tym fantastycznym kostyumie do sielankowego Filona, wyglądał tak młodo, że, jak powiada, dawano mu 15-tu lat wieku. Tak go zapewniano przynajmniéj, przemilczając tylko, że w kostyumie tym nietylko wyglądał bardzo młodo, ale i trochę... śmiesznie, i że przez pryzmat tego komicznego wrażenia miano się mu przypatrywać dłużéj znacznie, aniżeli trwała wycieczka... Nie okazywano mu tego jednak, a on, niedomyślny, wszystkie komplementy, któremi go darzono, brał za dobrą monetę i przekonany był, że się w tym sielankowym kostyumie rzeczywiście podobał pannom. Tymczasem rzecz się miała przeciwnie...

Rozległ się wreszcie sygnał do odjazdu, zahuczała basowym swym, jakby zachrypniętym głosem, świstawka parowa, tak głośno, że aż echo odbiło się o skały Salève, zdjęto pomost, zwinięto liny, zakotłowała się woda pod kołami i parostatek, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu, odbił od brzegu. Niebawem minął Paquis (gdzie niezawodnie,

---

[1]) Ten to kostyum mają niezawodnie na myśli panie Kościelska i Orpiszewska (Bibl. Warsz., 1893, IV, 203), opowiadając p. Wodzińskiemu, że „w pamięci ich tkwi dotąd wspomnienie płaszcza płóciennego z peleryną, ozdobioną z brzegu zielonym haftem".

powiewając chustką na pożegnanie, stała Eglantyna), potém wyjrzało Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, po chwili jednakże i Coppet zasunęło się w głąb... Z kolei przepływano koło Lausanne; koło Ferney, nad którém świecił się w słońcu krzyż kościoła, wzniesionego Panu Bogu przez... Voltaire'a; koło Clarens, skąd Saint-Preux, patrząc na skały Meilleries po drugiéj stronie jeziora, pisał do Julii swe najpiękniejsze listy; potém ukazał się unieśmiertelniony przez Byrona zamek Chillon; aż wreszcie, po siedmiogodzinnéj żegludze, wylądowano w miasteczku Villeneuve.

Z Villeneuve, dawnego Avencium, udano się dwoma wynajętemi powozami do sławnego (w Szwajcaryi) swojemi kopalniami soli miasteczka Bex, dokąd zawitano już o zachodzie słońca i gdzie zanocowano. Na tém zakończył się pierwszy dzień „wojażu", dzień wesoły od początku do końca, od chwili, kiedy się rano zeszli wszyscy w przystani, aż do chwili, kiedy sobie po wieczerzy, spożytéj w Bex, w jednym z tamtejszych domów zajezdnych, życzono wzajemnie dobréj nocy. Podróż statkiem parowym, przy najpiękniejszéj pogodzie, pod dachem płóciennym, ochraniającym od słońca, przy jednostajnym szumie rozbijanéj kołami wody, wśród powodzi światła dookoła, wśród najcudowniejszych krajobrazów (zeszpeconych jedynie, zdaniem Słowackiego, mnóstwem winnic, okrywających wszystkie wzgórza nadbrzeżne, a „nudnych dla wzroku"), podróż, urozmaicana śpiewami i śmiechem, rozmowami, wesołemi i poważnemi naprzemian, osładzana cukierkami, a dzięki zapasowi prowiantów obfitująca w liczne gastronomiczno-gambrynusowskie *intermezza*, wpłynęła na humor i usposobienie wszystkich o tyle dodatnio, iż życzyć sobie należało, ażeby reszta podróży w podobny przeszła sposób.

Nazajutrz, od samego rana, zaraz po śniadaniu, udano się do miejscowych kopalni soli. Kopalnie te, jak nasze w Wieliczce, ciągną się pół mili pod ziemią. Zwiedzanie ich, w płaszczach płóciennych, z kagankami żelaznemi w rękach, wśród ciemności korytarzów, wąskich i wilgotnych, przypominających kręgi dantejskiego Piekła, bardzo silne na wszystkich zrobiło wrażenie, a najsilniejsze zdaje się na Słowackim, który powiada, że „było w téj podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyę, zwłaszcza prochem rozsadzane skały". Reszta dnia upłynęła na oglądaniu samego miasteczka Bex i okolic, które są bardzo malownicze.

Ze świtem następnego poranku wyruszono w dalszą drogę: pani Wodzińska z córkami i panną Mallet — powozem; mężczyźni pieszo, obok. Pogoda była, jak wymarzona; góry, oświetlone wschodzącém słońcem, prześliczne; humor doskonały. Panna Mallet, stara panna,

„trochę podtatusiała”, nie mogąca spokojnie usiedzieć w powozie, dostarczała młodzieży, swojém zamiłowaniem do botaniki i swoją puszką zieloną do zbiérania owadów i roślin, niemało tematu do złośliwych konceptów i żartów; panny, Józefa i Marya (bo najmłodsza ich siostrzyczka, Terenia, została w domu pod opieką pana Basclop i pięknéj miss Wagner) uśmiéchały się do siebie, ile razy spojrzały na Słowackiego i na jego płócienną pelerynę z zielonym haftem (gdybyż o tém wiedział Słowacki!); najmłodszy z synów pani Wodzińskiéj, który z rozpaczy, że panna Saladin nie brała udziału w wycieczce, wziął na siebie rolę pajaca, pobudzał raz po raz towarzystwo całe do śmiechu; najstarszy, Antoni, smętny i zamyślony, bo „stracił niedawno i pochował w grobie kochankę”, uchodził w oczach wszystkich za „osobę melancholijną towarzystwa”; autor Kordyana, ani przypuszczając, że panny, kiedy nie patrzył na nie, żartowały sobie na temat jego peleryny, nie szczędził im komplementów, szczególniéj pannie Maryannie, która, uważał, bardzo „miłą” była i zajmującą (pani Wodzińska wydała mu się także „bardzo miłą osobą”): słowem, wycieczka zapowiadała się jaknajlepiéj, bo „różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię”. Zbiérano kwiaty, botanizowano, podziwiano piękne widoki, śpiéwano różne pieśni, co Słowackiemu dało pochop, że i on nie został w tyle za innymi, lecz, ośmielony przykładem towarzyszów, śpiéwał również [1]); i tak przez całą drogę aż do Martigny, gdzie przenocowano i skąd, znowu o świcie, jak poprzedniego dnia, wyruszono daléj.

O wschodzie słońca, kiedy Martigny dawno zniknęło już z oczu, a zaczynała się słynna, przez Napoleona wykuta droga na Simplon, droga, biegnąca pomiędzy dwiema olbrzymiemi ścianami skał, nad przepaścią i nad rwącym strumieniem, huczącym na dnie przepaści, spotkano pogrzéb wiejski. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz, przodem idący, stanowili cały orszak; a śpiéw pogrzebowy, zagłuszany szumem potoku, prawdziwie hamletowe nasuwał myśli, przynajmniéj Słowackiemu [2]), któremu ta żałobna gromadka przypomniała owe pogrzeby wiejskie, przez step ciągnące na cmentarz, jakie widywał niegdyś, dzieckiem będąc, w Wierzchówce na Podolu [3]). Albowiem, dziwna rzecz, podczas wycieczki téj ciągła zmiana miejscowości sprawiała często, że upatrywał w nich raz po raz podobieństwo ze swemi stronami rodzinnemi. „Nigdy (powiada) tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną: różne twarze znajomych i umarłych stawały po dro-

---

[1]) Listy z d. 21 sierpnia 1834 r. — [2]) Beniowski, Część druga, str. 93. — [3]) Ibidem.

gach i przeprowadzały mię, jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły mi się do ust moich; było mi smutno i miło." Dzięki wspomnieniom tym, ponieważ nic nie rozmarzało go tak, jak powrót myślą do lat dziecinnych, bywały chwile, w których i on, „ponury" i zamyślony, stawał się obok młodego Antosia Wodzińskiego „osobą melancholijną towarzystwa". Chwile takie nie trwały jednakże długo na szczęście, tak, iż poeta, nowemi ciągle zajęty widokami, nowemi wsiami, które mijano, nowymi ludźmi — przeważnie ubogimi — których spotykano, nie miał poprostu czasu na rozpamiętywanie rzeczy minionych: zbyt na to była interesującą i pogodną... teraźniejszość, która, chociażby tylko jako panorama, świéżemi wciąż poiła wzrok obrazami.

W ten sposób dotarto szczęśliwie, bez żadnych przygód, do wsi Bourg St. Pierre, od któréj począwszy, resztę drogi odbywano pod przewodnictwem *guide*'ów, na mułach. O godzinie 5-éj wieczorem wjechano w krainę lodów i śniegów, mając z boku lodowiec de Menouve, aż w końcu, między skałami, w ciemném już, mglistém powietrzu, osamotniony wśród dzikiéj okolicy górskiéj, ukazał się słynny klasztor Św. Bernarda, kres pierwszéj części podróży.

Przed klasztorem, na ganku, oczekiwał już gości ksiądz-gwardyan, w czarnym habicie. Na dziedzińcu, nieopodal, leżał ogromny pies. Za klasztorem, w którego kilku oknach świéciło się, błyszczało, oprawione w skalisto-śnieżne ramy, jezioro Champey, czarno-ołowianego koloru.

Klasztor sam, nazewnątrz jak i wewnątrz, wydał się Słowackiemu zachwycającym poprostu. Jako mury, jako budynek, jako siedziba, położona wśród wiecznych śniegów i zamieszkana przez ludzi, uciekających od burz i pokus życia, a oddanym Bogu, dobrym uczynkom, modlitwie i wzniosłéj kontemplacyi, żyjących duchem, nie ciałem, zrobił na nim przybytek ten (w r. 962 przez św. Bernarda z Mentony założony) bardzo podniosłe w pierwszéj chwili wrażenie. „Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania." Refleksya ta nasunęła się autorowi M n i c h a przy wieczerzy, podczas któréj panował jego zdaniem ton... zbyt świecki. Dla niego, który w swéj wyobraźni poetyckiéj identyfikował pojęcie zakonnika z pojęciem ascety, brakło tu przedewszystkiém téj atmosfery mistycznéj — podczas wieczerzy przynajmniéj — którą spodziéwał się znaleść w klasztorze. Ksiądz-gwardyan np. wprawił go w zdumienie swojém zachowaniem się światowém, które mogłoby zwrócić na siebie uwagę „nawet na dworze Ludwika XIV..." Że zaś i inni braciszkowie nie ustępowali pod tym względem swemu przełożonemu, więc skończyło się na tém,

że wspaniały refektarz gotycki — śmiało mogący służyć za tło jakiéjś romantyczno-ponuréj scenie z poematu Byrona lub romansu Walter-Scotta — przeobraził się ku niewymownemu zdziwieniu poety w jakiś wielkoświatowy salon z czasów Ludwika XIV, w którym towarzystwo, malowniczo ugrupowane dokoła wielkiego stołu, przy świetle lamp i trzaskającego na kominku ognia, „śmiechem i żartobliwą rozmową odstraszało wszelką myśl wzniosłą i smutną”.

Po skończonéj wieczerzy udano się na spoczynek: damy, jako nie mające prawa nocować w obrębie murów klasztornych, do przyległéj *dependence St. Louis*; mężczyzni do przeznaczonych dla siebie cel, zimnych, jak lodownie.

Nazajutrz, rano, zaraz po śniadaniu, obejrzano wszystkie osobliwości miejscowe, poczynając od kościoła, gdzie jest piękny pomnik generała Dessaix, a kończąc na t. zw. *morgue*, czyli małym domku w pobliżu klasztoru, gdzie bywają składane trupy znalezionych w górach—pod śniegiem najczęściéj—wędrowców. Okropny widok! Zmarzłe ciała mężczyzn i kobiét siedzą i leżą w różnych pozycyach, jedne do szkieletów podobne, drugie czarną skórą powleczone...

Z góry Św. Bernarda udano się znów z powrotem do Martigny, skąd po dwóch dniach pieszéj podróży doliną Rodanu, wśród „uśmiéchającéj się krainy wiosny”, zatrzymując się po drodze w różnych wsiach, miasteczkach, oberżach i nawet szaletach pasterskich, dotarto do sławnéj miejscowości kąpielowéj Louèche-les-Bains, gdzie przenocowano.

Z Louèche zrobiono wycieczkę na górę Gemmi. Trzy godziny jechać na nią potrzeba na mułach, a tak jest stercząca, że, przypatrując się jéj, łatwiéj pomyśléć o jakiéjś ścianie prostopadłéj, aniżeli o górze. Droga, w zygzak wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Szeroka cztery stopy zaledwie, tak, iż dwóm mułom wyminąć się na niéj trudno, wyżłobiona w granicie, na podobieństwo rynny, w ten sposób, że, idąc nią, zawsze się ma jakby sklepienie nad głową (w dni dżdżyste chroniące od deszczu, który tu nie ma przystępu) wznosi się ona piętrami coraz wyżéj, a tak przedziwnie, że dwaj podróżni, oddaleni od siebie nieraz o jakie sto kroków, już się nie widzą wzajemnie, ponieważ literalnie stoją... jeden nad drugim. Widok zewsząd, z każdego zakrętu, piękny nie do opisania. Stanąwszy na szczycie (co się wydaje wprost niemożebném, jeżeli się górze Gemmi przypatruje z dołu), obejmuje się jednym rzutem oka: całą dolinę Rodanu i całe pasmo Alp Berneńskich i Ober Wallis, nad których śnieżnemi wierzchołkami, tak efektownie rysującemi się na turkusowém tle nieba, króluje dumna Mont Rosa. W dole, u samego podnóża góry, na zielonéj równinie jaśnieje w słoń-

cu miasteczko Louèche, a jak powiada Słowacki w liście do matki i Teofilów, „żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowéj, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niéj są rozsypane, téj góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jéj szczytach. A ja to wszystko widziałem!” I nietylko widział, ale oglądał w miłém towarzystwie osób, w otoczeniu których czuł się, jak między swoimi, i z którymi—w rodzinnéj mowie—dzielić się mógł wszystkiemi odbiéranemi wrażeniami, wszystkiemi myślami, jakie mu się przesuwały przez mózg, wszystkiemi zachwytami, jakich doznawał. A doznawał ich przecież na każdym kroku!...

Ze szczytu góry Gemmi, po obiedzie w hotelu Wildstrubel, położonym tuż pod wierzchołkiem Daubenhorn'u na wysokości 2,952 metrów nad poziomem morza, poczęto zmierzać — pod wodzą przewodników — w kierunku północnym, drogą dziką, pustynną, pomiędzy skałami, gdzieniegdzie pokrytemi białemi szmatami śniegów, i znów w przeciągu paru godzin nie widziano dokoła siebie nic, tylko skały, śnieg, niebo i granatowo-czarne jeziora, przeważnie zamarznięte jeszcze do połowy, po których pływające kry dziwnie ponuro i złowrogo odbijały swą śnieżną białością od ciemno-błękitnéj tafli wody. Przechodząc tędy, mimowoli doznajesz złudzenia, że błądzisz po jakiéjś zimnéj, bezludnéj krainie śmierci. Całe szczęście, że, jakby w nagrodę za to przygnębiające uczucie, z chwilą, kiedy się staje na dole, po przeciwnéj stronie góry Gemmi, zaczyna się istna ziemia obiecana, pełna zieleni, drzew najpiękniejszych, łąk kwietnych, rozbrzmiewająca szumem potoków, kaskad srebrnych, z gór spadających, szaletów prześlicznych, etc., rozmarzająca melancholijném dzwonieniem trzód, rozśpiéwana jodlowaniem pasterzy i pasterek, skąpana w powodzi światła i ciepła.

Wśród takiéj arkadyjskiéj prawdziwie okolicy, trzymając się wciąż wybrzeży Kanderu, dochodzi się aż do jeziora Thun. Nad jeziorem, u samego ujścia Aary, strasznie szumiącéj i błękitnéj, leży miasteczko Thun, w którém się zatrzymano na nocleg, ażeby o świcie następnego dnia wsiąść do łódki i, przepłynąwszy jezioro na drugą stronę, dostać się po dobrym kwadransie drogi biegiem Aary—na podobieństwo kanału łączącéj jeziora Thun i Brienz — do Neuhaus, skąd już powozami jedzie się do słynnego Interlacken, najbardziéj malowniczego zakątka Szwajcaryi.

Z Interlacken, gdzie w banalném towarzystwie licznych turystów-Anglików, grasujących tu, niby szarańcza, podziwiano przedewszystkiém widok na Jungfrau, zrobiono wycieczkę (zdaje się

nazajutrz dopiéro, o wschodzie słońca) łódkami przez jezioro Brienz do sławnéj kaskady Giessbach.

Z czeluści czarnéj, niebotycznéj skały Schwarzhorn'u, szumiąc przeraźliwie, wypada nagle gwałtowny, spieniony potok, który, zlatując z wysokości kilkuset stóp, roztrąca się o najeżone głazy, poczém natychmiast, z szalonym, iście piekielnym łoskotem, podobnym do nieustającego grzmotu, w dalszéj gubi się otchłani. Takie jest pierwsze piętro kaskady, a piętr takich, zanim woda ze szczytu przeleje się do jeziora, jest siedm: każde inne, każde w swoim rodzaju najpiękniejsze: tam widzisz białą strugę wody, spadającą pionowo, niby wysmukła, kryształowa kolumna; tam potok zwija się w wir, z którego, jak z wypełnionéj czary, spływa na niższy stopień kilkoma „warkoczami"; aż wreszcie, przy spływie z drugiego piętra na trzecie, woda ciska się w przepaść z takim pędem, że się wygina w przedziwny, do szklanéj bani podobny obłęk, pod którym, nie zamoczywszy stopy, przejść można na drugą stronę potoku i, jak przez ruchomą kratę z roztopionego srebra, patrzéć na całą okolicę: na błękitne wody jeziora Brienz, na malownice ruiny zamku Ringenberg, na pobliskie góry, lasy i wsi [1]). Na niższych piętrach zielenią się łąki i leszczynowe lasy [2]), wśród których wodospad, ujęty jakby w szmaragdowe ramy, pieniąc się i hucząc w kamienistém łożysku, to znowu przedzierając się przez ciasne otwory w skałach lub rozpryskując się o nie w krople brylantowego deszczu [3]), podobnego do białéj, srebrzystéj mgły, w coraz to inny sposób oko wędrowca zachwyca, aż nakoniec, rozstrzelony na kilkanaście odnóg, spieniony i skłębiony, gubi się w nurtach jeziora. W dni słoneczne — a w taki dzień słoneczny właśnie był tu Słowacki z Wodzińskimi — zawisa ponad wodami Giessbachu, prawdziwie czarodziejskiego dodając im uroku, najcudowniejsza tęcza, która „na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza".

Widok „warkoczy" Giessbachu, srebrzących się wśród bujnéj zieleni leszczyn i świerków, przypomniał Słowackiemu Zofiówkę, gdzie po raz pierwszy w życiu, dzieckiem będąc, oglądał podobne, choć sztuczne i nie tych rozmiarów, kaskady i gdzie z takiém „rozemdleniem serca", zasłuchany w szum spadającéj wody, marzył o Ludwice Śnia-

---

[1]) I była z kaskad kryształu zasłona (W Szwajcaryi, XIV).

[2]) O gdybym ja wiódł panią do kaskady | To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni, | Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady | W ś r ó d l e s z c z y n G i e s s b a c h lub śród laurów Terni (z wiersza do pani Bobrowéj).

[3]) ...w jasnéj kaskady warkoczach | Coś pomięszało się i coś urzekło: | Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło | I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami (W Szwajcaryi, X).

deckiéj. Z kolei — na zasadzie prawa kojarzenia się wyobrażeń — przypomniały mu się Julinki, Wierzchowska, jarzębiny, rosnące nad brzegami Ikwy, etc. etc.

Po obejrzeniu Giessbachu rozłączył się Słowacki z częścią towarzystwa; damy bowiem, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, zrezygnowawszy z piękności Grindelwaldu i Oberhassli, postanowiły z Interlacken udać się powozem do Lucerny, i doczekawszy się tam „chłopców”, przez których rozumiały i Słowackiego także, wracać razem — znowu powozami — do Genewy. Jakoż stało się, jak zadecydowano: panie wróciły do Interlacken, „chłopcy” zaś, „trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanéj swobody,” ruszyli pieszo przez góry w kierunku Lauterbrunn, odkąd począwszy, zaczął ich w o j a ż karmić najcudowniejszemi widokami dolin różnych, lasów, kaskad, strumieni, lodowców.

Nic piękniejszego naprzykład, jak droga z Interlacken do wioski Lauterbrunn, przez wąwóz tegoż imienia. Szosa ciągnie się wzdłuż brzegu rzeki Lütchine'y, do któréj z niesłychanym szumem wpada ze wszystkich stron niezliczone mnóstwo strumieni i strumyków, potoków i zdrojów. Stąd nazwa miejscowości, ponieważ Lauterbrunn oznacza po niemiecku: same źródła. W końcu wąwozu znajduje się sławna kaskada Staubbach. Widziana z przodu—a widać ją już z ganku oberży w Lauterbrunn—podobna jest do wspaniałego welonu, poruszanego wiatrem, a to z powodu, że woda jéj, nigdzie się prawie o skały nie obijając, spada z wysokości ośmiuset stóp, zmieniona we wstęgę mgły białéj, lecącéj na dolinę, nad którą, niby olbrzym śnieżny, króluje przepiękna piramida góry Jungfrau.

Bardziéj jeszcze, aniżeli dolina Lauterbrunn, podobała się Słowackiemu dolina Grindelwald. Jedną z osobliwości jéj, która wielki wzbudziła podziw w przyszłym autorze poematu W S z w a j c a r y i, są dwie rzeki lodów, zachodzące aż na sam środek przestronnéj równiny, tak, że promienna ich białość, chwilami oślepiająca poprostu od słonecznego blasku, nadzwyczaj efektownie odbija od jaskrawego kolorytu usianych kwiatami łąk. Tam też, dzięki szczęśliwemu (dla podróżnych jedynie) przypadkowi, udało się Słowackiemu widzieć spadające z gór lawiny, czyli t. zw. awalansze. „Huk, podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór...”

Największe jednak, prawdziwie niezapomniane wrażenie zrobił zdaje się na poecie lodowiec Wetterhornu, przez mieszkańców Grindelwaldu powszechnie „większym” nazywany, a obfitujący w widoki, jakby z jakiegoś fantastycznego świata baśni. Najeżony z zewnątrz

piramidami olbrzymich złomów lodowych, w najdziwniejsze połamanych kształty, przenosi wyobraźnię widza — o zachodzie słońca zwłaszcza, kiedy lodowiec cały wygląda, jakby się palił miejscami—w podbiegunowe strefy wiecznych mrozów; wewnątrz zaś, pod spodem onéj masy lodu i zlodowaciałego śniegu, obfituje w tego rodzaju groty lodowe, że opisać ich ani wymalować nie sposób: światło słoneczne, przeświecając przez rozpostarte nad głową niebieskawe sklepienie z lodu, sklepienie, które chciałoby się porównać do jakiegoś kryształowego, drogiemi kamieniami nabijanego sufitu, załamuje się w niém w najprzecudniejsze tęcze, niby w milionach pryzmatów; wszędzie „ze sklepienia łzy spadają duże, a we łzach sylfy z jasnością ogromną deszczem spadają...” Pod stopami czernieje przepaść, na którėj dnie szumi potok, podrywający lody [1]).

Zwiedziwszy grotę, z którėj wychodząc ma się odrazu przed oczyma, jak na dłoni, całą dolinę Hassli, uśmiechniętą, zieloną, kwitnącą, zdecydowano się pójść na górę Faulhorn, gdzie jeszcze, jak do owego czasu, nie wielu było podróżników, a skąd, jak zapewniali przewodnicy, niezrównany ma być widok na Alpy. Jakoż następny już zachód słońca zastał Juliusza i jego towarzyszów na szczycie Faulhornu, przed oberżą, która jest (a przynajmniéj była wtedy) najwyższém mieszkaniem w Europie. „Wojażerowie, chcąc patrzéć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci. Mróz nam dopiekał, ale téż jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu. Zaczerwienione słońce było niżéj, aniżeli my, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami, z mgły, wychodził ogromny szereg gór śnieżnych — Wetterhorn, Finsteraarhorn, Jungfrau i mnóstwo innych: — niktby w godzinę nie porachował ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste, jakby rubinowe. Nocowaliśmy w oberży. Zrana widzieliśmy wschód słońca, czysty, bez żadnéj mgły. Przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya leżała pod nami, widna, jasna... A jaka cichość dokoła!” Mimowoli przychodziła na myśl ostatnia tercyna z pierwszego krymskiego sonetu...

Z góry Faulhorn puszczono się raz jeszcze do czarujących dolin Ober-Hassli, aby zobaczyć spadek Aary, „gdzie Aar wody błękitnemi spada”, i źródła Rodanu,

Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka

---

[1]) Ob. Listy, I, 179. Tę grotę (widzianą jednak po rozstaniu się już z Maryą) miał Słowacki na myśli, kiedy pisał strofę VII poematu W Szwajcaryi: „Raz mię ów Anioł zaprowadził złoty | Przez jasne łąki do lodowéj groty.”

Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnéj ucieka.

Przenocowawszy następnie—już po raz czwarty—w zimnéj oberży pośrodku śniegów Grimsel, „śliczną drogą Świętego Gotarda”, przez Andermatt, gdzie oglądano słynną Teufelsbrücke, skierowano kroki wzdłuż brzegów Reusse'y w kierunku Altdorf, gdzie Wilhelm Tell strzelał z łuku do jabłka na głowie swego dziecka. Dziewiątego dnia wreszcie, licząc od owych dni rozstania się z damami w Interlacken, nastąpiło spotkanie się z niemi nad brzegiem „najpiękniejszego” Jeziora Czterech Kantonów, w Lucernie. Okazało się, że damy bawiły tu od tygodnia przeszło, niespokojne o „chłopców”, czy im się co złego nie stało w drodze, że tak długo dawali na siebie czekać. Obawy te jednak były płonne, chłopcy bowiem, lubo zdrożeni, wracali zdrowi i w brylantowych humorach. Jeden tylko Słowacki usposobiony był smętniéj...

Nazajutrz zrobiono wycieczkę czółnami do kaplicy Tella, ukrytéj „w cieniu ze skał i pod wieńcem borów”, a wystawionéj w miejscu, gdzie legendowy oswobodziciel Szwajcaryi, uwolniony z okowów, wyskoczył na brzeg, łódź z Gesslerem odepchnąwszy nogą na rozszalałe od burzy jezioro. Słowacki, nie zdając sobie sprawy, czemu jest smutny dnia tego i do zadumy skłonny, nie podzielał wesołości reszty towarzystwa; i kiedy inni, wysiadłszy z czółen, z zajęciem oglądali naiwne freski, zdobiące ściany kaplicy Tella, a przedstawiające najdramatyczniejsze chwile z dziejów oswobodzenia Szwajcaryi, on, zadumany i nastrojony tęsknie, melancholijnie, siedział na progu, przed kaplicą, i patrzył w wodę, przypatrując się, jak na „swawolnéj i ruchoméj” fali mienią się tu i owdzie „plamy od sosen, co się kołyszą na niebie, i od skał cienia”. W tém, o dziwo! podniósłszy oczy, spostrzegł, że panna Maryanna, „jak przywabiony gołąb' białością smutnego ptaka” siedziała przy nim... [1]).

I długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem, dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconéj...

---

[1]) Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie z dalekiéj krainy,
Jak przywabiony gołąb' białością smutnego ptaka
Na pustym domie... (Na Nilu, Do***).

Od chwili téj, dziwna rzecz! wesołość odbiegła go zupełnie: pierś wzbierała westchnieniami i nieuchwytnemi pragnieniami; w głowie paliło się od tysiąca sprzecznych myśli; do oczu cisnęły się łzy, często bez najmniejszego — na pozór — powodu. I tak np., kiedy się następnego dnia wybrano na wierzchołek Rigi-Kulm, skąd widok na Alpy rozleglejszy jeszcze, aniżeli z Faulhornu, ale mniéj piękny, góry bowiem, widziane z oddali, „nie przerażają wielkością swoją rozumu, a nawet imaginacyi człowieka": on, zamiast iść w ślady swoich towarzyszów i, jak oni, z zachwytem patrzéć na wschodzące nad Szwajcaryą słońce, patrzał na nie wzrokiem osłupiałym, błędnym, „bez przerażenia" i, jak powiada, mimowolnie płakał, nie wiedząc nawet, czemu... Czemu? Dlatego zapewne, że mu spokoju nie dawała myśl, trapiąca go już od niejakiego czasu nieustannie, myśl, że „wśród takiéj natury trzeba być smutnym albo... trzeba się kochać" i że to życie tułacze, jakie pędził, „mogłaby tylko miłość rozświécić..." Myśl ta wyciskała mu łzy i czyniła wyjątkowo czułym na wszystko. Rozczulała go cichość i małość chat, rozsianych po dolinach i zboczach gór, między zwierciadełkami kilkunastu jezior; rozczulał go widok tego szmatu ziemi, który on, stojąc na szczycie, nad przepaścią, wyżéj od wychylającéj się z za widnokręgu kuli słonecznéj, ognistéj, jakby z miedzi, ogarniał jednym rzutem oka, a który był jednak... całą ojczyzną Szwajcarów.

W takiém usposobieniu powrócił Słowacki dnia 20 sierpnia przez Bern do Genewy, do domu pani Patteg, do swojego ogródka nad jeziorem, do swojéj altanki, do swoich kąpieli w Arwie. Niestety, ponieważ wrócił smutny i z sercem, wprawdzie nie przeszytém jeszcze na wskroś, ale draśniętém już z lekka zatrutym grotem Amora, choć nie przypuszczał wcale, ażeby to mogło być smutku jego przyczyną, wszystko zaczęło go tu razić, drażnić. Przyjemność sprawiło mu tylko pierwsze powitanie z Eglantyną i p. Patteg... Zresztą, patrząc na otaczający go świat przez zakopcone szkła owéj „tęsknoty i ponurego smutku", które—jak się uskarża przed matką — wycieczka ta z o s t a w i ł a m u w s e r c u, wyobrażał sobie, że na drogę jego rzucił Pan Bóg same „serca z kamienia", samych ludzi zimnych, niezabawnych, niedowcipnych, nieczułych. Atmosfera *pension*'u pani Patteg, pełnego o téj porze cudzoziemców, „ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomniéć o sobie", oddziaływała nań przygnębiająco, pobudzając do przeczuć, które go ostatecznie do reszty wtrącały w otchłań spleen'u. Z wyjątkiem jednéj może Eglantyny i jéj matki, o których życzliwości i czułości dla siebie nie mógł poprostu wątpić, widział we wszystkich, a bardzo być może, iż w pannie

Maryannie przedewszystkiém „serce z kamienia”, obojętność i lodowaty chłód. Przekonany — na szczęście chwilowo tylko — że nikomu na nim nie zależy naprawdę, że w nikim nie budzi współczucia jego nieszczęśliwa, dantejska dola tułacza, który, nie mogąc powrócić do swéj rodzinnéj ziemi, musi wciąż deptać obcych ludzi łany, porównywał się do... kamiennego słupa na drodze, przy którym różni przechodnie zatrzymują się na chwilę — albo nie zatrzymują się nawet — aby wyczytać niezrozumiały dla nich napis i... ruszają daléj.

Przeświadczenie to, po części uzasadnione, trapiło go, jak zmora, a zarazem o dziwny jakiś, nieusprawiedliwiony niczém napozór przyprawiało niepokój; przedewszystkiém zaś, gdziekolwiek się obrócił, prześladowały go wspomnienia téj wycieczki z Wodzińskimi, w towarzystwie owéj „czarnobrewéj panienki”, któréj ani osobą swoją, ani talentem nie imponował... Noclegi w oberżach, popasy w szaletach, dzwonki pasących się trzód, szum wodospadów i strumieni, Anglicy przy *Table d'hôte* w Interlacken, śpiéw ptaków w dolinie Hassli, pieśni szwajcarskie przy akompaniamencie gitary i cytry, piękne szwajcarki w Rougemont (wsi, słynnéj z piękności kobiét), zakonnicy z klasztoru św. Bernarda, rozmowy z Maryą przez drogę, zachody słońca, podczas których ona „od Alp na śniegach różowych różowa”, stała przy nim, jak Astarte przed Manfredem, kaskada Giessbach, przy któréj widział ją „pod jasną tęczy różnofarbnéj bramą”: wszystko to majaczyło mu przed oczyma, nabiérało szczególnego jakiegoś, poetycznego uroku, rozmarzało; świadcząc niezbicie, że „za tym zmysłem, co kochać przymusza”, zaczynało już iść zwolna w ślady także i serce poety, a za sercem... dusza.

§ 4.

Z nadejściem jesieni, Słowackiego ulubionéj pory roku, wstąpiła mu w duszę pogoda. Byłżeby to wpływ budzącego się w nim uczucia miłości, téj miłości, w którą wierzył, że ona jedna tylko mogłaby cokolwiek to jego mroczne życie tułacza rozjaśnić?... W każdym razie, kąpiąc się w ciepłych promieniach słońca, które jakby złotawym pyłem przesycało powietrze, i chodząc po ogrodzie, wsłuchany w melancholijny szelest spadających liści, pożółkłych i, rzekłbyś, pachnących jesienią, czuł jakąś błogość dokoła siebie i spokój. Usposobienie jego, tak zmienne zazwyczaj i tylu sprzecznym naraz wpływom podległe, stało się podobném do gładkiéj toni Lemanu, i już się nie nudził tak, jak np. rok temu o téj samej porze. Pustka, która go do niedawna

jeszcze prześladowała swoją czczością, wypełniła się (czém się jednak wypełniła, tego by może powiedziéć nie umiał); towarzystwo ludzi, w których niedaléj, jak przed pół rokiem, na wiosnę, widział bezmyślnych tylko „zjadaczów chleba", o których wątpił, żeby ich kiedy w „aniołów" przerobić było można, zaczynało mu się przykrzyć coraz mniéj; a ponieważ obcując z nimi, niemałe miał powodzenie, zwłaszcza u dam, zaczął więc udzielać się chętniéj, niż dawniéj, i korzystając z opinii „uczonego i przyjemnego człowieka", uprzyjemniać w ten sposób życie sobie i drugim.

Ale, dziwna rzecz, jakby zadawalniając się tém, że go Anglicy, zamieszkujący pensyonat pani Patteg, uważali „za cudowne prawie zwierzę", które z równą biegłością kilkoma włada językami, od towarzystwa ziomków, a zwłaszcza od domu Wodzińskich, zdawał się stronić. Czemu? Trudno zgadnąć. Co pewna, to, że w willi przy ulicy Beauregard, odkąd powrócił do Genewy, nie pokazywał się często [1]), bywając wtedy jedynie, kiedy go zapraszano. Czy miał w tém jakie wyrachowanie? Bo że się odtąd rodziną Wodzińskich więcéj interesował, aniżeli dawniéj, o tém świadczą dostatecznie jego listy do matki, między któremi, począwszy od tego, gdzie opisuje swój „wojaż" po Alpach z Wodzińskimi, aż do chwili wyjazdu ich z Genewy, nie ma takiego, w którymby nie znajdowała się o nich krótsza lub dłuższa wzmianka... Z drugiéj strony, wątpliwości zdaje się również nie podlegać żadnéj, że w niebardzo pochlebnéj zrazu opinii Wodzińskich o nim nastąpił obecnie pewien zwrot na jego korzyść, co pozwala się domyślać, że wycieczka w gronie ich odbyta (pomimo owéj peleryny z zieloną wypustką), nie zaszkodziła mu w oczach dam, zarówno pani Wodzińskiéj, jak i jéj córek, nie mówiąc już o synach. W przeciwnym razie bowiem, można być pewnym, zapraszanoby go na ulicę Beauregard coraz rzadziéj. Tymczasem faktem jest, że zaproszenia stamtąd otrzymuje Słowacki w tych czasach coraz częściéj i że w stosunku jego do rodziny Wodzińskich coraz większą zaczyna grać rolę serdeczność, „prawie familijna" [2]).

W miesiąc niespełna po powrocie do Genewy wyprawiła pani Wodzińska podwieczorek za miastem, na który otrzymał zaproszenie także i Słowacki, a na którym ułożono, że kiedyś, jeżeli się wszyscy — da Bóg — zjadą z czasem szczęśliwie w Warszawie, pani Wodzińska wyda bal kostiumowy, na który każdy z uczestników wycieczki — cią-

---

[1]) „Od powrotu mego do Genewy nie często widuję się z towarzyszami podróży (list z d. 28 września 1834 r.).

[2]) Zob. Listy, I, 198, 199.

gle snać dostarczającéj tematu do rozmowy — przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube, gwoździami nabijane trzewiki, w których chodził do skałach... Projekt ten bardzo się wszystkim podobał. „Jakieby to było smutne i zachwycające uczucie, po dziesięciu lub dwudziestu latach ubrać się tak, jak się człowiek ubiérał za młodu, będąc na obcéj ziemi! Jak miłoby było winszować sobie wtenczas przebytych biéd i młodym ludziom o przeszłości rozpowiadać!”

Równie dobrze, jak na tym podwieczorku, bawił się późniéj Słowacki u Wodzińskich na wielkim balu, na którym znajdowały się wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie, między innemi i pani Bernardowa Potocka, właścicielka starego Konstantynowa: wogóle cała tutejsza kolonia polska. Tańczono do białego dnia; Słowacki zaś, jako mazurzysta, bynajmniéj nie pozostawał w tyle za innymi: tak dalece nawet, że mu któraś z dam (a bardzo ładne podobno i różowe usteczka wymówiły te słowa) powiedziała: „Znać, że pan z Wołynia Wołynianin, bo po wołyńsku tańcujesz mazurka”. Na co Słowacki, nie chcąc Wołyniowi ujmować sławy, jaką z jego tańca odnosił, odpowiedział z ukłonem: „Ha, prawda, że my, Wołyniacy, to dziarskie chłopcy”. A trzeba było widziéć — powiada w liście do matki— jego cienką postawę, aby sobie wystawić, jak mu te słowa junackie były do twarzy.

Tego rodzaju bale i podwieczorki, na których rozmawiać i tańczyć z panną Maryanną aż nadto miał sposobności, nie pozostawały oczywiście bez wpływu na rozwój jego uczuć dla niéj...

O tém zaś, jak go ożywiały i jaki powracał z nich podniecony psychicznie, świadczy wymownie tragedya o Mazepie, któréj pomysł zrodził mu się w głowie po powrocie właśnie ze wspomnianego balu u Wodzińskich. Wytańczywszy się na tym wieczorze, wrócił—powiada — do domu, a ponieważ to była zwyła pora roku—jesień—w któréj go już od lat czterech regularnie napadała „poetyczna kanikuła”, zaczęły mu zaraz tego samego dnia (bo wrócił nad ranem) snuć się po mózgu, jak Fantazemu, jakieś mary, jakieś światła, jakieś cienie: Wojewoda, zazdrosny, jak Otello lub mąż Indyany z powieści pani Sand, a zawzięty, jak Wojewoda z *Czatów* Mickiewicza; Amelia, żona Wojewody, podobna z twarzy do pięknéj i młodéj macochy schillerowskiego Don Karlosa, jak tamta nieszczęśliwa i smutna; Zbigniew, syn wojewody, zakochany w swéj macosze, któréj mu tak samo kochać nie było wolno, jak nie wolno było René'mu Chateaubrianda kochać się w swojéj siostrze, to samo, co i Wojewodzina, noszącéj imię; za nimi, na drugim planie, cały orszak postaci charakterystycznych, posuwających akcyę dramatu: król Jan Kazimierz, w czarnym, szwedzkim stro-

ju, wzorowany na molièrowskim Świętoszku; Kasztelanowa, cała w koronkach i fiokach; daléj dworzanie wojewody, Imci panowie: Chmara, Pasek i Chrząstka; a wreszcie, na czele téj barwnéj kawalkady — pan Mazepa, w wykwintnym stroju królewskiego pazia, młody, przystojny sowizdrzał, pełen fantazyi i junackiego animuszu, słowem, bardzo podobny do samego Słowackiego, jakim był przed paru godzinami na owéj zabawie tańcującéj u pani Wodzińskiéj [1]).

W ten sposób w przeciągu kilkunastu dni powstał Mazepa, ten najsceniczniejszy dramat polski, napisany, jeżeli się tak wyrazić można, jednym tchem, od pierwszego do ostatniego aktu. Skończony jednak, choć nieprzepisany na czysto, ponieważ imaginacya poety palić się już zaczynała do innych, nierównie świetniejszych pomysłów, zamiast pod prasy drukarskie, na których „posmarowanie" brakło chwilowo funduszów, musiał pozostać w tece autora, z któréj było mu przeznaczone dostać się w kilka tygodni późniéj... do ognia w kominku, ażeby potém, po przejściu takiéj próby czyścowéj, odżyć nanowo, jak Feniks, i wydostać się na widok publiczny dopiéro po upływie lat sześciu, i to najniezawodniéj w zmienionéj znacznie formie.

Fantazya poety nie zasypiała przecież, choćby dlatego tylko, że ją do twórczości pobudził wyszły niedawno temu Pan Tadeusz. Słowacki, przeczytawszy go, uchylił czoła: przyznał—w liście do matki — że są w tym poemacie, niepodobnym do żadnego z poprzednich utworów Mickiewicza, rzeczy prześliczne, jak np. gra Wojskiego na rogu, że mnóstwo jest w tym „bardzo pięknym poemacie, podobnym do romansu Walter Scotta, wierszem napisanego", ustępów natchnionych, napisanych z taką sztuką, z taką plastyką przedziwną, z takiém ciepłem serdeczném, że oprzéć się urokowi ich niepodobna, jakkolwiek byłoby się źle uprzedzonym do osoby autora... Nie przeczył téż, że ze wszystkiego, co dotąd w języku polskim napisano, ta „powieść szlachecka" była arcydziełem największém, najgenialniejszém.

Lecz poświadczenie to, niemały przynoszące zaszczyt Słowackiemu, albowiem okazuje się z tego, że był jednym z pierwszych, którzy się na wielkiéj piękności Pana Tadeusza poznali odrazu (a nawet o Krasińskim tego powiedziéć nie można), nie przeszkadzało mu swoją drogą zazdrościć szczerze Mickiewiczowi tego arcydzieła; bo, przeczytawszy je, musiał przyznać, że walka z autorem Pana Tadeusza, musi się odtąd dla każdego z poetów polskich stać nierówną, że musi się zawsze

---

[1]) Zob. Rozprawę prof. J. Tretiaka o Słowackim. w Przewodniku naukowym i literackim z r. 1881.

skończyć porażką przeciwnika, choćby nim był nawet on, Słowacki. Po Dziadach można się było jeszcze w najlepszym razie ważyć na Kordyana; po Panu Tadeuszu można było co najwyżéj... kapitulować. Albowiem wyobrazić sobie trudno, ażeby w tym rodzaju, co Pan Tadeusz, udało się komu napisać coś piękniejszego jeszcze, coś wspanialszego, coś, z czém na porównaniu Pan Tadeusz by stracił, a przynajmniéj nie wydał się doskonalszym, genialniejszym.

Cokolwiekbądź, dla niego było to zadanie nad siły; on bowiem, ze swoim talentem, ze swoją organizacyą umysłową, nie zdobyłby się nigdy na taki poetyczny realizm, na takie artystyczne odtworzenie rzeczywistości. Ta ostatnia była zawsze jego słabą stroną, jego piętą achillesową: a że sobie z tego sam sprawę zdawał najdokładniéj, dowodem list do autora Irydiona, umieszczony na czele Lilli Wenedy, w którym powiada wyraźnie, że ile razy zetknie się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mu skrzydła.

Zupełnie przeciwnie miała się rzecz z Mickiewiczem: ten, ile razy czuł realny grunt pod sobą, ile razy odtwarzał życie, zdobywał się na arcydzieła. Kiedy mu wypadło, jak w Dziadach, tworzyć sceny fantastyczne, marzone, nie realistyczne, dawał dowody, że wyobraźni nie miał bujnéj i że pod tym względem można go pobić bardzo łatwo, jeśli się jest Słowackim. Tak jest! Wyzwany na rzeczywistość, na realizm, Mickiewicz należy do niezwyciężonych, jak Achilles; ale wyzwany na fantazyę, na wyobraźnię, przestaje być niezwyciężonym Achillem, albowiem tu odsłania się jego słaba strona, jego achillesowa pięta. Na to zaś, ażeby utrafić w nią, jak to się udało niegdyś Parysowi, trzeba mieć po swojéj stronie Apolla, trzeba mieć wielką wyobraźnię! A tę on miał!...

Od podobnego przeświadczenia do pomysłu „sześciu kronik dramatycznych”, osnutych na tle przedhistorycznych, legendowych dziejów Polski lechickiéj, był już jeden krok tylko. „Od czego bowiem — słowa są prof. St. Tarnowskiego — czarowna władza imaginacyi, od czego intuicyjna zdolność odgadywania rzeczy dawno przeszłych, wyobrażania sobie nieznanych i niewidzianych. Gdyby też np. udało się wykraść jaką tajemnicę przedpiastowskich jeszcze czasów? Gdyby w ciszy ducha usłyszéć lot tego orła, którego gniazdo znalazł Lech, albo aniołów, kiedy z nieba dążyli do chaty kołodzieja? Gdyby też zgadnąć, jak to było, kiedy on swoich gości pod lipą miodem częstował, albo do czego mógł być podobnym ten tyran zły, a tchórzliwy, co wytruł stryjów i braci, a przed ludźmi ze strachu uciekł na wyspę, jak rzymski Tyberyusz na Capreę? Jaki był jego pierwotny zbytek, jaki rodzaj rozpusty, jakie okrucieństwo?... Albo ten jakiś homeryczny król,

pół chłopa, pół rycerza, co ze smokami walczył, jak Herkules? Albo ta jego córka, co się, jak Ifigenia, poświęciła tylko dobrowolnie!

Tak! Polska przedchrześciańska, Polska Krakusów i Piastów, cała chłopska jeszcze, a już rycerstwem nęcona, z wójtami, którzy na wojewodów wyrastają, z wojewodami, którzy tak jeszcze do wójtów podobni, z pierwszemi brzaskami chrześciaństwa, z pierwszemi szczękami rycerskiéj zbroi, wśród spokojnego, łagodnego, cichego ludu i kraju, w którym najgłośniejszym tonem jest skowronek, brzęczenie pszczół i szum zboża na polu: to byłoby ładne! Ach, prawda, jakieby to mogło być ładne!

I dlaczegoż być nie może? Czy u nas już tak zatarły się wszystkie ślady wspólności z tymi starymi ojcami, że już w naszéj duszy nie zdołamy odszukać nic z tego, co było w ich duszach? czy bociany, skowronki, lipy i bławatki nie takie same? czy słomiane strzechy bardzo zmieniły styl swojéj architektury? czy ludzie z długiemi włosami, w długich szarych ubraniach, o ruchach powolnych i spokojnych, do tamtych już wcale nie podobni, kiedy o zachodzie słońca wracają z pola lub w święto siedzą na progach domów i radzą? A w naszych duszach czy z ich łagodnéj cichości, z ich biernéj, dziecinnéj dobroci nie zostało nic, po czémby pochodzenie i familijne podobieństwo poznać można? Poeto, patrz dokoła siebie, i w siebie: przypomnij wieś polską, jak wygląda: zastanów się nad polską naturą, którą znasz i widzisz, zajrzyj sam w siebie i staraj się dojść, co tam jest późniejszego, obcego, historycznego, a co pierwotne i wrodzone. Czego nie dojrzysz, to odgadnij, domyśl się, dotwórz, któż to potrafi, jeżeli nie ty? i z Polski stwórz fantastyczną legendę. Odważnie, śmiało, nie bój się pobłądzić: masz na téj drodze największe przykłady. Z takich czasów właśnie powstawały największe poezye, największe postaci: z mytycznych bohatérskich dziejów tragedya grecka; z niepewnych, półbajecznych podań Macbeth, i Hamlet, i Lear. Dlaczegoż ta przedhistoryczna przeszłość polska miałaby leżéć odłogiem? dlaczego ona jedna miałaby być pod względem poetycznym jałową? W każdym razie próbować warto: pierwszym na tém polu, nowym, oryginalnym, będziesz z pewnością, a gdyby ci się udało, gdyby się pokazało, żeś zdolny wskrzeszać postaci dawnéj przeszłości?

I wyobraźnia, zachwycona tym obrazem i rozpalona tą piękną nadzieją, zaczęła roić i marzyć niespokojnie, zaczęła bujać i panować w téj przestronnéj, a niczyjéj krainie. I już zapragnęła zagarnąć ją całą: Lech, Krakus, Piast, to nie dosyć, to nie wystarcza, trzeba więcéj, trzeba mi ich wszystkich, ujmę ich w ramy sześciu następnych obrazów, sześciu legend czy kronik poetycznych, odtworzę wszystko, wszystkich ich od-

gadnę, od tego przybysza, który musiał być zupełnie, jak król Jan w stanie natury (praszczur Sobieskiego), aż do tego Piasta, który musiał być bardzo podobny do tego lub owego wiejskiego gospodarza, którego dobrze pamiętam: a pomiędzy to wszystko wsunę sąsiednie drapieżne rycerstwo niemieckie, któremu się ci Polanie jeszcze dziwią, już trochę zazdroszczą: księży w grubych habitach z krucyfiksem w ręku, a z pytaniami katechizmu na ustach; biskupów, pół wojennych, pół apostolskich, w żelaznym pancerzu, pod złocistą kapą, na białych koniach i z infułami, połyskującemi do słońca: całe to wytworzenie się Polski chrześciańskiéj, szlacheckiéj, historycznéj, z pogańskiéj, ludowéj i legendowéj: wszystko to znajdzie się w tych sześciu obrazach"[1]).

Ale, niestety, zarys wielki nie wypełniał się szczegółami, tak, iż nie było prawdziwego planu, choć był pomysł. Zeszedłszy w owe wieki Polski przedhistorycznéj, znalazł się Słowacki w wielkiéj próżni: nie zastał tam ani ludzi ani zdarzeń. Nie zrażał się tém wszelako. Powiedziawszy sobie, że z téj kopalni coś musi wydobyć koniecznie, postanowił wytrwać w raz powziętym zamiarze, choćby mu nawet przyszło wszystko z siebie wydobyć, choćby tę próżnię czasów piastowych zaludnić musiał postaciami własnego wymysłu i dla postaci tych wymyślić zawikłania, uczynki, nazwiska. I tu zdało mu się nagle, że z labiryntu tego jest jednak wyjście, wystarcza tylko sięgnąć do poezyi ludowéj, do ballad; bo jeżeli gdzie spodziéwać się można zastać jakiś ślad owych czasów zamierzchłych, to właśnie w powieściach i podaniach gminnych; wyobrażenia, uczucia, sposób pojmowania świata, stamtąd zaczerpnięty, najwięcéj zbliżać się musi do tego, jaki nadać trzeba ludziom z epoki przedpiastowskiéj... Z tą nitką Aryadny w ręku, przekonany, że to jest owo tajemnicze Eureka, które mu miało otworzyć wrota na ścieżaj do téj legendowéj krainy, wziął do treści swego poematu jeden motyw z Malin Chodźki, o dziewczynie, która zabiła siostrę dlatego, iżby sama mogła zostać żoną rycerza, drugi z Lilii Mickiewicza i z Świtezianki, trzeci z szekspirowskiego Macbetha, czwarty z króla Leara, piąty ze Snu nocy letniéj: i tak powstała Balladyna [2]).

Ale, skoro po dwóch miesiącach — listopadzie i grudniu — usilnéj, wytężonéj pracy nad nią, skończył ją wreszcie i Balladyna stała się faktem, przyszły z kolei dni reakcyi okropnéj, dni odrętwiałości, które, niestety przeciągnąć się miały aż do następnéj wiosny, a podczas któ-

[1]) Ob. Dwa odczyty, miane w Poznaniu, d. 4 i 6 stycznia 1881 r. Balladyna i Lilla Weneda.

[2]) Tamże. st. 27—33.

rych takiego doznawał uczucia, jakgdyby natężone do niedawna jeszcze władze myślenia rozkręciły się nagle, jak struny instrumentu, i jakgdyby źródło imaginacyi wyschło w nim zupełnie. Że nieuniknionem takiego stanu następstwem był spleen, to przy znajomości natury Słowackiego nikomu nie wyda się dziwnem. Zmuszonym będąc powrócić do zwykłéj monotonnéj ciszy codziennego życia i być znowu przez jakiś czas zwykłym śmiertelnikiem, którego mieszkania już nie nawiedzają żadne „idealne figury”, do którego nie uśmiécha się żadna „idealna piękność”, stał się odrazu podobny do ptaka ze złamanemi skrzydły, który, nie mogąc latać i zniewolony pełzać po ziemi, cierpi na nostalgię za swemi powietrznemi, nadobłocznemi szlakami, po których mu tak dobrze było krążyć samotnie w promieniach słońca, gdzie mu tak jasno było dokoła, przestronno i świetliście, i gdzie nie potrzebował stykać się bezpośrednio z rzeczywistością, z prozaicznością życia. Nie umiejąc nagiąć się do niéj, popadł w „głębszą, niż kiedykolwiek melancholię i obojętność” i zamiast szukać zabaw, zamiast żyć z ludźmi, zamiast unikać samotności, jak to nawet w jednym z listów do matki przed paru miesiącami obiecywał téj zimy uczynić, znowu zaczynał kumać się z mizantropią, znowu zaczynał poddawać się smutkowi, znowu zaczynał poprzestawać na towarzystwie swoich gospodyń, i znowu, kiedy przyszło dzielić się z matką wiadomościami o sobie, zaczynał się użalać na brak tematu...

Choć miałby może o czém pisać, gdyby chciał „zrobić ze skrytości swéj ofiarę” i pisać o wszystkiém, co mu ciężyło chwilowo na sercu. Z tém jednak krył się o ile możności, nawet przed matką, jakkolwiek zapewniał ją niejednokrotnie, że nie ma dla niéj tajemnic; i zapełniał listy swe takiemi np. błahostkami, jak przepis na układanie z kart kabały czyli passyansu; passyans bowiem stał się dlań teraz ulubioną wieczorami rozrywką.

Nauczył go się ciągnąć od pewnego Włocha, który, mieszkając u pani Patteg do późnéj jesieni (inni jéj lokatorowie rozjechali się już byli w październiku), albo mu opowiadał cuda o Włoszech, zwłaszcza o ich taniości, co było nie bez pewnéj korzyści dla poety, ponieważ nabiérał przy téj okazyi wprawy w język włoski, albo téż, jeżeli sobie na razie nie mieli nic do powiedzenia — proponował mu *patience*; i tak schodził im cały wieczór. Czasem chadzali razem do teatru, nie często jednak, Słowacki bowiem, mając do wyboru między teatrem, złym i drogim, w którym się nudził zazwyczaj, a domową siestą w swoim pokoju, przy kominku, spędzoną na czytaniu Szekspira lub Dantego — bo w tych poetach rozczytywał się od niejakiego czasu najwięcéj — decydował się prawie zawsze na ostatnią.

U Wodzińskich także bywał „nie często”, tłómacząc się, że zajęty pisaniem, nie mógł się bardzo długo oderwać od pracy. Swoją drogą, kiedy się nareszcie, po dłuższéj niebytności na ulicy Beauregard, zjawił tam któregoś dnia, „wymawiali mu to zaniedbanie”, które przyznać musiał, że, jako w towarzyszu podróży, było conajmniéj „dosyć niegrzeczne i dziwne” i nie dawało się usprawiedliwić chorobą spleenu.

A jednak, kto wié, czy zwalając niegrzeczność tę na karb spleenu, nie mówił mimowoli — prawdy; chodzi tylko o to, jaka była spleenu tego przyczyna? i co, oprócz zajęć literackich, mogło poetę wstrzymywać od częstszego odwiedzania domu Wodzińskich? Odpowiedzi na to pytanie szukać należy w liście Słowackiego do matki z d. 18 grudnia 1834 r., w którym pisze między innemi, co następuje: „Tego roku imieniny twoje, mamo, samotnie przepędziłem: złe dosyć nowiny wyczytałem zrana w pismach, a potém z różnych innych przyczyn tak mi smutno było, że natychmiast po obiedzie uciekłem do mego pokoiku, tak, jak mama zwykłaś czynić; zagasiłem świécę; mały ogiéń na kominku słabo mi przyświécał; samotny, milczący, myślałem o różnych czasach, o różnych wieczorach, a kiedy na zégarze uderzyła głośno nad moją głową siódma godzina, ogromna niegdyś godzina, łzy rzuciły mi się z oczu potokiem i chodziłem po pokoju i modliłem się i płakałem. Tego wieczora nie było we mnie ani iskry nadziei...” Czemu? Skąd takie naraz zwątpienie? Czy miał może jakie niepomyślne wiadomości z domu? Nie, inny był powód tych łez, a poeta, choć nie chciał się do niego przyznać przed ludźmi i przed matką, przed sobą nie widział potrzeby robić z tego tajemnicy, że go o podobne rozdrażnienie przyprawiała... panna Maryanna! Czyżby ją kochał?

Czy ją kochał, z tego sobie dziś jeszcze sprawy nie zdawał jasno; pewny był tylko jednéj rzeczy, mianowicie: że mu nie była obojętną, że oczy jéj wywiérały na niego jakiś wpływ magnetyczny, że zależało mu na tém bardzo, aby się jéj podobać, aby ją zaciekawić, zainteresować sobą, że przyjemnie mu było z nią rozmawiać, że go rozmarzała swoją grą na fortepianie, że z nikim tak chętnie, jak z nią nie tańczył kadryla, że cieszył się, kiedy go wybrała w mazurze, że wobec niéj jednéj tylko czuł się niekiedy onieśmielony, i że przykro mu było, jeżeli go nie wyróżniała. A, niestety, nie wyróżniała go nigdy! Miała dlań zawsze „dużo wdzięku i dobrego serca”, ale tak samo, jak nim, a może i bardziéj, interesowała się również osobą księcia Ludwika Napoleona, albo Chopina, dla którego z niekłamaném zdawała się być uwielbieniem, a może i czémś więcéj jeszcze... Jego powodzenie, jako kompozytora i wykonawcy, w Paryżu, jego z dniem każdym wzrastająca sława

jego stosunki z najarystokratyczniejszemi sferami stolicy świata, sympatya, jaką tam sobie zaskarbić potrafił, jego listy z nad Sekwany do braci jéj, albo do matki (listy, w których tyle było zawsze o niéj), jego kompozycye, któremi sypał, jak z rękawa, a z których każda słusznie uważaną być mogła za najpiękniejszą w swoim rodzaju, rozgłos, jaki sobie zdobył w świecie muzycznym swojemi improwizacyami, wszystko to nie pozostawało bez wpływu na pannę Maryannę i... na Słowackiego, którego miłość własna niemało na tém cierpiała, bo nie przyzwyczajony był do opozycyi, bo go draźnił opór, jaki w tym razie napotykał, bo nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby on, „syn pieśni, syn królewski” mógł w sercu kobiéty, przez siebie wyróżnianéj, zajmować drugie miejsce. Lubiła go! To nie dosyć: on żądał nie przyjaźni, ale uczucia, czulszego, takiego, jakiém zapłonęły dlań Cora, Eliza, Eglantyna! Panna Maryanna tymczasem nie postępowała ich śladem...

Tak przeszła zima. Mroźna i śnieżna, jak już oddawna nie pamiętano w Szwajcaryi, a dla Słowackiego pełna wzruszeń, pokrewnych tym, jakich niegdyś, kiedy się kochał w Ludce, doznawał w Wilnie, przypominała mu ona raz po raz zimy wileńskie. Widok jodeł w ogrodzie, oprószonych śniegiem, i owego białego całunu, przykrywającego ziemię, jak puchem, budził w nim różne wspomnienia różnych świąt Bożego Narodzenia w Wilnie, różnych zajazdów z dzwonkiem przed ganek Jaszuński, różne potyczki gałkami śnieżnemi, różne zabawy, kuligi i t. d. Cóż dopiéro, kiedy część jeziora i niektóre kanały zamarzły i kiedy urządzono ślizgawkę!

O ślizgawce téj znajduje się w jednym z listów poety do matki ustęp pewien, po którego przeczytaniu dochodzi się mimowoli do wniosku, że nie zawsze musiała ona być mu w tym czasie na rękę. Ustęp ten brzmi: „Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra, mieliśmy kilka dni śnieżnych i niektóre kanały zamarzły. Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś m u s i a ł e m w y z n a ć, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się biegać po lodzie nie mogłem”. Musiałem wyznać? Komu? To pytanie zostawia Słowacki bez odpowiedzi, ale przypuścić wolno, że pomiędzy tą ślizgającą się publicznością znajdowali się także i młodzi Wodzińscy z siostrami, a w takim razie nietrudno sobie wyobrazić i Słowackiego, który, spacerując po lodzie bez łyżew, kiedy go panna Marya zapytała, czemu się nie ślizga wraz z innymi, „musiał wyznać, że... nadto jest niezgrabny” i t. d. Swoją drogą, jeżeli się tak rzecz miała istotnie, musiało mu być przykro niezmiernie, kiedy, sam nie mogąc brać w zabawie udziału, widział swą „czarnobrewą panienkę”, ślizgającą się raz z młodym Darowskim, raz z księciem Ludwikiem Napoleonem, raz z zakochanym w niéj hrabią

de Montigny... Co się działo wtedy w duszy poety? Cokolwiekbądź, można być pewnym niemal, że przyjemności mu widok ten nie sprawiał: pomimo, że wszystko to działo się na tle przepysznego pejzażu zimowego, na tle ubielonych śniegiem, jakby opruszonych cukrem, gór, na tle ciemno-granatowego jeziora, które, zamarznięte przy brzegu jedynie, w głębi, o kilkaset kroków daléj, przecudownie odcinało się od ogólnéj białości krajobrazu. Ale nie dajmy się unosić domysłowości...

Bardziéj jednak, aniżeli sport łyżwiarski, zaprzątały mu głowę w ciągu téj mroźnéj zimy innego rodzaju myśli, ze ślizgawką wszakże — o ile jéj używała Marya — w pewnym, lubo dalekim bardzo, pozostające związku. Osamotniony najczęściéj, dręczony spleenem, a przytém—choć nie chciał się przyznać do tego nawet przed sobą—raniony już przez figlarnego syna Afrodyty, porównywając się chętnie „do... psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jedném miejscu, aż nakoniec, znużony, wywraca się i usypia pod kominem"; w listach do matki uskarżający się bezprzestannie na brak „teraźniejszości dobréj, ani złotej nadziei"; przyznający słuszność Eglantynie, kiedy go nazywała spieszczoném imieniem *Pauvre Loulli* albo *Bon Loulli:* nabrał w końcu przekonania, że byłoby dlań najlepiéj, gdyby się... ożenił. Z kim? Ze wszystkiego, co w kwestyi małżeństwa swojego pisał do matki, domyślać się można, że najchętniéj przekroczyłby zawysokie dla siebie progi willi Beauregard i ożenił się z panną... Wodzińską. Bo jeżeli myśl podobna mogła się zrodzić w głowie Chopina, mogła się równie łatwo zrodzić także i w głowie Słowackiego.

Myśl o ożenieniu od dłuższego już czasu zdaje się kiełkowała mu w mózgu. Jeszcze 17 października 1833 r. pisał do matki, ażeby się uśmiechnęła, skoro będzie odczytywała te słowa: „Wrócę kiedyś, a jeżeli nie, to znajdę sobie zagranicą, ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę. Będę miał synów, córki..." Najpiękniejszego wnuczka posadzi jéj na kolana. „Tylko, matko, odpędzaj go od książek; niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza z Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsać; daj mu zimną Eneidę, któréj Julek częstem czytaniem nie podarł; niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci; niech nic nie zostawia po sobie, czegoby mógł żałować". Późniéj, kiedy się zaczął rozczytywać w dziełach Jana Kochanowskiego, tak szczęśliwego w pożyciu z panną Podlodowską, tak piękne wiersze piszącego przy jéj boku, pod lipą, zazdrościł mu mimowoli. W uczuciu tém utwierdzał go również i Chateaubriand, kładący w usta Amelii, siostry René'go, następujące słowa: „W małżeństwie możebyś znalazł ulgę na twoje utrapienie. Żona, dzieci zapełniłyby dni twoje. Bo któraż kobiéta nie

chciałaby cię uczynić szczęśliwym. Zapał twéj duszy, piękność geniuszu twego, postawa twoja, szlachetna i namiętna, twój wzrok dumny i tkliwy, wszystko by ci zapewniło jéj miłość i wierność". Podobnych zapewnień nasłuchał się także i z ust Eglantyny niejednokrotnie, która, widząc go strapionym i smutnym, najczęściéj może to samo, co Amelia René'mu, doradzała lekarstwo! Tylko że w radach jéj było trochę egoizmu kobiéty kochającéj, któraby chętnie widziała, gdyby się ożenił z nią; bo do związku z inną nie namawiałaby go z taką szczerością i serdecznością. On jednak marzył nie o takiéj żonie, i dlatego udawał przed Eglantyną, że nie domyśla się jéj ukrytych myśli.

Wiadomość o ożenieniu Mickiewicza z Celiną Szymanowską i szczegóły, jakie mu donoszono, o ich pożyciu w Paryżu, pobudziły go również do marzeń w tym kierunku. „Co wieczora — pisał o tém matce — mnóstwo ziomków schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiécha się. Co za sprzeczność z mojemi samotnemi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w téj smutnéj wędrówce życia". Żona Mickiewicza grała podobno prześlicznie na fortepianie (choć pewno nie piękniéj od panny Wodzińskiéj), a muzyka, zwłaszcza, jeżeli się słucha osoby kochanéj i kochającéj, cóż dopiéro żony, nieraz może dostarczyć natchnień poecie! Samo towarzystwo żony, z chwilą, kiedy to jest istota godna tego tytułu: żona artysty, musi zbawienny pod niejednym względem wywiérać wpływ na twórczość pisarza. Przykładem Wiktor Hugo, którego poznał za bytności swojéj w Paryżu, a któremu żona i dzieci nie przeszkadzały bynajmniéj być pierwszym poetą romantycznym Francyi. Za drugi taki przykład mógł służyć sławny historyk i profesor uniwersytetu genewskiego, Sismondi, którego spotykał często na wieczorach u pani Wodzińskiéj. Żona jego, Angielka, nietylko, że była mu najlepszą przyjaciółką, kochanką i siostrą, ale tłómaczyła jeszcze na język angielski dzieła męża, przyczyniając się tém samém do nadzwyczajnego rozpowszechnienia sławy człowieka, którego nosiła nazwisko. „Szczęśliwe małżeństwo, ocienione jedną laurową koroną!" Czemużby nie przypuścić, że i jemu Bóg poszczęści w wyborze i da za towarzyszkę życia istotę równie dobrą, równie inteligentną? Żyłby z nią wówczas, jak ten pan Sobański, którego poznał niedawno u pani Wodzińskiéj, a który, będąc człowiekiem dość bogatym, kupił sobie obywatelstwo w Szwajcaryi i żył spokojnie „z ładną i przyjemną żoną" w Vevey, nad brzegiem jeziora. Panna Maryanna ze swojém usposobieniem artystyczném, ze swoim talentem do muzyki, była jakby stworzoną na żonę dla niego. Ach! jakżeby był

szczęśliwy, gdyby mógł z nią razem, jako jéj małżonek, pod jaką lipą albo dębem, przed własną chatą, w rodzinnéj ziemi — jeżeliby to było możebne — „marzyć i pisać marzenia, i gwarzyć z nią, i opowiadać jéj z zapałem swoje plany poetyczne...” Takie życie, spokojne, sielskie, dawałoby mu natchnienia pogodne, wolne od mizantropii byrońskiéj i mógłby wtedy powiedziéć o sobie to samo, co włożył parę miesięcy temu w usta Kirkorowi z Balladyny, kiedy mu — w myśli stosując słowa te do siebie—mówić kazał:

Jam stworzony do ciszy wiejskiéj
I prostoty.. Niechby mi dościgał
Sad owocowy, niechbym małe chłopię,
Dzieciątko moje, na rękach kołysał!
Oto się modlę... Ty mi zaś co roku
Z tronu do chaty listy będziesz pisał.
Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku
Biały gołąbek i skrzydełkami
Przyniesie powieść pełną tych wielkości,
Co budzą uśmiéch i dech pod lipami
Dają znaczniejszy... Król mi pozazdrości
Żony, i dziecka, i lipy, i chłodu
I snów pod lipą i złotego miodu [1]).

Żyliby sobie po sielsku, jak Teofilowie w swoim folwarku wołyńskim, i tak samo, jak oni o téj porze niezawodnie, wchodziliby co dnia w wiejskie, drewniane wrota; jak Teofilom, byłoby im widać gołębnik ich domu i słychać zapach lip w ogrodowéj alei; sady by im obradzały, żyta kłaniały się całym łanem, pszczoły dawały miód, a „Faunowie leśni” skakaliby, jak w Sobótce Kochanowskiego. On tymczasem, „wygrywałby na fujarze proste pieśni”, podczas, gdy żona jego, w wielkim słomianym kapeluszu na głowie (podobnym do tego, jaki panna Wodzińska miała na wycieczce w Alpy), zbiérałaby sentymentalnie bławatki, karmiła drób —jak Zosia w Panu Tadeuszu — mając dla męża zawsze uśmiéch na ustach i — jak powiada Kochanowski—„szacunek dobréj żony”. Zimą, kiedy wieczory długie, a roboty w polu nie ma, czytaliby razem Szekspira, Byrona, Dantego, Kochanowskich, i tak doczekaliby późnéj starości...

Ta myśl o zawarciu ślubów małżeńskich, nie dawała mu teraz spokoju w nocy i we dnie. Dawniéj, kiedy się nie czuł tak zdrowym i krzepkim, jak obecnie, i dopóki miał nadzieję, jak powiada, że go prędko z téj ziemi poetyczna konsumpcya albo „langory” zabiorą, nie układał żadnych planów ani projektów na przyszłość; dziś jednak, kiedy nabiérał pewności niemal, że mu może

---

[1]) Balladyna, akt IV, scena II.

długo na tym świecie bazgrać jeszcze wypadnie (jego własne wyrażenie) musiał pomimowoli szerszym trochę cyrklem życie swoje rozmierzać...

Niestety, miał tu na samym zaraz wstępie olbrzymią i niemożliwą prawie do przezwyciężenia przeszkodę: swoje opłakane położenie materyalne. Jedynym majątkiem, który posiadał, był jego talent; a to jeszcze na utrzymanie rodziny nie starczy; tak samo, jak nie upoważnia do starania się o rękę takiéj, jak panna Wodzińska, bogatéj panny; bo sława literacka, choćby największa, wymieniona na gotówkę, nigdy nie da wielkiéj sumy. A ludzie dziś oceniają człowieka według jego... dochodu rocznego! Wiedział o tém Słowacki doskonale i dlatego zdarzało mu się niejednokrotnie, że złorzeczył ojcu swojemu, który mu dał życie wtedy właśnie, kiedy zajęty był nadto swoją tragedyą Mindowe.... Gdyby nie „to nieszczęśliwe wydarzenie” — pisze raz Słowacki do matki — byłby dziś z niego „wcale do rzeczy człowiek, nie lunatyk, nie powietrzno-chodzący”. Podobny do innych „zjadaczy chleba”, dbałby przedewszystkiém o żywot doczesny; sława po śmierci, choćby nieśmiertelna, nie zaprzątałaby jego umysłu, i kto wié, czyby mu z tém lepiéj nie było i szczęśliwiéj. Czasami znów marzyło mu się, żeby pojechać do Indyi, zrobić ogromny majątek, wrócić bogatym, jak nabab milionowy, a to wszystko dlatego, aby kupić piękny pałac, osadzić w nim piękną żonę (do matki pisał, że ją-by w tym pałacu osadzić pragnął) i służyć jéj na kolanach... Wtedy, jako taki nabab, mógłby w pałacu tym osadzić nawet pannę Wodzińską, o któréj rozmyślając temi czasy, nieraz powtarzał głośno, jakgdyby stała przy nim:

Bo ja, ach! gdybym był także aniołem
Z rozpromienionêm na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł rozrządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,
I taką, jak ty, mieć m o j ą na ziemi!..

Zimny rozsądek jednakże radził planów tych zaniechać, o urzeczywistnieniu ich bowiem w obecnych warunkach mowy być nie mogło. Próżne pożądania! Szybkie zrobienie milionów w Indyach, kiedy nie było na podróż do Indyi, należało do mrzonek, zarówno niepoetycznych, jak niepraktycznych, a pałac nababa, widziany przez pryzmat bujnéj wyobraźni poety, robił na nim samym wrażenie... zamku na lodzie!

Cóż więc pozostawało czynić? Co? Wyrzec się raz na zawsze

osobistego szczęścia i żyć dla sztuki, w podobnych, jak dotychczas, niedostatkach i „kłopotach finansowych”.

Ale pogodzić się z myślą tą nie przychodziło Słowackiemu łatwo; a że skorym był do popadania z jednéj ostateczności w drugą, począł przeto — na seryo zupełnie — zastanawiać się nad tém, czy mu przypadkiem Bóg nie przeznaczył miejsca w jakim... cichym klasztorze; choć, z drugiéj strony, czuł w sobie pewien brak „téj mistycznéj pochodni, z którą w klasztorze mógłby się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności.” Gdyby nie to, kto wié, czyby dlań nie było najlepiéj usunąć się raz na zawsze od pokus światowego życia; témbardziéj, że to życie światowe, o ile go nęciło pewnemi swojemi powabami, jak np. szczęście w małżeństwie, o tyle w równym, jeżeli nie wyższym stopniu ciężyło mu i nie wystarczało. Nie miał nikogo (pisał do matki, zapominając o Eglantynie), coby mu najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił; nikogo, coby przyjaźnie za rękę uścisnął i t. d.

Wszystko to były skargi pisane pod wpływem uczucia dla panny Wodzińskiéj i jéj obojętności. Eglantyna, która go wciąż kochała jednakowo i która, jak zawsze, trochę mu się z miłością swoją narzucała, z saméj natury rzeczy nie mogła być nadal jego powiernicą; nie mogąc zaś mówić z nią otwarcie o tém, co mu teraz takim ołowiem ciężyło na sercu, miał jéj z dniem każdym coraz mniéj do powiedzenia. W końcu zaczęła go nudzić i drażnić: swemi podejrzeniami—słusznemi zresztą — o nieszczerość z jego strony, swoją zazdrością. Domyślała się, że Juliusz oddał serce swe Maryi, że się z tém przed nią, przed Eglantyną, ukrywa, że ją zwodzi, że mu nie można wierzyć, kiedy się gorętszych uczuć dla tamtéj wypiéra, etc. Ponieważ nie taiła się z tém przed nim, ale go nieraz—zbyt często—karmiła łzami „w codziennym podawanemi chlebie”, a poeta wyrozumiałością dla cudzych kaprysów i pretensyi się nie odznaczał, więc przyszła koléj na dysonanse, na sceny przykre dla obojga...

Skończyło się na tém, że poetę coraz większa zaczęła zbiérać ochota wyjechania z Genewy: raz dlatego, żeby się odczepić od Eglantyny (to trywialne wyrażenie najlepiéj określa jego zamysły), a powtóre, że wyleczyłoby go to zarazem ze wszelkich afektów dla Maryi... Wszak przestrzeń i czas są najzagorzalszymi nieprzyjaciołmi miłości; tak samo, jak najlepszém na nią lekarswem — zdaniem Napoleona — ucieczka. Ale dokąd się przenieść? Tu nie mógł się zdecydować na wybór miejscowości: raz go nęciło Pau w południowéj Francyi, raz Włochy, raz Hières na Rivierze, raz Clarens nad jeziorem genewskiém,

raz okolicye Lyonu. Najchętniéj udałby się już z wiosną do Włoch, dokąd wybierali się właśnie Teofilowie razem z... panią Becu! [1]). Myśl połączenia się z nimi w Pizie, gdzie projektowano sobie spędzić lato, uśmiéchała mu się podwójnie: raz, że zobaczyłby się z matką, do któréj był stęskniony oddawna, a powtóre, że wyjechałby z Genewy, gdzie mu już duszno być zaczynało. Ale projekt wyjazdu pani Becu za granicę nie doszedł do skutku i trzeba było, zaniechawszy myśli o podróży do Włoch, pogodzić się z rzeczywistością genewską.

Z drugiéj strony jednak, przyznać musiał, rzeczywistość ta nęciła go do siebie, jak syrena. Oderwać się od niéj dobrowolnie przyszłoby mu z wielką trudnością, z wielkim żalem. Albowiem zaprzeczyć nie mógł, że dzięki zacieśniającym się coraz bardziéj — pod względem towarzyskim — stosunkom z Wodzińskimi [2]), upływał mu obecnie czas w Genewie bardzo przyjemnie: nigdzie indziéj nie znalazłby podobnéj „prawie familijnéj" atmosfery.

Wymowną jéj ilustracyą, najlepsze rzucającą na nią światło (a oświetlającą ją inaczéj zupełnie, aniżeli to czynią późniejsze relacye strony przeciwnéj) jest opisany przez Słowackiego w liście z d. 5 lutego 1835 r. wieczór u pani Wodzińskiéj, na którym, jak i na wszystkich innych zresztą przy ulicy Beauregard, bawiono się doskonale, a którego punktem kulminacyjnym była gra w szarady. Słowacki dnia tego był w brylantowym humorze. Humor ten, nie przekraczający jednak ani na chwilę przepisów wielkoświatowego *savoir vivre*'u, tryskał co moment, jak rakietami, najzabawniejszemi konceptami, które, zyskując aplauz ogólny, wszystkich raz po raz do serdecznego pobudzały śmiechu.

Oto kilka jego próbek. Podczas jednéj z szarad wypadło poe-

---

[1]) Ob. Ateneum, 1892, II, 486.

[2]) Dowodów na to, aż nadto znajdujemy w listach poety z tego czasu. „Zajęty pisaniem (pisze np. Słowacki 5 lutego 1835 r.) długo u nich nie byłem i wymawiali mi to zaniedbanie, które i t. d. „Obudziłem się dziś rano (30 września 1834 r.), aby ten list ukończyć i odebrałem wizytę syna pani Wodzińskiéj, który w imieniu swojéj matki przyszedł zaprosić mię na wieczór..." W liście z d. 7 listopada znajdujemy szczegółowy opis tego wieczoru (str. 187, 188). W liście z d. 5 lutego mamy znowu obszerny opis wieczoru u pani Wodzińskiéj (szarady). „Na jednym (wieczorze) u pani Wodzińskiéj bardzo się dobrze bawiłem..." W inném miejscu, w tym samym liście, czytamy, co następuje: „Otóż tak bawiliśmy się na wieczorze naszym prawie familijnym. Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; córka jéj, nieładna, ale także ma wiele wdzięku i dobrego serca." W następnym liście znajduje się już ów wiersz, wpisany Maryi do sztambucha...

cie, przedstawiającemu Czas czyli Saturna, kosą z dwóch kijów złożoną i bardziéj do cepów aniżeli do kosy podobną skosić trzech razem w kącie stojących... głupców towarzystwa. (W każdém towarzystwie znajdzie się zawsze takich kilku, przynajmniéj trzech). Pragnąc im jakoś dolę tę osłodzić, poprzedził akt ten patetyczno-bombastyczną przemową, w któréj tłómaczył swoim przyszłym ofiarom, że są nadzieją przyszłości, ale że czas na nic, nawet na rozum, nie ma względu i dlatego niechaj się z przeznaczeniem swojém pogodzą...

W bardzo piękną szaradę ubrano następnie wyraz: *Nonchalance*. Pierwsza sylaba *non* wywołała następującą bajkę (którą niezawodnie wymyślił i skomponował nie kto inny, tylko autor Balladyny): *Non*, rycerz zadrosny, rozkazał żonie swéj, kiedy wyjeżdżał razem z krzyżowcami do Palestyny, aby nikomu zamku nie otwiérała, na każdą prośbę przybyszów odpowiadając *non* i zawsze *non*. To powiedziawszy odjechał. Wielu rycerzów przyjeżdżało do zamku, prosząc, aby im wolno było wejść do bramy, ale wierna Penelopa odpowiała wszystkim: *non*. Aż zdarzył się w końcu rycerz jeden, który przewąchawszy rzecz, prosił pani, aby mu do zamku wejść zabroniła; na co otrzymawszy odpowiedź *non*, zdobył fortecę... Zazdrosny Otello tymczasem zginął w Palestynie. Druga sylaba *cha* taką wywołała opowieść: Pewne grono starych pań—najprawdopodobniéj starych panien—miały prześlicznego i nadewszystko ukochanego kota. Otóż zdarzyło się, że im raz zginął faworyt. Zrozpaczone damy umieszczają zaraz szereg ogłoszeń po dziennikach, z dokładnym opisem powierzchowności swego ulubieńca, wskutek czego tysiące kotów poczęto znosić do ich domu... Opowiadanie to zilustrowano w ten sposób, że kotami była młodzież, a damami, poszukującemi swojéj zguby, panny, a więc i panna Maryanna między innemi. Nie wiem, czy która znalazła, dodaje ironicznie Słowacki... Atoli najzabawniejszém było obrazowe przedstawienie trzeciéj sylaby *lance*. Wystawiono ogromne szranki, z tronem pośrodku, na którym zasiadła królowa — panna Maryanna niezawodnie—rozdająca wieńce. Następnie dwóch rycerzów (Słowacki np. i jeden z młodych Wodzińskich) z poduszkami w ręku, zamiast tarcz, z papiérowymi od głów cukru szyszakami na głowach, ze szczotkami od zamiatania, zamiast lanc, staczali bój zawzięty o wieniec zielony z rąk piękności i kruszyli dla niéj kopie...

Wieczorki takie „prawie familijne" wyprawiała pani Wodzińska często. Słowacki, zapraszany na wszystkie, zawsze się na nich, jak sam przyznaje, „bardzo dobrze bawił". Gry towarzyskie, muzyka i taniec, spacery po ogrodzie lub moście nad brzegiem jeziora, a wszystko to na tle stosunku, „prawie familijnego", wolnego od wie-

lu krępujących ceremonii: oto w jaki sposób upływał teraz Słowackiemu czas w willi przy ulicy Beauregard.

Jednego z pierwszych dni marca odbyła się wielka w Genewie uroczystość: na pięknéj wysepce, połączonéj małym mostkiem z wielkim mostem jeziora, zrobiono prześliczny ogródek, przechadzkę i postawiono statuę J. J. Rouseau'a. Odsłonięcie téj statuy dłuta słynnego rzeźbiarza ówczesnego Pradier'a, odbyło się — wnosząc z listu Juliusza—z niezwykłą pompą. Cała ludność miejska wyległa na brzegi; na wysepce znajdowali się tylko wysocy urzędnicy, komitet budowy pomnika, wojskowi i armaty. W chwili, kiedy po odsłonięciu posągu, włożono mu na głowę złoty wieniec, zagrzmiały salwy armatnie, przeciągłém echem obijające się następnie o brzegi Lemanu; potém przyszła koléj na mowy; aż w końcu, muzyka wojskowa zagrała taniec jakiś, wyjęty z napisanéj przez J. J. Rousseau'a opery, i cała ludność, idąc za przykładem delegatów, zgromadzonych dokoła pomnika, zaczęła tańczyć... Słowacki przypatrywał się temu wszystkiemu z okien mieszkania Wodzińskich i widok téj figury kamiennéj, która siedziała nieruchoma nad trzecią generacyą ludzi, weselących się dokoła niéj, wzruszył go bardzo. „Oto, czém jest sława, myślał sobie (a może i dzielił się myślą tą ze stojącą przy nim, przy tém samém oknie, panną Maryanną): ludzie starzy tańczą, jak dzieci, koło posągu człowieka, dawno zmarłego. Gdyby to wiedzieć można, czy ten człowiek wié o tém po śmierci?..." Wieczorem, po skończonéj uroczystości, byli wszyscy, t. j. cała rodzina Wodzińskich i Słowacki z nimi, w teatrze, w którym dawano tego dnia operę Rousseau'a W i e s z c z e k w i e j s k i, oraz małą komedyjkę *à propos*, osnutą na tle życia autora N o w é j H e l o i z y. W czasie antraktu znowu uwieńczono laurem białe popiersie wielkiego fantastyka. Na dworze jednocześnie, pomimo dżdżystéj pory—jak to w marcu—palono fajerwerki. Na ulicy, imię Rousseau'a noszącéj, płonęło tysiące kagańców, a tłumy ludu snuły się po trotuarach. Słowacki, opisując tę uroczystość matce, w liście z dnia 7 marca 1835 roku, czyni to w taki sposób, iż mimowoli wyobraża go sobie czytelnik na tle téj iluminacyi wmieszanego w tłum uliczny, kiedy po skończoném przedstawieniu, wracał z teatru, w towarzystwie Wodzińskich oczywiście...

Wkrótce po téj uroczystości spotkała Słowackiego miła nad wyraz niespodzianka: pani Wodzińska, nie mająca zamiaru wyjeżdżać ze Szwajcaryi prędzéj, aż na jesieni, postanowiła na ciąg letnich miesięcy przeprowadzić się po za miasto i obrała na mieszkanie — do czego w niemałym stopniu przyczyniły się niezawodnie stosunki ze Słowackim—dom pani Patteg. Że Juliusz wiadomość o tém przeniesieniu się

Wodzińskich z niemałém przyjąć musiał ukontentowaniem, że sobie po takiém wspólném pożyciu pod jednym dachem obiecywał niejedno i że nie bez otuchy pewnéj i... nadziei poglądał w tę niedaleką przyszłość, to było tak naturalném, że aż się jemu samemu nawet nie mogło wydawać dziwném. Fakt, że pani Wodzińska zdecydowała się nająć mieszkanie w domu pani Patteg (do czego, można być pewnym niemal, pierwszą inicyatywę dał Słowacki), fakt ten, istotnie wagi niemałéj, napoił serce poety uczuciem niekłamanéj wdzięczności dla pani Wodzińskiéj. To téż nie nadaje jéj odtąd w listach nigdy innego przydomku, tylko „bardzo dobra dama".

W pannie Maryannie także zacznie się coraz więcéj dopatrywać „wdzięku i dobrego serca". Jednocześnie atoli (rzecz znamienna i godna podkreślenia) w listach swych do matki stanie się poeta, tak wynurzony przed nią zwykle i otwarty, skrytym i zamkniętym. Skryty z natury, nie uczyni odtąd „ofiary ze swéj skrytości" nawet wtedy, kiedy mu o sobie donosić wypadnie matce! Skąpy w słowa, co więcéj, nie zawsze szczery, będzie niektóre rzeczy umyślnie oświetlał inaczéj, aniżeli się miały w rzeczywistości, zacznie najważniejsze wypadki swego życia... pokrywać milczeniem, jakby się wstydził, albo też—co prawdopodobniejsze — nie śmiał do nich przyznać. Bo (myślał sobie niezawodnie) jeżeli, co daj Boże, sprawy pomyślny wezmą obrót, wtedy napisze o wszystkiém; w przeciwnym razie (a na wszystko należało być przygotowanym) lepiéj, jeżeli się matka nie dowie o niczém. Po co ją dopiéro zwodzić napróżno i karmić obietnicami, które się mogą nie ziścić. Lepiéj milczéć [2]), bo nie wiadomo, co mo-

---

[1]) „Przy końcu 1834 roku (pisze p. Wodziński) oczekiwano w willi Beauregard przyjazdu dziadka (Wincentego Wodzińskiego), z którym rodzina Wodzińskich, po kilkoletniém wydaleniu, miała powrócić do kraju. Wtenczas to babka, nie chcąc już zawierać dłuższéj ugody z właścicielem domu, przeniosła się do pani Patteg (nie przy końcu jednak roku 1834, jak mówi p. Wodziński, ale w maju dopiéro 1835 roku), utrzymującéj w Genewie t. zw. przez cudzoziemców *Une pension de famille.* Tu więc najęła babka pierwsze piętro, a niebawem cały dom służył wyłącznie do użytku rodziny i domowników. Zatrzymał w nim jednak Słowacki swój pokój. Skutkiem tego nastąpiło większe zbliżenie się między głównymi lokatorami a przyjacielem Eglantyny." Bibl. Warsz., IV, 1893, 204.

[2]) „...unikał przyznania się do serdecznych uczuć względem Maryi W...." „Słowacki po pierwszém widzeniu (panny Wodzińskiéj), pisząc o niéj do matki, powiada, że jest to panna dorosła, ale wcale nieładna. Późniéj zmienił zdanie, jakkolwiek duma długo nie pozwala mu się przyznać do tego.." „Miłość zapewne już towarzyszyła mu w niéj (wycieczce po górach) także, tylko, że była głębszą od innych, więc poeta nie przyznawał się do niéj głośno." Zob. Piotr Chmielowski, Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego

że nastąpić... „A kto wié, a może? To dziwne słowo może ma czarujący dźwięk lutni Eola: każdy najmniejszy wietrzyk wygrywa na naszych myślach to słowo może i zawsze tylko może: to słowo musiało istnieć przed stworzeniem świata.” Cokolwiekbądź, o jednéj rzeczy myślał bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnego może, mianowicie: że mu panna Wodzińska nie była obojętną; i jeżeli uczucia, jakie wzbudzała w nim, nie umiał jeszcze — a może nie chciał — nazwać po imieniu, to w każdym razie zdawał sobie z tego sprawę doskonale, że oprócz niéj nie podobała mu się teraz żadna inna panna, czyli że wszystkie przestały go interesować. Tylko ona miała dla niego jakiś urok, tylko ona posiadała jakąś magnetyczną władzę nad nim. Innych kobiét nie widział po prostu, nie zwracał na nie uwagi. Wszyscy np. koledzy jego, młodzi Wodzińscy między innymi, kochali się na zabój w jednéj Angielce, do któréj to Armidy chcieli, ażeby i on poszedł, pewni, że skoroby ją ujrzał, że zakochałby się natychmiast. Nie dał się jednak zaprowadzić, nie zależało mu bowiem na niéj ani trochę... Drugi raz, na jakimś balu „w domu jednego z panów włoskich”, widział trzy śliczne Angielki, które, jak powiada, wszystkim prawie głowy zawróciły, na nim tylko nie zrobiły żadnego wrażenia... Czemu? Bo w głowie jego „utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnéj miłości niepodobnéj do osiągnienia...”

I chodził wieczorami po ogrodzie, przy świetle księżyca, i słuchając śpiewu słowików, miał „jakieś uczucie samotnéj dumy”, które go pocieszało i przynosiło mu ulgę. Po powrocie z takich przechadzek smutnych do pokoju, zapalał lampę i, albo położywszy się nierozebrany na łóżku, puszczał wodze marzeniom — najczęściéj o wycieczce z Wodzińskimi w góry — albo téż czytał kilka rozdziałów z Biblii, którą miał teraz po polsku, w tłómaczeniu Wujka. Po nocach nie mógł sypiać. W głowie roiło mu się od różnych projektów na przyszłość, tak, iż dopiéro nad ranem najczęściéj otulał go Mor-

---

(Warszawa, wyd. trzecie), str. 132 i 142. Wogóle skrytość pewna leżała w charakterze Juliusza. Sam się nawet przyznaje do tego w jednym z listów do matki, kiedy pisze: „Ty pojmujesz, matko, jak wielką z mojéj skrytości robię ofiarę” i t. d. Tego samego dowodzi następująca strofka w Beniowskim:

> Milcz serce, albo się strzaskaj echowe
> Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
> I obłąkane, niezaspokojone!
> Uderzam ciebie w złości: milcz, szalone!

Tém skrytém usposobieniem poety należy sobie niejednokrotnie tłómaczyć lakoniczność odnoszących się do panny Wodzińskiéj ustępów i... czytać między wierszami.

feusz swém nietoperzém skrzydłem... W ciągu dnia, nie zdolny skupić myśli o tyle, ażeby pisać i tworzyć, używał wiosny, spacerując nad brzegiem jeziora, i marzył... Marzenia były teraz głowném jego zatrudnieniem, a ograniczały się „do własnego byle gdzie domku”. Chciało mu się koniecznie „mieć coś swojego na ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew, zieloności” i żeby to wszystko opromienione było, niby słońcem, uśmiéchami i spojrzeniami czułéj, kochającéj żony, szczebiotem dziatek... I znów stawała mu przed oczyma panna Maryanna, do któréj tęsknił, jeżeli się nie widzieli przez parę dni, i około któréj obecnie myśl jego krążyła nieustannie, jak księżyc około ziemi. I zdarzało mu się nieraz, że opadało go zwątpienie, że tracił wiarę w swoją gwiazdę przewodnią i że, niczego się już nie spodziéwając dla siebie na tym biédnym świecie „pomiędzy aktorami grającemi smutną i głupią komedyę życia”, zadawał sobie niekiedy pytanie, czy nie najlepiéj by było... rzucić się w jezioro i raz na zawsze wszystkiemu koniec położyć. Na szczęście przypominało mu się w takich razach, że niebawem cała rodzina Wodzińskich mieszkać z nim będzie pod jednym dachem w Paquis, i wracał czémprędzéj do domu, ażeby o ile możności dom ten i ogród przyozdobić na ich przybycie. Wielką bowiem zdawał się przywiązywać wagę do tego, ażeby się tu pannie Maryi podobało, ażeby zastała tu piękném wszystko i miłém. W tym celu, nie szczędząc sił, ani pracy, kopał klomby, sadził kwiaty, naprawiał małą altankę w ogrodzie, ubiérał ją winem i powojem [1]).

W zajęciach tych pomagała mu często Eglantyna, ale w stosunku Słowackiego do niéj wielkie zaszły zmiany: miejsce dawnéj czułości braterskiéj, zajęła jakaś chłodna grzeczność dobrze wychowanego człowieka, grzeczność, nie zobowiązująca do niczego, a taka obojętna, że już się nawet w listach do matki ani słowa od niejakiego czasu nie pisało o pannie Eglantynie... [2]). O pannie Wodzińskiéj tymczasem i jéj rodzinie były obszerne relacye w każdym liście; kiedy zaś poprosiła poety, ażeby jéj w sztambuchu „kartkę białą zabazgrał”, napisał piękny, sentymentalny wiersz, pełen wspomnień z podróży po Alpejskich górach, wiersz, którego początek brzmiał, jak następuje, a którym, jak to dziś sama pani Orpiszewska przyznaje, wszyscy byli zachwyceni...

---

[1]) Zob. List nieznany (?) J. Słowackiego z Genewy d. 1 kwietnia 1835 r. (Ateneum, 1892, II, 490), poprzednio drukowany w Warcie z roku 1883-go, w N-rze 447.

[2]) Zob. Listy, t. I, str. 181—208.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony.
Gdzie w cieniu sosen, bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem;
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony;
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali;
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.

Po takim wstępie, napisanym odrazu, *ex promptu*, w przystępie natchnienia, a opisującym czarownemi słowy niedaleką przeszłość, następowało jakby smutne przeczucie przyszłości... Bo któż zaręczy, że ta przyszłość nie skończy się, dla jednéj strony przynajmniéj, mianowicie dla poety, tragicznie. Błądzili kiedyś razem po Alpejskich górach i zachwycali się wspólnie pięknościami widoków natury; ale takie sielankowe podróżowanie po łąkach, gdzie „biją smutnie trzód zbłąkanych dzwony", mogło bardzo łatwo—jeżeli nie musiało—wyryć się niezatartemi ślady w sercu mężczyzny. Cóż wtedy? Wtedy nie byłoby dziwném, gdyby to serce pękło, po rozstaniu się z tą, dla któréj biło tak żywo wśród gór i dolin szwajcarskich. A ona? Jéj nie można by się było dziwić nawet, gdyby wróciwszy po latach do kraju, zapomniała o swoim towarzyszu podróży po Alpach... Cóż naturalniejszego! On-by jednakże nie zapomniał i w końcu... umarł z tęsknoty po niéj. I dopiéro, gdyby doszło kiedyś do owego balu, jaki pani Wodzińska obiecała z czasem wyprawić dla wszystkich, co brali udział w téj wycieczce, a na którym wszyscy mieli stawić się w tych samych kostyumach, w jakich chodzili po górach, dopiéro wtedy dowiedziałaby się Marya — może przez ironię losu podczas mazura albo przy wieczerzy — że ów młody, z czarnemi oczyma towarzysz-poeta... umarł.

„Cichoż na jego grobie?" Słowików gromada
Śpiewa na srebrnéj brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze...

(D. n.) *Ferdynand Hösick.*



FILOZOFIA

I JEJ KIERUNKI*).



III.

Problemat kosmologiczno-teologiczny.

1. *Fakta i hipotezy.* Problemat kosmologiczny mieści w sobie pytanie, jaki jest związek i ogólne ukształtowanie kosmosu, czyli wszechświata? Pod tym względem mamy fakta następujące. Działanie i oddziaływanie ciągłe, nieustające. Oto spada kamień, a my mówimy, że go ziemia przyciąga; ten jego ruch jest cząstką powszechnego ruchu, a jak ziemia na niego, tak i on na nią oddziaływa. Kamień wraz z ziemią dąży do innego wspólnego punktu, a tym jest punkt ciężkości systemu: ten system znów zostaje w takim samym stosunku do innego systemu. Każda zmiana zachodząca w nim, najmniejsze przesunięcie punktu ciężkości oddziaływa znów na ruch całego systemu planetarnego, a ten zostaje w związku z większym jeszcze systemem drogi mlécznéj. A zatém cząsteczki masy leżące obok siebie w przestrzeni stanowią jednolity system o jednolitym ruchu, w którym się każdy ruch cząstki mieści zamknięty.

---

*) Dokończenie.—Patrz „Ateneum“ zeszyt październikowy r. b., str. 47.

Pospolitemu oku wszechświat przedstawia się inaczéj, mianowicie, jako mnóstwo rzeczy, niezależnych od siebie i niekoniecznie dla siebie potrzebnych.

A jak zachodzi między rzeczami związek w przestrzeni, tak również istnieje i w czasie.

Drugim faktem we wszechświecie jest panowanie praw ogólnych.

Jednorodność pierwiastków jest tak wielka, że pod pewnym przynajmniéj względem dają się wyrazić za pomocą prostych formuł. Prawa mechaniki są, jak uczą fizyka i astronomia, ścisłym wyrazem zachowania się każdéj cząstki masy, znajdującéj się gdziekolwiek w nieskończonéj przestrzeni i nieskończonym czasie.

Nareszcie trzeci doniosły fakt, to kosmiczne uczłonkowanie rzeczywistości, czyli wszechświata. Wielki, jednolity system, nazywany światem, okazuje takie uczłonkowanie swoich części, że każda z nich stanowi znów system w sobie; najlepiéj znanym takim systemem jest nasz system planetarny, będący sam cząstką innego większego systemu. Jak w makrokosmie, tak i w mikrokosmach, to jest w organizmach, spotykamy uczłonkowane systemy, peryodycznie powtarzające się zmiany, obieg krwi, oddychanie, przemianę materyi i t. p. Nareszcie fizyologia rozkłada ciała żyjące na mniejsze jednostki, komórki, a chemia wszystkie, tak organiczne, jak i nieorganiczne ciała, na molekuły, będące znów systemami przypuszczalnych atomów. Tym sposobem nauki przyrodnicze okazują nam rzeczywistość, jako do gruntu uczłonkowany jednolity kosmos.

Jak świat fizyczny, tak i duchowy okazuje nam ten sam charakter, mianowicie jedność i uczłonkowanie.

Ludzkość dzieli się na narody, z których każdy stanowi pewną jedność duchowego życia, które się uzewnętrznia, uprzedmiotawia za pomocą języka; narody znów dzielą się na pokolenia, a te na okolice, oddzielne miejscowości, rodziny, a każda z tych grup stanowi zjednoczoną i względnie zamkniętą w sobie sferę życia.

Teraz chodzi o to, jak rozumiéć te fakta? Skąd to płynie, że świat nie okazuje nam chaosu, lecz pewien ład? Na to pytanie trzy są odpowiedzi: inaczéj atomizm, inaczéj antropomorficzny teizm, a inaczéj panteizm tłómaczą sobie istnienie świata i ładu na nim.

Atomizm (niekoniecznie materyalistyczny, bo i monadologia tu należy) przypuszcza, że przypadkowa obokleżność samoistnych pierwiastków zradza pozór jedności świata. Wewnętrznego, pierwiastkowego związku między atomami nie masz, ale poruszając się w próż-

néj przestrzeni, wchodzą one w chwilowe z sobą związki, które my nazywamy rzeczami. A gdy nieskończona ilość pierwiastków (elementów) w nieskończonéj przestrzeni i nieskończonym czasie z sobą się spotyka, wszelkie możliwe kombinacye muszą czasowo przychodzić do skutku.

Antropomorficzny teizm mówi przeciwnie: Niepodobna przypuścić, ażeby jedność, uczłonkowanie i porządek świata były wynikiem przypadku: formę światu nadała inteligencya, działająca celowo.

Panteizm nareszcie przypuszcza, że jedność tkwi w świecie, jako zasada jego immanentna, wewnętrzna.

Rzeczywistość, wszechświat stanowi jednę, jedyną istotę; wielość jest tylko pozorem, złudzeniem. Czyli innemi słowy: składniki (elementa) rzeczywistości nie są samoistnemi rzeczami, których podsumowanie stanowi całość, lecz są one przez całość zawarowanemi momentami, stanowiącemi jéj istoty modyfikacye.

2. *Atomistyczne i teleologiczno-teistyczne tłómaczenie natury.* Dwa te tłómaczenia, sprzeczne z sobą, były i są najdostępniejsze dla umysłu. Atomizm przeważa śród przyrodniczo ukształconych myślicieli, antropomorficzny teizm u ludzi religijnych. Trzeba tu zaraz dodać, że religijny pogląd nie przypuszcza materyi samoistnéj, a Boga nie nazywa budowniczym, lecz stworzycielem.

Antropomorficzny teizm opiéra się na celowości w naturze i tak rozumuje: Wszędzie, gdzie widzimy wiele pierwiastków niezależnych od siebie w takiém uporządkowaniu, że te, dzięki współdziałaniu swojemu, rozumny wydają skutek, przypuszczamy, że uporządkowania części dokonała inteligencya. Taki właśnie wypadek spotykamy w naturze. Rzućmy okiem na istoty żyjące: równają się one pod względem budowy swojéj bardzo złożonym machinom. Części takie, jak: kości, mięśnie, ścięgna, nerwy, naczynia, serce, płuca, krew, żołądek, skóra, włosy i t. d. są tak związane ze sobą, że wzajemne ich na się działanie osiąga skutek, zwany życiem. Albo, ktoby się przyjrzał budowie oka, przekonałby się, jak wszystkie jego części są dopasowane dla osiągnienia rezultatu, t. j. widzenia; słowem, celowość spotyka się ciągle i wszędzie w naturze. Im anatomia i biologia głębiéj wnikają w budowę i funkcye organizmów, tém cudowniejsze widzą dopasowanie części, tém większą komplikacyą ich i zgodność w widoku całości, a znów dostosowanie całości do otoczenia. Tego nie mógł dokazać przypadek, to sprawiła inteligencya, jak przed wiekami zauważył Anaxagoras i za co go chwali Arystoteles, mówiąc, że jako trzeźwy między pijanymi wystąpił. Plato i Arystoteles podnieśli myśl Anaxa-

gory. I ci myśliciele bronią poglądu, że nie ślepy ruch, lecz siła myśli, skierowana ku dobru, nadaje rzeczom, przenikając je, ich kształt i rzeczywistość.

Przeciw teleologicznemu poglądowi na świat staje mechanistyczny, znany już w starożytności, w szkole Epikura, a zapoczątkowany przez atomistyczno-mechanistyczną filozofią Demokryta. W naszych czasach przyrodnicy ku temuż się poglądowi przechylają.

Gdybyśmy mieli do wyboru między jednym a drugim poglądem, oczywiście trudnoby się zgodzić na twierdzenie, że zwierzęta i rośliny powstały, ot tak — przypadkowo, przez zejście się części. Nie zdawało się to prawdopodobném nawet takim sceptykom, jak Voltaire i Hume.

Dopiéro nowy biologiczny pogląd, datujący od Darwina, zdaje się prowadzić do wyjścia z ciasnego dylemmatu: czy witalistyczno-teleologiczne, czy atomistyczno-mechaniczne pojmowanie natury bliższe jest prawdy.

Krytyka, któréj autor poddaje celowość w naturze i w historyi, świadczy, że w hipotezie Darwina upatruje rozwiązanie metafizycznéj zagadki. „Nowa epoka w traktowaniu problematu kosmologiczno-teologicznego rozpoczyna się od nowego biologicznego poglądu w naszych czasach; teorya rozwoju otwiéra wyjście z dylemmatu. Nadaje ona naturalnemu, czyli samorzutnemu powstaniu istot żyjących, kształt, w którym można je sobie wyobrazić. Utrzymuje ta teorya, że zwierzęta i rośliny nie powstały tak odrazu kiedyś z nieorganicznéj materyi, lecz, że są rezultatem długiego procesu rozwojowego... Z jednéj lub kilku pierwotnych form, bardzo prostych pod wpływem przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych powstały najrozmaitsze twory”.

Pytanie, jakie się tu nasuwa, którego autor jednak nie dotknął, jest: Skąd się wzięła jedna, dajmy na to, forma życia organicznego, albo skąd samo życie, chociażby jednéj komórki? Zagadka, teoryą Darwina, została odsuniętą, ale nie rozwiązaną. Po zadawalającéj na nią odpowiedzi można już za pomocą doboru naturalnego, walki o byt tłómaczyć rozwinięcie się najrozmaitszych typów roślinnych i zwierzęcych.

Chociaż stanowczy zwolennik teoryi rozwoju, autor jednak rozumié, że są pytania związane z nią, na które odpowiedziéć nie może. Do takich pytań zalicza: Jak powstały pierwsze istoty żyjące? Jak się odbywa odziedziczanie cech wśród istot organicznych? Jak sobie objaśnić w paleontologii brak licznych form pośrednich? Czy obok powolnéj, drobnemi krokami znaczącéj się przemiany, nie należałoby

przypuścić nagłych przemian, ażeby różnice rozmaitych typów wytłómaczyć?

Niejednę zagadkę — powiada — czas rozwiąże, niejedna prawdopodobnie nigdy nie zostanie rozwiązaną. Nie należy tylko w nierozwiązanych zagadnieniach upatrywać zbicia teoryi. Teorya rozwoju nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie zadawalającą odpowiedzią na pytanie, jak powstały istoty organiczne. Kompletnéj historyi rozwoju świata organicznego na naszéj planecie prawdopodobnie nigdy nie będzie, świadectwa bowiem rozwoju są zaskąpe. Niemniéj teorya pozostanie przewodniczką badań dla następnych pokoleń uczonych. Staje ona pośrodku dylemmatu, pośrodku tych dwu pytań: czy wszechświat powstał z przypadkowego zbiegu atomów, czy przez inteligencyę został powołany do bytu.

Za pomocą teoryi rozwoju tłómaczy autor nietylko powstanie istot organicznych; lecz widzi w niéj sprężynę poruszającą życie duchowo-historyczne. Jako przykład, bierze powstanie i życie języka (mowy). Części mowy powstały prawdopodobnie z odruchów, spowodowanych wzruszeniami; język nie został wynaleziony, lecz wzrastał powoli, czyli rozwijał się stopniowo. Tą drogą powstawały języki, które, porównywając ze sobą gramatyka, sprowadza do małéj liczby typów. To, co w budowie języków zrobiono umyślnie, z rozmysłem, stanowi maleńki ułamek bogactwa form.

Jak mowa, tak i instytucye społeczne, obyczaj, prawo i państwo, powstawały i powstają nie według planu, z góry ułożonego, lecz drogą samorzutnego (spontanicznego) wzrostu. Nie moraliści stworzyli obyczaje, ani logicy prawa logiczne, ani gramatycy język; wszystko to rozwijało się, wzrastało. Nim prawo zostało skodyfikowane, istniało, jako zwyczaj, nie jako wynalazek prawników.

Nawet na polu teoretycznéin, gdzie zamiar i wynalazek najwięcéj, zdawałoby się, znaczą, nie inaczéj się dzieje; i umiejętności powstały nie według planu, lecz powolnym rozwojem: pracowały nad niemi tysiące głów przez tysiącolecia. Tkwiący w człowieku zarodek ciekawości, poznania, parł go wewnętrzną koniecznością do wiedzy.

Zsumowawszy, to, co powiedziano, okaże się, że nie umyślne, według planu przygotowywanie, lecz naturalny wzrost zachowuje moc swoją i w świecie duchowo-historycznym, tak samo, jak i w fizycznym. Nie za pomocą obmyślanéj metody, lecz samorzutnie, z zarodkowych, drobnych początków powstają twory organiczne w naturze i w historyi. Wzrastanie, nie zaś robienie jest zasadniczą kategoryą rzeczywistości. I dzieła ludzkie, uważane w ogóle, okazują formę nieumyślnego

stawania się; robota z zamiarem wykonywana stanowi zaledwie drobną, poboczną formę żywostanu.

3. Inaczéj rozwiązuje problemat kosmologiczny *metafizyka atomistyczna. Jéj niedostateczność. Pojęcie wzajemnego oddziaływania.*

Ażeby teorya rozwoju miała być przemijającą modą, jak niektórzy mniemają, autor nie sądzi; ale też atomistycznego poglądu na świat nie uważa za uzasadniony. Między przyrodnikami spółczesnymi panuje mniemanie, że atomizm materyalistyczny jest takim poglądem na świat, który nam umiejętność narzuci. Paulsen nie wierzy, by rozwiązanie zagadki leżało w atomach. Bo oto same atomy nie są czémś danèm, pewném, przedmiotowém, lecz przypuszczeniem. Istnieją ciała, czyli raczéj świat jednolity, który myśl na oddzielne rzeczy rozkłada; a drobiąc je jaknajbardziéj, na atom nie natrafia.

Następnie, atomy mają na siebie uderzać, wzajem na się działać. Tego wzajemnego oddziaływania zrozumiéć niełatwo. Albowiem, gdy kula *A* uderza w kulę *B*, pierwsza oddała swój ruch drugiéj, ruch został przeniesiony. Nie jest to rzeczą zrozumiałą; zdawałoby się bowiem, że ruch, niby szata, został zdjęty z pierwszéj kuli, a włożony na drugą. Tak samo, gdy mówimy o sile powszechnego przyciągania, nie łatwo zrozumiéć działanie jéj zdaleka, albo np. wpływ księżyca na wody oceanu.

Co znaczy ten wpływ? przecież nic nie wypływa z księżyca. Jeżeli zamiast kul weźmiemy dwa atomy, z których jeden w ruch wprawia drugi, wpływa na niego, jesteśmy również w kłopocie, jak ten wpływ pojmować. Czyliż ruch od jednego oderwał się, niby skóra, i odział drugi?

Jak ten ruch przechodzi, nie wiemy; nie wiemy, co między dwoma atomami zaszło; tak samo, jak nie wiemy, co zachodzi między ciałami niebieskiemi, gdy się przyciągają i wzajemnie na drogi swoje wpływają. Wzajemne więc na siebie działanie znaczy jedynie: prawidłowo odpowiadające sobie zmiany. Ustał ruch w *A*, a równocześnie rozpoczął się w *B*; ale jak się to stało, nie wiemy, tylko, że patrząc na takie przenoszenie ruchu ciągle, oswajamy się z niém i nie widzimy w przebiegu zjawiska nic tajemniczego. Fizyk również nie widzi tu tajemniczości; ale metafizyk, atomistyczną hipotezą powstanie świata tłómaczący, powinienby o tém uderzaniu się atomów pomyśléć i ciemnego przez niejasne nie tłómaczyć. Zöllner mówi, że działająca zdaleka siła przyciągania jest tak dobrze zrozumiała lub niezrozumiała, jak działanie przez uderzenie lub ciśnienie.

Jeszcze mniéj właściwém jest owo fałszywe wyobrażenie o związku przyczynowym, w którym przyczyna wygląda tak, jak gdyby skutek przed sobą pędziła. Stosujemy, jak wiadomo, pojęcie przyczynowości i do zjawisk życia wewnętrznego. Widzę krajobraz przypominający mi stronę rodzinną; powstaje tęsknota za nią, rodzi się chęć ujrzenia jéj na nowo i wyjeżdżam. Każdy patrząc na powiązanie szczegółów, rzekłby, iż pomiędzy niemi zachodzi związek przyczynowy, ale jakim sposobem jedno wyobrażenie pociąga za sobą drugie, albo budzi uczucie, nic nie wiemy; jedno wiemy, że gdy się zjawiło *A*, zjawia się lub dąży do ukazania się *B*.

Atomizm tedy powinienby sobie zadać pytanie: skąd to pochodzi, że wiele substancyi jednakowo się zachowuje, tak że je można pod ogólną formułę sprowadzić? Dlaczego się one nie zachowują każda inaczéj, jeżeli są zupełnie od siebie niezależne?

Oczywiście, powiada autor, dlatego że stanowią jedność, że są częściami Jednolitéj-Wszystkości *(des All-Einen)*. Taki pogląd nazywa się panteizmem.

4. *Przyczynowość i celowość.* Zaprzeczywszy celowości takiéj, jaką teizm antropomorficzny objaśnia bieg natury *(Absichtenteleologie)*, autor dopatruje przecież w naturze dążność do celu *(Zielstrebigkeit)*, a już celowość zupełną widzi w utworach ducha ludzkiego i w życiu. W poemacie, dajmy na to, części jego zmierzają do pewnego celu, jaki piszący sobie założył. To, czego chciał dowieść, jest poruszającą sprężyną, a cel ten nie jest czémś zewnętrzném, lecz urzeczywistnioną całością, skończoną jednością poematu, jest entelechią w języku Arystotelesa.

Również zdrowe życie człowieka tworzy zamkniętą w sobie całość, stanowi pewną jedność; nie składa się z szeregu przypadków, nie jest mechaniczną mieszaniną elementów świadomości, lecz przez wewnętrzną konieczność związaną wieloczłonkową jednością. Nie możemy wprawdzie każdego elementu uważać za celowo konieczny, jak to w poemacie się zdarza; gdyż rachubę miesza przypadkowość: ale możemy tak pojmować całość. Każdy biograf widzi w życiu swojego bohatéra pewną całość związaną przez wewnętrzną, zrozumiałą konieczność.

Życie nie składa się z popychań tam i napowrót, lecz jest niejako ciągnione do celu, celem zaś jest spełnienie idei. Idea dzieła-życia, rozwijająca się wraz z życiem nadaje pracy człowieka siłę i kierunek. Dążność do pewnego celu jest cechą zdrowego życia. Przyczynowość i celowość biegną spólnie w życiu duchowo-historyczném;

samorzutne spółdziałanie wielu czynników w jednym szeregu, w którym każde ogniwo jest przez wewnętrzną, logiczno-estetyczno-etyczną konieczność osadzone, stanowi cechę duchowego ruchu.

Przyrodnik, wróg celowości w naturze, powiada, że szukać jéj po za granicami życia organicznego niepodobna, gdyż właśnie światu fizycznemu brak życia wewnętrznego, woli. Otóż, by i w naturze fizycznéj mógł cel ujrzéć, powinien się zrzec przypuszczenia, jakoby naturę składała martwa materya, stanąć na stanowisku paralelizmu, być przekonanym, że dokądkolwiek sięga świat fizyczny, tam się rozciąga i świat wewnętrzny, świat woli. Wprawdzie nie możemy całego wszechświata z jego wewnętrznéj strony oglądać, albowiem poznaniu naszemu dostępna jest przedewszystkiém jego strona zewnętrzna. Teleologiczne rozumienie natury jest zaledwie postulatem, lub możliwością. Obrachowywamy ruchy planet, ale harmonii sfer ucho nasze nie słyszy. Mamy tu do czynienia nie z poznaniem przedmiotowém ograniczającém się na wykazaniu przyczynowego związku między rzeczami, lecz z podmiotowém, uczuciowém.

Komuby brakło téj strony uczuciowéj, ktoby był tylko rozumem, ten nie doszedłby wcale do rozważania teleologii. Dla takiego, każda rzecz byłaby równie ważną lub nieważną, albo raczéj tylko rzeczywistą: wszelkie różnice wartości, wszystkie inne orzeczenia, byłyby dlań niezrozumiałe. Przyrodnik staje się, w pewnym sensie, takim abstrakcyjnym rozumem, co mu potrzebne, by słusznie pokazał obiektywny, przyczynowy związek między rzeczami. Ale co stanowi zaletę przyrodnika, nie stanowi doskonałości człowieka; ten powinien być wrażliwy na dobro i zło, na piękność i brzydotę; utrata téj zdolności równałaby się utracie własnéj osoby: abstrakt zwany rozum, nie czyni jeszcze człowieka.

5. *Panteizm i dusza świata.* Jeżeli cały kosmos, wszechświat ukazuje się spojony w jedność, a części jego we wspólném oddziaływaniu na siebie; jeżeli téj jedności świata fizycznego odpowiada jedność życia wewnętrznego, które sobą ogarnia wszelkie życie indywidualne; tedy pogląd taki na świat nazwiemy idealistycznym panteizmem. Autor pogląd ten uważa za swój i tak formułuje główne jego cechy:

1) Rzeczywistość jest spojoną w jedność istotą; pojedyncze rzeczy bytują tylko w téj wszystkości *(das All-Eine)*, będącéj istotą najrzeczywistszą, czyli mówiąc językiem Spinozy, rzeczywistość jest substancyą, a pojedyncze rzeczy są jéj modyfikacyami.

2) Wszystkość objawia nam swoją istotę dwiema twarzami rze-

czywistości: naturą i historyą — albo mówiąc słowami Spinozy, substancya objawia się nam w dwóch swoich atrybutach, jako rozciągłość i świadomość.

3) Powszechne wzajemne oddziaływanie jest objawem wewnętrznéj, estetyczno-teleologicznéj konieczności, z jaką Wszystkość treść swoją za pomocą pojedynczych modyfikacyi rozwija. Spinoza wyraża to samo, mówiąc: substancya jest sama swoją przyczyną; rozwija zaś swoję istotę parta wewnętrzną (logiczno-matematyczną koniecznością).

Ten idealny panteizm wyznawali, zdaniem autora, najwięksi myśliciele wszystkich czasów, nim oddychały wielkie ludy Wschodu, i w nim również duch grecki znalazł ostoję. Nowsze czasy wartość jego uznały.

Teraz jedynie przyrodnicy mogą się mu opiérać, utrzymując, że świat potrafią wytłómaczyć za pomocą atomów i sił fizykalnych, z wyjątkiem procesów mózgowych (świadomości). Nauka, mówią oni, weszła w okres wieku męskiego, nie puszcza się już na takie dziecinne spekulacye; a kto je lubi znajdzie je u maruderów filozoficznych. Autor nie myśli tym przeciwnikom narzucać swojego poglądu. Kto chce pozostać przy astronomiczno-fizykalnym poglądzie, niech zostanie. Może on sobie mówić: to wiemy, a o tamtém co ty prawisz, nic nie wiemy; procesy świadomości są odosobnionemi zjawiskami w istotach żyjących; czy mają one szersze kosmiczne znaczenie, o tém nie możemy nic wiedziéć, a hipotezy metafizyczne wcale nas nie zajmują.

Dusza świata nie ma na swoje posługi ani mózgu, ani systemu nerwowego, ale téż Wszystkość *(das All)* nie potrzebuje ich. Fizyk powié na to: są to czyste fantazye. One téż nie chcą za wiele więcéj uchodzić: ale i fantazya ma swoje prawa i zadanie, choćby takie, by rozumowi granice wskazać. W czasach, gdy umiejętność tak się nasyca skończonemi rzeczami, nie byłoby to rzeczą zbyteczną.

Zachodzi pytanie, jaki jest stosunek ducha jednostkowego, do téj duszy świata, do powszechnego ducha *(All-Geist)*.

Stosunek ten należałoby pojmować jako pojedyncze momenta ducha jednostkowego. Innemi słowy: jako uczucia, myśli tkwią w duchu jednostkowym; tak całe życie duchowe jednostki trzebaby pojmować jako utkwione w życiu Boga. Czyby duch ludzki przez to nie stracił swojéj samoistności? Pozostałaby mu, ale względna. Jeszcze jaśniéj to samo: Jak oddzielny popęd lub afekt, oddzielne szeregi myśli lub grupy wyobrażeń w naszém życiu duchowém mają pewną samoistność, a mimo to do całości należą i na nią się składają; tak i całe jedno życie duchowe (dusza) może być zamknięte w obszerniejszém

Podobieństwem mogłoby być uczłonkowanie świata cielesnego: komórka organiczna, względnie samoistny członek ciała, które ze swéj strony znowu jest zależnym, a zarazem i samoistnym członkiem ciała ziemi i razem z nią do innych, dalszych związków należy.

IV.

Problemata z zakresu teoryi poznania

Pytania dotyczące istoty i źródeł poznania zajmowały do niedawna miejsce naczelne w badaniach filozoficznych, zepchnąwszy na drugi plan zagadnienia metafizyczne. Byli nawet tacy, którzy całą filozofią redukowali do teoryi poznania, lub przynajmniéj chcieli, by przedmiot ten jako związany z granicami samego poznania, był przed innemi traktowany.

Mamy tu więc, jak już na początku powiedziano, do rozważenia dwa pytania, mianowicie: Co jest poznanie i jakie jego źródło, jak poznanie zdobywamy? Każde z tych pytań daje początek dwom sprzecznym odpowiedziom; pierwsze: realizmowi i idealizmowi, lub fenomenalizmowi; drugie: sensualizmowi, czyli empiryzmowi i racyonalizmowi.

Na pytanie, jaka jest istota poznania, realizm odpowiada: poznanie jest kopią, niby fotografią rzeczywistości, wyobrażenie jest zupełnie podobne do rzeczy, przedmiotu, jest niby drugą rzeczą, tylko pozbawioną materyalności.

Idealizm czyli fenomenalizm utrzymuje przeciwnie, że wyobrażenia i rzeczy, myśl i byt są zupełnie od siebie różne i nie dają się porównywać.

Na pytanie, jakie jest źródło, początek poznania, sensualizm czyli empiryzm mówi: wszelkie poznanie płynie z postrzegania zewnętrznego lub wewnętrznego, inaczéj z doświadczenia, przez kombinacyą postrzeżeń; przez gromadzenie i opracowywanie doświadczenia powstaje umiejętność. Racyonalizm twierdzi przeciwnie: wszelkie umiejętne poznanie wynika z rozumu, to jest z samego rozwijania się wniosków, z pierwotnych zasad, pryncypiów, które nie pochodzą z doświadczenia.

Ponieważ każda teorya poznania musi zająć względem tych przeciwieństw pewne stanowisko i dać na oba pytania odpowiedź, odpowiedź ta może przybrać cztery formy:

1) Albo to będzie empiryzm realistyczny, który utrzymuje, że za pomocą postrzegania poznajemy rzeczy, jakiemi są same

w sobie; albo 2) racyonalizm realistyczny, który mówi: poznajemy rzeczy jak one są, ale nie przez zmysły, lecz tylko przez rozum. Przedstawicielami takiego pojmowania byli Plato, Spinoza, Hegel; wedle ich systematów, poznanie rzeczywistości przez rozum jest zupełne *(cognitio adequata)*; albo 3) empiryzm idealistyczny utrzymujący, że poznajemy rzeczy tylko przez postrzeganie, ale to nie daje zupełnego, słusznego poznania. Hume jest najkonsekwentniejszym wyobrazicielem tego poglądu; albo 4) idealistyczny racyonalizm, który głosi, że możemy poznać rzeczywistość *à priori*, za pomocą samego rozumu, wprawdzie nie taką jaką ona jest sama w sobie, tylko jak nam się ukazuje i to ze strony formalnéj. Jestto pogląd Kanta.

Możnaby tu jeszcze dodać pogląd Sceptyków, utrzymujących, że wogóle niczego poznać nie możemy. Takich jednak zupełnych sceptyków dzisiaj chyba nie ma; są umiarkowańsi, którzy narzekają na ograniczoność i niepewność ludzkiéj wiedzy. Sceptycyzm w nowszéj filozofii zwraca się przeciw uroszczeniom transcendentalnéj spekulacyi, broniąc bądź wiary, bądź empirycznych badań od napaści spekulacyjnych. Kant zaliczył Hume'a do sceptyków, lubo niesłusznie.

1. Stosunek poznania do rzeczywistości.—Pogląd idealistyczny. Pospolite myślenie zaczyna od naiwnego realizmu. Według pospolitego mniemania, wyobrażenia nasze są tém względem rzeczy, czém kopia względem oryginału i dlatego, że są kopią rzeczy, są prawdziwe; fałszywe dlatego są fałszywemi, że nie są wiernemi obrazami rzeczywistości.

Budząca się refleksya nasuwa wątpliwości w tém pojmowaniu. Zmysły łudzą nas często. W gorączce chory słyszy tony nieistniejące, widzi, czego nikt inny nie widzi, ma halucynacye; śniący wierzy w senne widziadła jako w coś rzeczywistego.

Gdzie na te złudzenia rada? Gdzie kontrola? W nowszych czasach fizyologia zmysłów inne jeszcze nasunęła wątpliwości i zadała cios naiwnemu realizmowi. Oto nazywamy pewien pokarm zdrowym, pewien owoc smacznym. Jak to rozumiéć? Czy zdrowie siedzi w pokarmie, a smak w jabłku? Oczywiście nie, odpowiada zdrowy rozum, lecz w tym, który spożywa; w jabłku jest prawdopodobnie jakaś siła, która w ten sposób działa na zmysł smaku. Cukier nazywamy słodkim; czy tu rzecz się ma inaczéj, niż poprzednio? Może sam cukier jest słodki? Nieinaczéj — ale co to znaczy? Oto, gdy się zetknie z językiem, jest słodki; gdyby nie smakował słodko, nie powiedzielibyśmy,

że jest słodki. Więc znowuż smakowanie nie w nim leży, lecz w nas; a więc musi w nim być jakaś siła, która sprawia ową słodycz na języku. Gdyby nie było języka, nie byłoby ani słodyczy, ani goryczy na świecie. Toż samo można okazać na innych własnościach, których doświadcza ucho lub oko.

Doszedłszy do tego punktu, refleksya zatrzymuje się i powiada: Zewnątrz nas, w przestrzeni znajdują się ciała rozciągłe, nieprzenikliwe, ruchome, obdarowane rozmaitemi siłami; ale doznawanie, odczuwanie ich leży w podmiocie, a zaś w rzeczach tkwią siły mogące obudzać tamte wrażenia. Nadto, między temi siłami a skutkami, jakie one wywołują, niemasz żadnego podobieństwa. Dźwięk, ton, nie równa się drganiom powietrza, które budzą nerw słuchu; tak samo światło nie jest podobne do fal eteru.

Na tém stanowisku pod względem teoryi poznania stanęła refleksya w XVII wieku; zgadzają się na nią Kartezyusz, Hobbes, Spinoza, Locke — mianowicie uznają, że jakości zmysłowe tkwią tylko w podmiocie, a zewnątrz niego są ciała ruchome budzące owe własności. Locke odróżniał nadto własności (jakości) pierwszorzędne i drugorzędne. Do pierwszorzędnych należą: rozciągłość, nieprzenikliwość, podzielność, ruch, jako własności ciał; do drugorzędnych: barwa, smak, zapach, które nie przysługują ciałom samym w sobie, lecz o ile te wchodzą w zetknienie z naszemi zmysłami.

Następnie przekonano się, że to odróżnienie pierwszorzędnych i drugorzędnych własności nie da się utrzymać, że okoliczności, które nas zmuszają do umieszczania drugorzędnych własności (barwa, ton) w podmiocie, zmuszają nas równie do takiegoż pojmowania i pierwszorzędnych. Oto np. bez postrzegania, bez wzroku lub dotyku, niepodobna dojść do wyobrażenia sobie rozciągłości, jak bez słuchu do wyobrażenia dźwięku. Lotze w swojéj *Medizinische Psychologie* rzecz tę przekonywająco wyłożył, mówiąc; że nie obrazy rozciągłe, lecz różne jakościowo pobudzenia, biegnące przez oddzielne włókna nerwów zmysłowych do mózgu sprawiają, że dusza sama układa obraz z postrzeżeń Nie mamy tedy zasady do uważania rozciągłości za absolutną własność rzeczy, tak samo jak barwy, lub smaku.

Przy takim poglądzie znika przedmiotowy byt samego ciała; tak, iż należałoby mówić, że ciało jest podmiotowym obrazem, który inteligencya nasza wskutek pewnych pobudzeń tworzy. A więc rozciągłość, opór, ruch należy tak samo, jak wonie i smaki, barwy i dźwięki uważać tylko jako symbole transcendentnéj rzeczywistości.

Pierwszym, co ten wynik z rozbioru poznania bezwzględnie wyprowadził, był Berkeley. Według niego, ciała są to wyobrażenia

a byt ich stanowi nasze postrzeganie *(esse est percipi)*. Rozumując tym sposobem możnaby dojść do wniosku, że świat zewnętrzny nie istnieje, że tylko my sami istniejemy, co nazywają solipsyzmem. Według Kanta, poznajemy tylko zjawiska, a do gruntu rzeczy, do ich wewnętrznéj istoty dobrać się nie możemy; taki pogląd na istotę poznania nazywają fenomenalizmem; świat wyobrażalny nie pokrywa sobą świata rzeczywistego, nie równają się sobie, pozostaje coś niepoznanego, tak zwana „rzecz w sobie" *(das Ding an sich)*. Na téj drodze rozumowania możliwy jest jeszcze jeden krok przez zniesienie, usunięcie „rzeczy w sobie"; stawia go Fichte, głosząc, że *ja* równe *nie-ja*.

Poznanie świata zewnętrznego rozmaicie bywa objaśniane. Głębsze wejrzenie w rzecz uczynił J. St. Mill. Według niego, ciała są „ciągłą możliwością czucia". To tak się rozumié: Gdy mówię, ta cielesna rzecz istnieje, znaczy to właściwie: jestem przekonany, że takie a takie postrzeżenia w takim a takim związku są możliwe. Gdy mówię: tu leży kawałek papiéru, to znaczy: mam takie postrzeżenie wzrokowe i przypuszczam, że takie a takie postrzeżenia dotykowe uczynię, jeżeli takie a takie poruszenia wykonam. Mówię, gdy pokój opuszczam: tam na stole leży arkusz papiéru; co znowuż wyraża: jestem przekonany, że gdy sam lub kto inny wejdzie do pokoju, to i to znajdzie lub uczuje. Gdybym w to nie wierzył, tobym tak nie twierdził; gdybym wchodząc papiéru nie znalazł, powiedziałbym: papiér zniknął; gdybym nie wierzył, iż możliwém jest uczynić te postrzeżenia, powiedziałbym wówczas, papiéru już niemasz, przynajmniéj w jego dawnéj postaci; a gdybym nie wierzył, iż możliwém jest odnalezienie szczątków jego w postaci popiołu lub gnijącéj materyi, powiedziałbym: papiér wogóle przestał istniéć. Tak więc możliwość czynienia postrzeżeń równa się temu, że ciała istnieją.

Na to zdrowy rozum może odpowiedziéć, że papiér mógł nie przestać istniéć, ale nie stało postrzegacza; składowe jego (papiéru) części będą istniały, chociażby już dawno życia ani czucia na ziemi nie było, tak jak istniały, nim życie nastało. Prawda; tylko, że sens orzeczenia byłby ten sam, co poprzednio; mianowicie, gdyby wtenczas była jakaś czująca i wyobrażająca istota, mogłaby takie a takie czynić postrzeżenia, mogłaby ziemię widziéć jako roztopioną masę i węgiel po tysiącznych transformacyach wchodzący w ten kawałek papiéru.

Okoliczności te, stosunek ten do naszéj świadomości, mogą nam nie być przytomne, ale pominąć ich niepodobna.

Gdy o pewnéj rzeczy mówimy, że istnieje, wyrażamy przez to

ogół możliwych postrzeżeń, jakie świadomość pewna mogłaby uczynić. Bez postrzegania i świadomości, niemasz ciała; ciałom więc przysługuje względna, nie bezwzględna egzystencya.

2. *Źródło, czyli początek poznania.* Badanie początku poznania prowadzi do przeciwieństw zwanych racyonalizmem i empiryzmem czyli sensualizmem. Empiryzm wszelkie poznanie wyprowadza z doświadczenia; racyonalizm przeciwnie twierdzi, że umiejętne poznanie nie może pochodzić od zmysłów, albowiem cechą jego są: ogólność i konieczność, pochodzi tedy z rozumu.

Pospolity, zwyczajny pogląd na źródło poznania widzi je w zmysłach; ale filozoficzna refleksya inaczéj sądzi: według niéj, źródłem tém jest myślenie, czyli rozum. Na to zgadzają się już starożytni. Heraklit szydzi ze zmysłów, nazywając je niewiernymi świadkami. Z nowszych myślicieli tegoż zdania są Kartezyusz, Hobbes, Spinoza, Leibniz. Ci za punkt wyjścia biorą matematykę. Matematyka czysta nie pochodzi z doświadczenia, tak samo fizyka matematyczna i teorya świata matematyczna. Racyonalizm tedy uczy, że wszelkie umiejętne poznanie bierze początek z rozumu za pomocą wewnętrznego rozwoju pewnych zasad, pryncypiów tkwiących w nim samym, nie zaś przez doświadczenie zdobytych.

Wzorem pod tym względem jest matematyka. Jeżeli tak, zachodzi pytanie, jaką drogą do owych zasad, pryncypiów dochodzimy? oraz inne, skąd to pochodzi, że system wiadomości tylko przez rozum wydobytych, zapewnia nam przedmiotowe poznanie rzeczywistości? Ten jest bowiem zamiar wszelkiéj umiejętności, by nam dać poznać rzeczywistość; skoro zaś między taką apryoryczną wiedzą, a światem rzeczywistym zachodzi zgodność, to nie jest to rzecz łatwa do zrozumienia. Na te pytania inaczéj odpowiada racyonalizm metafizyczny (Plato), inaczéj matematyczny (Kartezyusz, Hobbes, Spinoza), a inaczéj formalny (Kant).

Pomijając dwie inne formy racyonalizmu, zobaczmy, jak uczy matematyczny. Mówi on, że wszelka umiejętność, zwłaszcza téż umiejętność przyrody musi i powinna przyjąć formę matematyki, to jest formę systemu wywiedzionego z pryncypiów. Na powyższe dwa pytania racyonalizm matematyczny ma swoje odpowiedzi. Na pierwsze pytanie: skąd owe pryncypia pochodzą? Kartezyusz odpowiada: są to wrodzone idee, rozumiejąc przez nie wcale nie idee platońskie, lecz pewne składniki poznania pochodzące wprost z rozumu i nie potrzebujące potwierdzenia przez doświadczenie. Widzimy przykład ich w matematyce; zasady jéj stanowią definicye i pewniki, których praw-

dziwość wcale nie polega na postrzeganiu i obserwacyi. Definicye matematyczne są pojęciami, które rozum sam tworzy; pewniki są zdaniami, których moc nie z doświadczenia pochodzi, lecz które gdy będą zrozumiane, same przez się uznanie wymuszają. Filozofom XVII wieku matematyka stała się wzorem; wszystko chcą matematycznie wykładać. Spinoza pisze „Etykę" sposobem geometrycznym wywiedzioną. Z niesłychaną wytrwałością przeprowadza formę matematyczną wszędzie: w metafizyce, fizyce (parę twierdzeń w 2-éj księdze „Etyki"), teoryi poznania, psychologii, etyce. Każda księga „Etyki" rozpoczyna się od definicyi, pewników, dowodzeń, korolaryów i scholiów. Cały system filozofii buduje z formuł, pojęć i pewników, uważanych myślowo za konieczne. Odpowiedź na drugie pytanie, co do zgodności tego systemu z rzeczywistością, podaje ze swojéj metafizyki. Podstawą odpowiedzi jest paralelizm obu atrybutów substancyi: myślenia i rozciągłości; jesto jedna i ta sama istota substancyi, która się objawia w świecie fizycznym i w świecie myśli za pomocą systemu modyfikacyi. Dlatego téż porządek i związek w świecie myśli panujący, odpowiada porządkowi i związkowi istniejącemu w świecie fizycznym.

Teraz zobaczmy, jak na te same pytania odpowiada empiryzm, którego naczelnymi przedstawicielami są: Locke i Hume.

Empiryzm tak mówi: mamy dwa różne co do istoty i metody swojéj rodzaje umiejętności: czysto pojęciowe, jak matematyka i przedmiotowe (rzeczowe), jak fizyka i psychologia. Błąd racyonalizmu polega na tém, że uznaje tylko jeden rodzaj umiejętności, mianowicie: matematyczne, i podług ich wzoru chciałby urobić wszystkie inne umiejętności. Jestto zamysł niepodobny do wykonania; umiejętności dotyczące faktów, a także dotyczące ducha, są co do treści i metody różne od metafizyki. Fizyka i psychologia np. uczą nas o tém, jak rzeczy istnieją, które są niezależne od naszych pojęć. Jak o nich możemy coś wiedziéć? Empiryzm odpowiada: tylko za pomocą doświadczenia. Całkiem niepodobna jest z pojęcia wody i ciepła wyprowadzić, co się stanie, gdy termometr spadnie do zera lub się podniesie do stu stopni; albo wywnioskować z pojęcia pewnego ciała, co się stanie gdy z poden wyjmiemy podporę. Tylko postrzeganie uczy nas, że ciało w takim razie upadnie; samo pojęcie nic tu nie poradzi. Nawet najdoskonalszy rozum, mówi Hume, rozum Adama przed grzechem nie mógłby mu powiedziéć, że gdy w wodę wpadnie, utonie; również nie powiedziałby mu, co się stanie, gdy ciało będące w ruchu uderzy w inne, będące w spoczynku. Tak samo i psychologia nie może z pojęcia

duszy wywieść, że ona czuje, pożąda, wnioskuje; lub przewidzieć, że drgania powietrza — czucie tonu, a uciśnienie oka — czucie światła, uderzenie w twarz — gniéw obudzą. O tém wszystkiém uczy nas tylko doświadczenie.

Takie rozmyślania o źródle poznania rozpoczął Locke usiłując dowieść, że wszystkie nasze pojęcia z doświadczenia płyną; że ludzie z gotowemi, czyli jak nazywają z wrodzonemi ideami na świat nie przychodzą. Ostatni ten punkt dotyczył nauki Kartezyusza, który utrzymywał, iż jest rzeczą możliwą w fizyce, jak i w psychologii tworzyć pojęcia tak samo, jak w matematyce, a prawdziwość ich może być dowiedziona z ich wewnętrznéj możliwości. Locke temu przeczył. Pojęcie ciała, definicya: że ciało jest rzeczą rozciągłą, a myśl rzeczą myślącą mogą być wewnętrznie możliwe, jasne i wyraźnie pomyślane, a mimo tego pewność, moc ich jeszcze nie dowiedzioną; przecież i złotą górę można sobie jasno i wyraźnie wyobrazić. Prawdziwość pojęć we wszystkich umiejętnościach traktujących o faktach polega wyłącznie na tém, że takie fakta, i tak a tak ze sobą powiązane, rzeczywiście istnieją. Z tego daléj wynika, że pojęcia umiejętności przedmiotowych nie mogą być tak szczelnie zamknione, jak matematyczne; mogą one późniéj, dzięki obserwacyi, być rozszerzone i pogłębione.

W pojęciu złoto mieszczą się wszystkie dotychczasowe postrzeżenia o tém ciele czynione: ma ono taką barwę, taki ciężar gatunkowy, zachowuje się tak a tak względem działających na nie wpływów mechanicznych, chemicznych, termicznych. Być może, iż dalsze obserwacye wykryją w złocie nowe własności; być téż może, iż poznamy ciało mające wszystkie własności złota, z tą jedną różnicą, iż punkt topliwości jego będzie wyższy lub niższy, aniżeli złota. Wówczas pojęcie nasze rozszerzylibyśmy o tyle, by się w niém ta różnica pomieściła. Tymczasem pojęcie matematyczne jest zamknione: figura, któréj promienie niezupełnie są równe nie jest kołem; linia dotykająca koła więcéj, niż w jednym punkcie, nie jest styczną.

Locke nieraz kładzie nacisk na to, że pojęcie matematyczne jest formalnie najdoskonalsze. Żałuje on, że granice jego są tak szczupłe, i że oprócz matematyki mogłoby jeszcze tylko w moralności, t. j. w etyce znaleść zastosowanie; ale umiejętności przedmiotowe jak fizyka, chemia, psychologia nie mogą być matematycznie traktowane, przy nich obserwacya i doświadczenie są konieczne.

Hume ciągnął daléj wątek przez Locke'a rozpoczęty. Zasługą jego jest rozbiór pojęcia przyczyny i skutku. Prawo przyczynowości było zawsze główną podporą racyonalizmu. Ale Hume widzi

w niém tylko zwyczajne następstwo po sobie dwóch faktów, nie zaś jakiś mistyczny węzeł. Stosunek przyczyny i skutku, mówią, jest taki sam jak zasady i następstwa, *sequicausari*. Hume nazywa to błędem; wnioskować na podstawie prawa przyczynowości jest co innego, niż wnioskować na podstawie logicznego prawa sprzeczności. Stosunek przyczyny i skutku nie jest logicznym, przez czyste myślenie dającym się ująć. Przyczyna i skutek nazywają się w fizyce i psychologii zjawiskami, które stale w czasie po sobie następują; nie masz między niemi żadnego wewnętrznego związania, jakiéjś konieczności, a przynajmniéj nie są one przedmiotem obserwacyi. Spostrzegam, że po pewném zjawisku następuje inne i spodziéwam się, że za drugim razem to samo nastąpi: oto początek pojęcia przyczynowości. Daje się to widziéć na zwierzętach; i one przez doświadczenie stają się roztropniejsze. U ludzi postrzeżenie to jest daléj rozwinięte, albowiem nie każde dostrzeżone następstwo jednego zjawiska po drugiém skłania nas do oczekiwania, że się powtórzy; ludzie uczą się odróżniać stałe następstwa zjawisk od przypadkowych, ale i dla ludzi ostateczną podstawą jest to samo, co i u zwierząt. Niepodobna w żaden sposób za pomocą logicznego wnioskowania z pojęcia przyczyny wydobyć skutku. Weźmy najprostszy przykład: ruch pewnego ciała w takim a takim czasie jest przyczyną równego ruchu w następnym czasie; tego logicznym wnioskiem wywieść niepodobna. Ze zdania: to ciało porusza się w téj sekundzie z taką szybkością i w takim kierunku — logicznie nic wywieść nie można, nie można wywieść, co się w następnéj sekundzie będzie działo. Oczekuję na podstawie dotychczasowéj obserwacyi, że to ciało w następnym czasie z równąż szybkością, w tymże kierunku taką samą przestrzeń przebieży. Ale to oczekiwanie moje nie mieści w sobie żadnéj konieczności myślowéj, jak np. pewne twierdzenie matematyczne. Mogę także myśléć, że ruch nagle, albo powoli sam z siebie ustanie, lub téż w innym kierunku pójdzie.

Z tego rozważania wynika, że w umiejętnościach przedmiotowych nie masz żadnych ogólnych w ścisłém znaczeniu prawd. Są tylko przypuszczalnie ogólne sądy, przy których trzeba dodawać: z zastrzeżeniem sprostowania przez następne doświadczenie. Sądy w matematyce są absolutnie ogólne i konieczne; żadne doświadczenie nie może zachwiać sądu: że suma kątów trójkąta równa się dwóm prostym; sąd ten mieści się w danych pojęciach jako logicznie konieczne następstwo. Tymczasem ani w fizyce, ani w psychologii nie masz sądu, któryby taką konieczność posiadał. Również i prawo przyczynowości nie jest od tego wyjątkiem; jest ono przypuszczalnie słusznym

sądem, mianowicie w przypuszczeniu, że w kolejnėm następstwie zjawisk fizycznych panuje ścisła prawidłowość. Taką teoryą poznania, głosi empiryzm. Przeciwko niéj wystąpił Kant usiłując wskrzesić racyonalizm, lubo w formie ograniczonéj i warunkowéj.

Stanowisko Kanta pod tym względem charakteryzuje to, że z obu przeciwnych teoryi bierze po połowie, które łączy w nową teoryą. Przeciw empiryzmowi Hume'a broni starego dogmatu racyonalistycznego, że poznanie przedmiotów *à priori* jest możliwe; a przeciw racyonalizmowi leibnico-wolffiańskiemu dodaje: ale poznanie owo dotyczy tylko zjawisk rzeczy, nie zaś, jak te rzeczy mają się same w sobie. Połączenie fenomenalizmu z racyonalizmem jest charaterystycznym rysem Kantowskiéj teoryi poznania. Kant porównywał ją z odkryciem Kopernika w astronomii. Dotychczas—mówił—tłómaczono sobie zjawiska niebieskie ruchem ciał niebieskich około ziemi; Kopernik prościéj rzecz tę wyjaśnił, przypuściwszy ruch obserwatora. Podobnie empiryzm wyprowadzał poznanie z oddziaływania rzeczy na umysł. Kant, przeciwnie, wyprowadza poznanie z pojęć naszych, wedle których każe się rzeczom kierować; myślenie—to wytwarza najprzód przedmioty według formy i dlatego właśnie może ono je znać *à priori* i poznanie swoje w ogólnych i koniecznych sądach formułować. Pewniki geometryczne, prawo przyczynowości, są konieczne i ogólnie ważne we wszystkich przedmiotach naszego doświadczenia.

V.

W Dodatku autor rozważa jeszcze problemata etyki, stanowiące część metafizyki. Samą etykę wyłożył Paulsen przed kilkoma laty; sprawozdanie z tego dzieła drukowało w swoim czasie „Ateneum" [1]).

Faktem jest, że człowieka do działania, czynu, skłaniają pobudki (motywy), przybiérające kształt celu, t. j. pewnego dobra, które działacz chce osiągnąć. Powstaje tedy pytanie, jaki to jest najwyższy cel, najwyższe dobro? Hedonizm odpowiada tu, że najwyższém dobrem jest przyjemność (roskosz), do któréj reszta upragnionych rzeczy jest tylko środkiem. Przeciwna teorya, nazywana przez autora energizmem, utrzymuje, że najwyższego dobra nie można upatrywać w podmiotowych uczuciach, lecz w przedmiotowéj treści życia, czyli, innemi słowy, ponieważ życie składa się z pewnych czynności,

---

1) „Ateneum" z r. 1889, II. str. 178.

więc najwyższe dobro będzie zależało na pewnego, określonego rodzaju działaniu, postępowaniu, czynnościach.

Drugim faktem jest sądzenie tak cudzego jak i własnego postępowania, nazywanie go dobrém lub złém. Postępowanie, sposób myślenia pewnego człowieka, budzą w drugim uczucia zadowolenia lub wstrętu; jeżeli te uczucia będą stale się utrzymywały, powstaną afekty, zwane czcią, lub pogardą.

Jeżeli te uczucia będą się odnosiły do nas samych i dawniejszego postępowania nazywamy je żalem i niepokojem sumienia, lub przeciwnie poszanowaniem dla samego siebie i spokojem sumienia. Jeżeli się będą odnosiły do przyszłego, możliwego postępowania, nazywamy je poczuciem obowiązku, poczuciem musu, konieczności. Ta strona naszéj istoty, mocą któréj sami swoje postępowanie i działanie sądzimy, nazywa się sumieniem.

Rodzi się tedy pytanie, skąd ten sąd, który zdaje się być zupełnie niezależnym od tego, czy mająca się wykonać rzecz jest dla mnie korzystną lub szkodliwą — czerpie podstawę do mojego wyrokowania? co jest skalą, którą mierzymy moralną wartość czynu lub sposobu myślenia naszych bliźnich? Na to pytanie dwojaka jest znów odpowiedź: 1) miarą wartości moralnéj jest prawo moralne, które każdy w sobie nosi; w tym razie dobrém nazywamy postępowanie, kierujące się prawem moralném; 2) miarą jest skutek działania, jaki zeń dla dobra tych, których skutek dosięga, wypływa. Taka jest różnica między formalistyczną, a teleologiczną etyką.

Przeciwieństwo między hedonizmem a energizmem stanowi zasadniczą różnicę, dzielącą etyczne systemata filozofów greckich: Arystyp i Epikur stoją z jednéj, Plato, Arysloteles, Stoa z drugiéj strony. W nowożytnéj filozofii chylą się do hedonizmu głównie stronnicy angielskiego empiryzmu i psychologii analitycznéj: Jeremiasz Bentham i Jakób Mill są najkonsekwentniejszymi jego przedstawicielami. Utrzymują oni, że analiza psychologiczna uczy, iż pobudką wszelkiego działania jest bez wyjątku chęć zyskania przyjemności, roskoszy, a uniknienia przykrości, bólu. Największa tedy suma przyjemności, a najmniejsza przykrości jest koniecznym celem woli ludzkiéj. Rozmaite formy energizmu reprezentują: Hobbes, Spinoza, Shaftesbury, Leibnitz, Wolff. Według nich, cel działania naszego możnaby tak sformułować: zachowanie bytu własnego, wolność rozumnego *ja*, harmonijny rozwój wszystkich sił i zdolności, udoskonalenie — takie są formuły energizmu. Etyka ewolucyonistyczna pod tym względem głosi zdanie: pewien typ życia i zaznaczenie go czynnie, jest faktycznym celem życia i wszelkich wysiłków.

Autor sądzi, że słuszność leży po stronie energizmu i tak tego dowodzi: Psychologia analityczna błądzi, mniemając, jakoby wyobrażenie przyjemności *(idea of pleisure)* było zawsze i wszędzie pobudką ludzkiéj woli. Wynika ten błąd z fałszywéj teoryi woli, która każe się jéj (woli) rodzić dopiéro przez doświadczenie uczuć przyjemnych i przykrych. Nie tak się to dzieje, jakoby np. po przyjęciu dopiéro pokarmu, rodziło się uczucie przyjemności, jakoby dopiéro z tego doświadczenia przyjemności rodziło się oczekiwanie, nadzieja, a z oczekiwania powstawał popęd ku owym pożądanym rzeczom skierowany; i nie tak się ma, jakoby dopiéro uczucie przykrości usunięte przez ową przyjemną funkcyę i przez doświadczenie utrwalało popęd. Lecz popęd jest pierwiastkowym objawem istoty, zjawia on się w świadomości nie jako ból, lecz jako odczuwane parcie, jako żądza, chęć czyli przyjemność pewnego działania, a dopiéro potém rodzi się uczucie przyjemności, gdy popęd został zaspokojony, a przykrości, gdy został pohamowany. Gdyby nie było popędu, nie mówilibyśmy o przyjemności i przykrości. A zatém sądzę, że celem, do którego wola zmierza, nie jest największa suma uczuć przyjemnych, lecz normalna działalność, właściwa gatunkowi. Śród ludzi, kierunek działalności wogóle określa treść historycznéj jednoty, z któréj jednostka, niby członek, wyrasta. Z dalszym rozwojem przedmiotowa treść życia staje się świadomą, a typ życia układa się według wyobrażonego ideału: człowiek chce działać, jako wojownik, badacz, święty, jako małżonka i matka, jako siostra miłosierdzia, i w tém widzi cel swojéj woli, który ją pociąga do siebie. Spełnienie tego zamiaru, osiągnienie tego celu rodzi zadowolenie, chybienie zaś niesmak i wewnętrzny niepokój.

Przyjrzyjmy się teraz przeciwieństwu, zachodzącemu między etyką teleologiczną a formalistyczną. Pierwszą przesiąkła filozofia grecka; filozofowie greccy zgadzali się co do tego, że różnica wartości postępowania moralnego zależy od skutków, jakie zeń wypływają. Uczeni greccy układali etykę biorąc za punkt wyjścia najwyższe dobro *(summum bonum)*, a za takie dobro uważali szczęście *(eudaemonia)*.

Etyka chrześciańska inaczéj się zapatruje na dobro i zło; nie ze skutków działania sądzi o moralności lub niemoralności tegoż, lecz pyta, czy działanie jest zgodne z prawem Bożém. Filozofia nowożytna w pierwszéj epoce wraca do etyki teleologicznéj; spotykamy ją u Spinozy i Wolffa, hołdują jéj Shaftesbury i Hume. Dopiéro Kant rozpoczyna reakcyą przeciw moralności eudemonistycznéj na rzecz formalistycznéj.

Etyka formalistyczna nie sądzi o czynach ludzkich według ich skutków, lecz uczy, że czyn sam przez się, bez względu na skutki, może być dobry lub zły; tak np. kłamstwo, oszukaństwo, są same w sobie złe, a znów uczciwość, panowanie nad sobą, dobre. Inaczéj, Kant to nazywa dobrą wolą, to jest, że w każdym czynie trzeba mieć na widoku tę wolę, z jaką działacz postępował. Według niego, wola ta jedynie może być dobrą lub złą w sobie, ona jedna ma wartość absolutną, bez względu na to, co się przez nią na świecie stanie.

Twierdzenie to ma za sobą nieco słuszności. Jakoż, gdy mówimy, że sprawiedliwie postępować, jest rzeczą dobrą, a niesprawiedliwie, złą, bez względu na skutki, sądzimy słusznie; wola, zamiar, nie zaś niepewne skutki decydują w tym razie, w tym jednym wypadku: z téj woli powstał czyn. Ale, czyż nazywalibyśmy sprawiedliwém lub niesprawiedliwém działanie, gdyby zeń nie wynikły żadne skutki, wpływające na los innych ludzi? Oczywiście, nie. Byłażby tedy wartość postępowania zupełnie niezależną od swoich skutków? Czyż i w takim razie niesłuszność będziemy nazywali złą, gdy nie jest szkodliwą, lecz pomocną dla doli tych, których dotyczy? Gdyby kłamstwo mogło pomódz okłamanemu, a kłamcy pozyskać zaufanie, będzież się ono i wtenczas nazywało złém? Możnaż w téj materyi przytoczyć jakiś dowód? Możnaż dowieść, dlaczego lepiéj jest żyć umiarkowanie i roztropnie, aniżeli przeciwnie?

Można; dowód leży choćby w tysiącznych przysłowiach, jak np. że kłamstwo, i niesprawiedliwość, i pycha gubią ludzi i narody, a przeciwnie, sprawiedliwość, umiarkowanie ocalają. Rzeczywiście; twierdzić, że uczynki pociągają za sobą pewne skutki, a następnie przeczyć, że te skutki decydują o moralnéj wartości czynów; utrzymywać, że o téj wartości decyduje tylko intencya, zamiar, wola — jest to krzywdzić pojęcia obyczajowe — według tego, co mówi przysłowie, że dobremi intencyami piekło jest brukowane. Zgadzać się na to, że cnoty podtrzymują życie, a występki je niszczą — a potém twierdzić, iż wartość ich od tego nie zależy, jest oczywistym błędem.

Zadaniem etyki właśnie być powinno przeprowadzenie teleologicznego poglądu i okazanie, że cnoty utrzymują ludzkie duchowe życie, że występki je niszczą. Prawdomówność jest dobrą, a kradzież złą w każdéj formie; albowiem kradzież szkodzi najprzód okradzionemu, a potém złodziejowi, gdyż pozbawia go zaufania, pociechy, jaką praca daje, nareszcie złodziéj podważa fundamenta własności, a więc i chęć dojścia do własności; gdzie zaś brak bezpieczeństwa własności, ludzie ubożeją; własność zaś jest pierwszym warunkiem wszelkiéj wyższéj kultury wśród ludzi. Tak samo prawdomówność jest dobrą, kłamstwo

złém dlatego, że zakłuca stosunki ludzkie, wprowadza w błąd okłamanego, podkopuje między ludźmi zaufanie; tymczasem zaufanie jest głównym warunkiem spólnego pożycia, bez którego znów trudno sobie wyobrazić życia prawdziwie ludzkiego i t. d. Zawsze i wszędzie: pewne sposoby postępowania są dobre, o ile dążą do zachowania dóbr życia, inne złe i naganne dlatego, że podrywają warunki zdrowego, pięknego i duchowo bogatego życia ludzkiego. O ile zatém pomyślność odczuwamy z zadowoleniem, a niepowodzenie ze smutkiem, można téż powiedziéć, że cnota jest drogą do szczęścia, a występek do nieszczęścia. Według Arystotelesa, zadowolenie, przyjemność idzie po dokonanym czynie, jako niezamierzone, poboczne następstwo. Pogląd ten na moralność czynów wymaga pewnych objeśnień. Zamieszanie co do tego punktu panujące, zdaje się stąd pochodzić, że moraliści nie odróżniają dwojakiego sądu, jaki każdy czyn wywołuje: sąd podmiotowy o moralnéj wartości woli i sąd przedmiotowy o wartości uczynku. Sąd pierwszy ma na uwadze przedewszystkiém wolę, zamiar działacza i mówi, że czyn jest dobry, gdy płynie z dobréj, t. j. względami na obowiązek kierowanéj, woli, a co do jego następstw, mogą sobie być takie lub owakie. Otóż, etyka ma do czynienia nietylko z takim poglądem; musi ona wprawdzie utrzymywać z Kantem, że moralna wartość człowieka nie zależy od tego, co on w świecie zdziałał; lecz od tego, o ile ściśle wykonywał to, co za swój obowiązek uważał. Ale właściwe zadanie etyki jest inne, mianowicie, winna ona wyznaczyć przedmiotową wartość uczynków i postępowania. Ta zaś wartość ich nic nie zawisła od intencyi, od sposobu myślenia. Kto kradnie skóry na bóty dla ubogich, ma poczciwą intencyą dopomożenia ubogim, ma dobrą wolę, ale równocześnie czyni źle, albowiem kradzież, bez względu na dobrą chęć złodzieja, podrywa własność. Zresztą w gruncie rzeczy i ta teorya, która dobrą wolą działacza mierzy moralność jego czynów, powoduje się tém samém, co i teleologiczna: jakoż, dobra wola nazywa się dobrą dlatego, że dla czegoś, albo dla kogoś jest dobra, to jest, że zmierza do tego, co ma przedmiotową wartość, co oddziaływa na życie ludzkie w kierunku udoskonalenia, ulepszenia tegoż.

Daléj, trzeba uważyć, że skala, którą etyka mierzy wartość postępowania, nie jest i nie może być oraz pobudką, motywem czynów. Rzeczywistemi motywami działania są: skłonności, przyzwyczajenia, nałogi, zasady, pewne konkretne cele, wyobrażenia o tém, co się uważa za obowiązek, co przystoi. Powoływanie się na to, że pobudką działania było dobro rodu ludzkiego i tym podobne ogólniki, jest łudzeniem siebie i innych: ogólnik taki nie może się stać motywem działania. Nie może zaś dlatego, że owego dobra rodu ludzkiego niepodo-

bna sobie konkretnie wyobrazić, a następnie i dlatego, że niepodobna obliczyć, jak skutki działania wpłyną na ów cel dostateczny, na owo dobro całéj ludzkości. Skutki każdego czynu ciągną się w nieskończoność, trudno obliczyć, co sprawią dla działacza i jego otoczenia, których dotykają bezpośrednio — a cóż dopiéro wpływ ich pośredni! Gdyby człowiek musiał i mógł przed działaniem obliczyć wszystkie następstwa tegoż, nigdyby się nie zdecydował na uczynek.

Stąd pochodzi, że proces odbywa się skróconą drogą: czyny ludzkie są zwykle automatycznemi reakcyami, które bez długich zachodów, dzięki okolicznościom, powodowi jakiemuś, bywają dokonywane, albo inaczéj wyzwalane, niby jakaś ukryta siła. Co się tyczy formy reakcyi, wzmiankowane tylko co momenta (skłonność, nałogi i t. p.) są decydujące; stąd wielkie znaczenie w obyczajowém wychowaniu ćwiczenia, to jest nałogowego niejako czynienia dobrze, czyli, jak autor nazywa, wytworzenie dobrych automatyzmów.

Istoty zbiorowe, jakiemi są narody, a których członkami są jednostki, okazują pod tym względem pewną immanentną celowość, przyswajając sobie automatyczne formy reakcyi, zwane obyczajami. Przez obyczaje rozumiemy tu obowiązujące członków narodu sposoby postępowania, oraz reguły prawne. Tym sposobem jednostki są uwolnione od niewykonalnego zadania, to jest, od obrachowywania skutków. Czynią więc i postępują tak, jak obyczaj i prawo wymagają, wolne od powątpiewań i obrachowań przed uczynkami; działają tak, jak uczciwy, „moralny" człowiek w podobném położeniu musiałby działać. Jak zwierzęta, dzięki instynktowi, nie potrzebują obrachowywać, co dla nich i dla utrzymania gatunku jest pożyteczném; tak i ludzie, dzięki obyczajom. Jak w życiu zwierząt odziedziczone, automatyczne formy reakcyi kierują niemi ku temu, co konieczne dla utrzymania jednostek i gatunku; tak śród ludzi na podstawie odziedziczonych instynktów i przez wychowanie przyswojonych obyczajów dzieje się to samo; jak tam, tak i tutaj z początku brak jest poznania, jaki cel ma działanie wedle obyczaju.

Tak zwany dziki człowiek zna swój obyczaj i zwyczaj i to go różni od zwierzęcia, które o swoim instynkcie nie wie; ale i człowiek dziki nie pojmuje, co we zwyczaju i obyczaju leży, dlaczego, po co go zachowuje; tkwi on w nim, jako przedmiotowy, nie zaś podmiotowy rozum. Dopiéro zastanowienie, rozwaga, prowadzą go do rozumienia teleologicznéj konieczności obyczaju.

Z tego poznać naturę sumienia. Sumienie w zarodzie swoim jest znaniem obyczaju; jednostka przez obyczaj wié, jak się powinna zachowywać względem innych ludzi; potém przychodzi wychowanie,

opinia, prawo, kara, przykazanie religijne, które wpajają człowiekowi jak ma postępować, jak powinien działać. To powinien, uważa on za normę bezwarunkowo obowiązującą; ono to na niego napiéra, ostrzega, karci. Powinieneś, musisz, nie są to głosy obce woli, która sama chce, ażeby norma była zachowana, ażeby obyczaj był uszanowany, ażeby ogół, historyczna istota, do któréj należy, był ocalony i żywy. Zdarza się, lubo rzadko, że między tém, cośmy powinni, a chwilową żądzą, powstaje rozterk; ale téż i sumienie wtenczas najmocniéj woła.

Na wyższym stopniu rozwoju sumienie przyjmuje nową formę, staje się, odpowiednio do indywidualności duchowego usposobienia, ideałem życia, który jednostkę czasami popycha do walki z obyczajem. Widziano to we wszystkich wielkich reformach; jest to najcięższy tragiczny konflikt, gdy człowiek, walcząc za formę obyczaju, wyższą od pospolitéj i obowiązującéj, doznaje potępienia.

Na zakończenie kilka uwag od piszącego. Książka Paulsena jest właściwie wykładem metafizyki, ale nie dawnéj, lecz nowéj. Dawna rozprawiała o przestrzeni, czasie, ruchu i t. p. przedmiotach, a wszystko *in abstracto;* nowa, albo, lepiéj i ściśléj mówiąc, metafizyka Paulsena rozprawia o zagadnieniach, czyli problematach takich, jak pytania: co jest rzeczywistość i jak tę rzeczywistość mamy sobie wyobrażać; jaka jest istota poznania i jakie jego źródła; nareszcie, jaką skalą mamy mierzyć moralną wartość czynów i usposobień ludzkich? Nie są to wszystkie, ale tylko główne problemata metafizyki. Rozwiązania ich, tak, jak i dawnych, są rozmaite: czy zadawalające i ostateczne? Autor przytacza je, krytykuje i przechyla się do panteistycznego poglądu na świat.

Tu możnaby się zastanowić nad pytaniem, czy metafizyka wogóle ma racyę bytu i powinna miéć dział swój śród nauk, traktujących o rzeczywistości, czy, przeciwnie, trzebaby ją z inwentarza naukowego usunąć? Niektórzy, zwłaszcza uczeni, lubiący świat konkretny i ścisłość poznania, radziby nie widziéć metafizyki. Mówią oni, że ani chemia, ani fizyka nie potrzebują pomocy metafizyki; że im wystarcza obserwacya, rachunek i eksperyment; te zaś bałamutne, ogólne poglądy na świat nietylko dla nauki nie są potrzebne, ale nawet szkodliwe, bo odwodzą umysł ludzki od badania rzeczywistości, a mrzonkami i urojeniami swojemi tamują postęp wiedzy realnéj. Co komu z tego przyjdzie, gdy jeden będzie uważał całą, wszystką materyę za ożywioną, a drugi za martwą, złożoną z atomów? Mogą to być rojenia poetyczne, ale to nie jest i nie bę-

dzie nigdy nauką. Zatém precz z metafizyką, jakiegokolwiek rodzaju, starą czy nową.

Obrońcy metafizyki mówią znowu, że gdy metafizykę usuniecie, filozofia straci grunt pod nogami, bo i tak już jéj go dużo usunięto; powtóre, nie dokaże tego nigdy nauka ścisła, by mogła zaspokoić wrodzone człowiekowi pragnienie poznania początków rzeczy, które tylko metafizyka filozoficzna lub religijna zaspakaja. Zdaje nam się, że ci, co tak rozumują, mają słuszność; tylko o jedném należy pamiętać, by tym marzeniom nie przypisywać wartości naukowéj i pamiętać, że to są obrazy poetyczne prozą często nudną i suchą pisane, nie zaś wiadomości użyteczne i pewne. Trzeba w istocie coś zostawić wyobraźni i uczuciu: one to stworzyły metafizykę i one jéj potrzebują i potrzebować będą, póki natura człowieka taką, jaką jest, zostanie.

Jakkolwiek Paulsen nie zrzeka się swojego zdania, zasadnicze jego poglądy oparte są na filozofii Spinozy i Schopenhauera. Innemi słowy, jest on panteistą i obszernie dowodzi, że najdzielniejsze umysły po wszystkie czasy podzielały taki pogląd na świat. Czy podzielały, o to sporu wieść nie chcemy, ale to pewna, że w ostatnich czasach, gdy zaczęto daléj prząść nić filozoficzną i przędzarzom zabrakło materyału, wrócili do starszych, dawniejszych pomysłów, zwłaszcza do Spinozy. Kult dla Jordana Bruno w Rzymie, a Spinozy w Holandyi i wogóle śród uczonych, świadczy o odżyciu panteizmu [1]). Paulsen od Spinozy wziął pojęcie substancyi jedynéj o dwóch twarzach (rozciągłość i myśl), a od Schopenhauera pojęcie woli, która wszystko do bytu powołuje i sprawia, że wszystko żyć pragnie. Zwrot do Spinozy będący charakterystyczném znamieniem spółczesnéj metafizyki, wywołany został monistycznym na świat poglądem dzisiejszéj nauki.

Sygma.



[1]) J. Brunonowi wzniesiono pomnik w Rzymie r. 1889 na Campo dei Fiori, tam, gdzie go w r. 1600 spalono; Spinozie zaś również pomnik w Hadze w r. 1880

EWOLUCYA CZŁOWIEKA.

(Henry Drummond: „The Ascent of Man“. London. Hodder & Stoughton, 1894 in 8-o, str. 444).

Pojednanie wiary z wiedzą stanęło przed umysłem ludzkim, jako najwyższe z zagadnień i jako najtrudniejsze zarazem. Biédzimy się nad niém i chodzimy jak w deptaku, ustawicznie po tym samym torze. Wiedza nie przestaje swoich dociekań, i każdy rok, każdy dzień przynosi nam nowe zdobycze, odsłania nam jeszcze jeden rąbek téj nieprzejrzanéj zasłony, co kryje początek wszechrzeczy i ich cel końcowy. Mimo tych odkryć, których wielkość oszołomiła nas niejednokrotnie, nie ulega wątpieniu, że jesteśmy zawsze jeszcze przyparci do znaku zapytania, że i dziś nic stanowczego nie wiemy, i że nigdy nie będziemy w posiadaniu bezwzględnéj pewności co do ostatecznego źródła bytu wszechświata. Od czasu do czasu genialna hypoteza, poparta całym rynsztunkiem już zdobytych prawd i pewników, usiłuje rozwidnić nam ciemnie i przynieść słowo sfinksowéj zagadki. Niebawem jednak pokazują się braki i szczerby, niewystarczające dowody, i zbyt pośpiesznie zbudowana synteza chwiać się zaczyna i w nicość się rozpada, zostawiając pole otworem dla nowéj. Nie dziwota tedy, że przy téj potrzebie pewności i opiérania się na niezłomnych podwalinach, potrzebie, tak głęboko zakorzenionéj w naturze ludzkiéj, religia nie przestaje przynosić nam swojéj doktryny. Tutaj przynajmniéj pa-

nuje niezachwiana pewność i żadne pytanie nie zostaje bez odpowiedzi dogmatycznéj. Stworzenie świata przez osobistego Boga, nieustanne jego rządzenie i kierowanie takowym, interwencya cudów i t. d., cała geneza biblijna wystarczała przez szereg wieków umysłom ludzkim. Żywa wiara, zaszczepiona w sercach, tradycyjnie przekazywana przez jedne pokolenia drugim, poparta etyką religijną, która ukształtowała społeczność ludzką w niewzruszone formy, była potęgą, z którą niezależna wiedza walczyć mogła jedynie z trudnością, ale któréj zwalczyć ostatecznie nie potrafi.

A niemoc wiedzy, biorącéj się z wiarą w zapasy, pochodzi z różnicy stanowiska, na jakiém każda z nich stoi. Wiara jest niezłomną, niezachwianą, ogłasza, że jest w posiadaniu całkowitéj prawdy, którą ma sobie objawioną, i o żadne nowe postępy się nie troszczy. Wiedza przeciwnie idzie krokiem niepewnym, puszcza się na wąskie ściéżyny, czyni wyprawy w nieznane dotąd sfery, gromadzi nieprzebrane mnóstwo drobiazgów, i o tyle tylko jest płodną w następstwa, o ile odważa się być bezstronną, pozbawioną apryorycznéj tezy. Ponieważ zdobycze jéj są powolne i ponieważ nie jest dotąd w stanie, jak sama przyznaje, dać zaspakajającego rozwiązania żadnéj początkowéj kwestyi, religia ma prawo wykazywać jéj wątłość i lekceważyć jéj niemowlęctwo. Wiedza może się jedynie odwoływać do oddalonéj przyszłości, a choć obsacza cytadelę wiary, to wziąć jéj szturmem nie ma sposobu. Nawet, gdyby roztworzyła ostatnie tajniki materyi, pozostawałoby jéj jeszcze wytłómaczyć ducha, co ją ożywia, a ten owładnięty został przez wiarę.

Niepodobna tedy zamknąć oczu na ten fakt, że walka pomiędzy wiedzą a wiarą istnieje i istniéć będzie, jako nieodzowna konieczność życia. Są tacy, co już do niéj przywykli, co się z nią obyli i którzy chętnie jéj dobre strony wysławiają. Miała ona nauczyć religię tolerancyi dla podkopujących ją zasad, przygotować w niéj saméj ewolucye postępowe i ześrodkowanie swéj działalności na jéj własném podwórku. Z drugiéj strony nauczyła wiedzę, i nie ma prawa traktować wiary jako podrzędnego czynnika, bo jéj rdzeń leży w jądrze natury człowieczéj i przekonała, że wykluczanie duchowego pierwiastku i Boga z systematu świata jest, co najmniéj, nienaukowém. Ale obok tych korzystnych następstw ściérania się wiedzy z wiarą, są i o wiele liczniejsze, o wiele dotkliwsze, strony ujemne. Nie ma wątpienia, że sceptycyzm naukowy, przenikając coraz głębsze warstwy społeczne i od umysłów najwykształceńszych przechodząc do pospolitych, podkopuje jednocześnie wiele prawd moralnych, na których ustrój towarzyski spoczywał. Odrzucając wiarę w stworzenie świata i w począ-

tek człowieka, takie, jak to nauczało pismo święte, niejeden umysł odrzuca jednocześnie etykę religijną, która nim przedtém kierowała i zastępuje ją samowolą, często rozpasaną. Ale zostawiając nawet takie wybryki na stronie, ten stale istniejący spór, ta wojna domowa pomiędzy rozumem a uczuciem, głową a sercem, boleśnie dotyka i rani tych, którzy marzą o niezakłóconéj harmonii wśród świata i pomiędzy ludźmi.

Ubolewanie nad rozterką pomiędzy wiarą a wiedzą doszło do istotnie gorączkowego paroksyzmu, szczególniéj od chwili, gdy sformułowane zostały teorye Darwina. Uprzednio rozproszone poszukiwania i osiągnięte rezultaty, które ignorować było można, zastąpiono przez syntezę, która narobiła zbyt wiele hałasu, aby ją milczkiem zbyć się dało: trzeba było zająć stanowisko za nią, albo przeciwko niéj. Nauka przyjęła teoryę Darwina, jako błysk nowéj zorzy i zapisała datę 1859 roku, gdy książka *Origin of Species* została ogłoszona, za równoznaczną z odkryciami Galileusza, Kopernika, Newtona. W doktrynie ewolucyi, stopniowego rozwoju, naturalnego doboru, znaleziony został nie tyle jeszcze systemat organizmu świata, jak raczéj metoda do czynienia coraz nowych, nieprzerwanych okryć i zdobyczy naukowych. Naraz ten chaos przyrody, który nas oślepiał i strwożył swym ogromem nieprzejrzanym, stał się zrozumiałym, wymierzalnym. Jak się działo przy każdém wielkiém odkryciu, wstrząsającém istniejący porządek rzeczy, tam, gdzie mistrz ostrożnie wypowiadał przypuszczenie i dawał wskazówkę, rzesza uczniów zuchwale przeistoczyła ją w pewniki, tak stało się téż i z teoryą Darwina. Posunięto ją do krańcowych granic, wyciągnięto z niéj wnioski lekkomyślne, przedwczesne. Ewolucye pierwotniaków, odżywianie się i dobór płciowy organizmów elementarnych pozostawiono specyalnym badaczom, a za to każdy, powołany i niepowołany, zaprzątał się i rozstrzygał kwestyę bardziéj palącą — stworzenia człowieka. Na wiadomość, że mamy stać najbliżéj małpy na drabinie biologicznéj rozległ się okrzyk zgrozy, niezrozumiały dla poważniejszych umysłów, ale ogłuszający; teorya walki o życie i utrzymywania się najzdolniejszych, przeniesiona ze świata zwierzęcego do organizmów społecznych, pokazała się nietylko okrutną, ale pozbawioną wszelkiéj moralnéj sankcyi. Sumienie ludzkie protestować przeciw niéj nie przestawało. I stało się, że kiedy cały świat naukowy co raz większe znaczenie nadawał teoryom Darwina, kiedy na nich budowały się systematy filozoficznego poglądu na świat, kiedy idea ewolucyi weszła w krew i soki całéj wykształconéj ludzkości, zasada ta obalana, napastowana, wydrwiwana była przez obrońców i przedstawicieli obozu religijnego. Gdyby, pod naciskiem téj opozycyi nie-

przebłaganéj, istotnie system ewolucyi zdruzgotany został i zbankrutował naukowo, to byłoby to dało możność, jeżeli nie na zawsze, to na długo, traktować wiedzę, podług słynnéj definicyi Wincentego z Beauvais, jako służebnicę teologii: *scientia ancilla theologiae.* Ale jak powiedzianém było właśnie, rzeczy inny wzięły obrót i po upłynionych kilku dziesiątkach lat, nauka Darwina stoi z podniesioną przyłbicą i ciągle nowe zdobycze i odkrycia stanowisko jéj wzmacniają.

Było tedy rzeczą naturalną, konieczną nieledwie, ażeby pomiędzy obu obozami szukać zaczęto *modus vivendi.* Nieraz już, jak to dowodnie pokazuje historya umysłowego postępu, kościół, po uporczywéj walce z teoryami naukowemi, sprzeciwiającemi się jego teodycei, uznawał je za rzecz podrzędnéj wagi i przez odpowiednią egzegezę wcielał je nawet do swego organizmu, jako części składowe. Czy to samo stanie się dziś lub jutro w stosunku wiary religijnéj do darwinizmu, byłoby zuchwalstwem utrzymywać; nawet, gdyby taka zmiana frontu nastąpiła i gdyby powaga kościoła stwierdziła jednoznaczność stopniowéj i powolnéj ewolucyi wszechświata z genezą biblijną, to jest oczywistém, że potrzeba na to będzie dziesiątków lat, może setek i potrzeba będzie, ażeby ta doktryna ewolucyjna, dopiéro naszkicowana, stała się niezbitym pewnikiem, nie przymierzając jak system słoneczny. Nikt nie ma prawa spodziéwać się, a tém mniéj domagać, ażeby kościół obecnie już skompromitował swą nieomylność taką niewczesną manifestacyą.

Lecz jeżeli ani wiedza, o sankcyę wiary nie dbająca, ani wiara, co szybuje wysoko po nad znikomym rozumem ludzkich mędrców, pierwsza ręki pojednawczéj nie wyciąga i wyciągać nie potrzebuje, to, zapominać nie wolno, iż istnieje mnóstwo umysłów połowicznych, które postawiły sobie, jako podniosłe zadanie życiowéj działalności pogodzić te dwa sprzeczne światy. Stojąc na granicznéj linii pomiędzy wiarą religijną, któréj ludzkość swoje uszlachetnienie zawdzięcza i która nie przestała jeszcze wywiérać na nich swego magicznego czaru, a wiedzą, kroczącą olbrzymiemi kroki po coraz nowe zdobycze, zabezpieczającą światu byt pomyślniejszy, pragną, ażeby te dwa prądy, biegnące, jeżeli nie w przeciwnych od siebie kierunkach, to przynajmniéj jeden od drugiego niezależnie, zlały się w jedno wielkie koryto. Tylko w zespoleniu wiedzy z wiarą, widzą oni możliwość normalnego postępu ludzkości i rękojmię jego urzeczywistnienia.

Nie naszą jest rzeczą potępiać tych pojednawczych działaczy. Położenie ich jest niezaprzeczenie najeżone trudnościami. Podejrzéwają ich z téj i owéj strony, tu o brak istotnie żywéj wiary, tam o dyletantyzm naukowy. Potrzeba głębokiego przeświadczenia o obowiąz-

kowości takiego stanowiska, ażeby ich zapał nie zagasł. Tylko ci, co są fanatykami białymi lub czerwonymi, nie uszanują ich usiłowań. Nawet gdyby się o ich radykalnéj jałowości i bezskuteczności nie powątpiewało, jeszcze czułoby się do nich sympatyę ze względu na rozjemczą rolę, jakiéj się podjęli, na pokój, jaki dać pragną rozdrażnionym umysłom, zatrwożonym sercom. W każdym razie pracują oni dla przyszłości i wrzucone przez nich ziarno nie zmarnuje się bezpłodnie.

Jest oczywistém, iż Anglia stała się najpodatniejszym do téj siejby gruntem i że więcéj tam i żywiéj, niż gdzieindziéj, biédzą się nad pogodzeniem objawienia z ewolucyą. Nietylko że Darwin był Anglikiem, ale wszyscy najznakomitsi przedstawiciele współczesnéj wiedzy angielskiéj, Lyell, Lubbock, Huxley, Proctor, Romanes, Galton są, z mniejszém lub większém zastrzeżeniem, darwinistami i stanowczymi wyznawcami doktryny ewolucyjnéj. Nie należy zapominać o Herbercie Spencerze i jego filozofii, dla któréj ewolucya jest kością paciérzową. Jeżeli zasada ta zatryumfuje ostatecznie w świecie wiedzy i z gruntu ją odnowi, będzie to dla społeczności brytańskiéj jednym jeszcze tytułem do przodownictwa umysłowego. Ale kiedy wiedza angielska solidaryzuje się coraz jawniéj z ewolucyonizmem, społeczność, naród, nietylko nie zerwał z wiarą religijną, lecz jest nią głęboko i nawskroś przesiąknięty. Teologiczne formułki i kazuistyka scholastyczna straciły wprawdzie dawniejszą swą żywotność, ale duch ewangeliczny, krzewiony przez religię, etyka chrześciańska manifestują się na każdym kroku, w tysiącznych postaciach i trzebaby istotnie z umysłu nie widziéć i nie chciéć widziéć spirytualistycznéj atmosfery, którą oddycha społeczeństwo angielskie, ażeby nie zdać sobie sprawy, iż dla wielu, dla mnóstwa czystych a szlachetnych serc, zagładzenie zasadniczych różnic pomiędzy wiarą a wiedzą posiada tragiczny nieledwie interes i doniosłością swoją wszystkie inne kwestye przeważa.

Dlatego téż było tam zawsze wiele, a w ostatnich czasach więcéj, niż przed tryumfem darwinizmu w nauce, prób i usiłowań znalezienia pomiędzy temi dwoma odrębnemi światami stycznych punktów. Biorąc na uwagę ścisły związek, jaki istnieje po dziś dzień w Wielkiéj Brytanii pomiędzy duchowieństwem a uniwersytetami i szerzoną przez te ogniska cywilizacyjne wiedzą, można było być z góry przygotowanym, że z szeregów duchowieństwa angielskiego, szczycącego się posiadaniem i czystéj wiary i posuniętéj naprzód nauki, wyjdzie cały szereg protagonistów téj idei. Rezultat przewyższył nawet oczekiwania i powstała cała szkoła pisarzy uszeregowanych około tego sztan-

daru. Na kazalnicach, na meetingach i zgromadzeniach kościelnych, w niezliczonéj liczbie broszur, pamfletów, odezw i nawet w pewnéj liczbie książek *ad hoc* o naukowym rynsztunku, ujawniła się energiczna żywotność doktryny identyfikującéj wiarę z wiedzą. Zadziwiającém jest jednak, że z całéj téj agitacyi nic dotąd nie wynikło; kampania od ćwierci wieku trwająca skończyła się całkowitém *fiasco.* Nie warto nawet podnosić imion tych pisarzy, które nie zaważą wiele na szali nauki; wczorajsi zapaśnicy zapomnieni już zostali dzisiaj i jak nieuchwytne cienie w mgle się roztopili.

Jeden tylko wyjątek zacytować się daje. Jest nim p. Henryk Drummond, autor dzieła *Natural Law in the spiritual world,* które ukazało się w druku w 1883 roku i które wywołało zgiełk ogromny. Ponieważ o inném świéżo wydaném dziele tego samego pisarza zamierzamy tutaj mówić szczegółowo, nie należy tego dawniejszego pomijać, gdyż w jego świetle rozpatrywać je należy.

P. Henryk Drummond jest Szkotem z urodzenia i nie zadaje kłamu charakterystycznym rysom swéj ściślejszéj ojczyzny: entuzyazm religijny, podniosły nastrój moralny idzie u niego w parze z zamiłowaniem i zdolnościami do gruntownéj wiedzy. Jest w pełni umysłowego rozwoju, licząc zaledwie 44-ty rok życia. Po skończeniu studyów teologicznych, które prowadził jednocześnie z przyrodniczemi w uniwersytecie edynburskim, prowadził daléj pierwsze w Tubindze, a dopełniał drugie w geologicznych i botanicznych wyprawach po Ameryce i środkowéj Afryce. Od lat kilkunastu jest profesorem nauk przyrodniczych w kolegium wolnego kościoła w Glasgowie, a sława jego tak jest ustalona, że uniwersytety w australskiém Melbourne i nawet japońskiém Tokio zapraszały go na semestralne odczyty. Jednocześnie ze swemi naukowemi wykładami, p. Drummond miewa po całéj Szkocyi i Anglii odczyty etyczno-religijne. Można sobie zrobić pojęcie o wrażeniu, jakie wywierają one przez ten jeden szczegół, że ogłaszane w broszurach niektóre z tych pojedyńczych odczytów, rodzaj świeckich kazań, jak *The greatest thing in the world,* albo *Pax vobiscum,* rozeszły się nie mniéj jak w pół milionie egzemplarzy.

Światu naukowemu dał się zaś poznać przez wyżéj wzmiankowane dzieło „Prawo przyrodzone w świecie duchowym”. I ono rozeszło się w przeszło 100,000 egzemplarzy, zostało przetłómaczone na obce języki, i wszczęła się około niego żywa a do dziś dnia, pomimo upłynionych lat jedénastu, nie przebrzmiała jeszcze polemika. Zacofani i w ciasnym, ortoksalnym dogmatyzmie zasklepieni teologowie rzucili się nań z tą zaciekłością jadowitą, jaka odznaczać się zwykła w polemikach teoretycznych orędowników miłosierdzia chrześcijań-

skiego, i wyrzucali mu nie tylko kacerstwo, ale nawet zdradę judaszową. Tuzinami, setkami, sypały się nań pociski. Chociaż niebrakło mu obrońców w postępowéj grupie anglikańskiego duchowieństwa, więcéj sympatyi znalazł on po drugiéj stronie oceanu, u Amerykanów i Australczyków. W obozie naukowym nie traktowano go także zbyt pobłażliwie. Poważni pisarze, jak np. Samuel Laing, nie stawiali go na tym samym poziomie, co pierwszego lepszego sentymentalnego pastora, rozprawiającego w kwestyach powierzchownie tylko znanych i oddawali hołd jego gruntownemu wykształceniu naukowemu; ale na tezę, w któréj obronie stawał, na filozoficzną jego doktrynę zgodzić się nie mogli. Zasadniczą jego myślą było, że te same prawa przyrody, które przemagają w świecie organicznym i nieorganicznym, rozciągają się także, a to bez najmniejszéj przerwy w ciągłości, bez żadnéj zmiany pod względem swego charakteru—do świata duchowego i że prawa te, przez samo swe istnienie przynoszą pozytywne i naukowe dowody dogmatów religijnych. Nie analogie, ale całkowita identyczność istnieć ma, podług niego, pomiędzy prawami obowiązującemi w świecie materyi i w świecie ducha. Sympatye, jakie okazywał do ewolucyonizmu, musiały oburzyć teologów prawowiernych, skoro autor oczekiwał od niego oczyszczenia religii z ciemni i wątpliwości; ale jednocześnie nie można dopatrzéć się zbytniéj surowości, z jaką przedstawiciele wiedzy traktowali poglądy p. Drummonda. W odrodzeniu i zmartwychwstaniu człowieka, w których nie widział on większego cudu, jak w różnicach pomiędzy człowiekiem dzikim, wyszłym z rąk natury, a tym, jaki się wytworzył przez wieki życia uduchownionego; podług jego teoryi o grzechu i upadku człowieka ma on być tém samém, czém jest zwyrodnienie typów roślinnych i zwierzęcych na każdym kroku udowodniane w naturze. Tego rodzaju analogie, widocznie naciągane, nieraz dziwaczne, nie mogły rościć żadnéj pretensyi do téj niezłomnéj gruntowności, jaką sam zauważył i uznał w prawach przyrody. Stawiać w chwili obecnéj syntezę rozwoju praw ducha, gdy nie wiemy czém jest duch; gdy jest dla nas niedocieczoną jeszcze psychiczną zagadką u jednostki, gdy stawiamy dopiéro pierwsze kroki elementarne do rozpoznania instynktów, skłonności i rozwoju jego; gdy nie mamy jeszcze ani jednego źdźbła, najmniejszego światełka, któreby pozwalało zbadać istotę zbiorowego ducha ożywiającego świat przyrody; gdy dla naukowego umysłu przyczyna i celowość bytu powszechnego jest zagadnieniem, z którém mierzyć się nie ma żadnego zamiaru, uznając brak wszelkich danych do tego niezbędnych,—stawiać teraz już teoryę o prawach rządzących światem ducha jest mniéj lub więcéj interesującą gimnastykę umysłową, ale zaprawdę, niczém wię-

céj. Nie można potępiać p. Drummonda, iż ze stanowiska naukowego zadania swego nie dopiął: nie było ono do dopięcia. W dosadnéj metaforze naszéj nazywamy to porwać się z motyką na słońce. Jeżeli nie wątpimy o istnieniu świata nieorganicznego i świata organicznego, to nauka zaczyna dopiéro rozbiérać je i rozeznawać istniejące pomiędzy niemi związki i stopnie przechodowe. Myśliciele ze szkoły p. Drummonda idą daléj, twierdząc, że istnieje jeszcze świat trzeci, świat czystego ducha. Jestto hypoteza mająca wiele argumentów za sobą, wiele przeciwko sobie, ale w każdym razie nie więcéj jak hypoteza. Jest rzeczą tych, którzy hypotezę tę biorą za podstawę życia i rozumowania, identyfikować cały ten świat duchowy z religią i jéj dogmatami, ale nie mogą wymagać dla wniosków stąd wysnutych téj saméj powagi i tego samego znaczenia, jakie posiadają prawa przyrody dotąd odkryte i niezłomnie stwierdzone.

Nie owijając prawdy w bawełnę, czujemy się tedy zmuszeni przyznać, że wiedza, przez organ swych uprawnionych przedstawicieli, potępiła nieodwołalnie pracę p. Drummonda i uznała ją za pozbawioną rzetelnéj wartości. Traktowano z szacunkiem jego naukę, wyrażano się z najżywszą sympatyą dla jego szlachetnych tendencyi, ale przestano spodziéwać się, żeby zdołał znaleść owe ogniwo łączące świat dotykalny, widomy, z tym, który po za jego sferą przeczuwać się daje, a wyobraźni i sercu naszemu się uśmiécha. Upłynęło odtąd lat jedénaście, p. Drummond pracował wiele, badał świat przyrody, odbył nową podróż po zwrotnikowéj Afryce i opisał ją w książce, która natychmiast znalazła szerokie koło czytelników. i ciągle jeszcze zdawać się mogło, że nie powróci do owego tematu, który nie okazał się dlań szczęśliwym. Stało się jednak inaczéj. Nie może się oprzéć pokusie wprowadzenia do materyalnego świata pierwiastku spirytualistycznego, czemu, jak wiadomo, tylko ograniczone i sfanatyzowane umysły *à priori* przeczyć lubią, i jak dawniéj, tak i teraz usiłuje przeniknąć doktryną ewolucyonizmu zasadę etyczno-religijną. Ale jeżeli pomiędzy dawniejszém jego dziełem, a obecnie ogłoszoném „Wzniesieniem się człowieka" *(Ascent of man)* jest tożsamość tendencyi, czego mu ganić nie można i co w każdym razie za szczerością jego przekonań przemawia — to istnieje wszelako wielka różnica co do zakreślonego sobie pola dociekań. O ile dawniejsze było nieograniczone czasem i przestrzenią, o ile poruszało wszystkie kwestye wszechbytu i jako takie nie mogło dać się sprowadzić do tego ziarnka płodnego, które leżyć winno na dnie każdego, istotnie naukowego badania, o tyle obecnie ogranicza się do rozebrania jednéj tylko szczegółowéj kwestyi: stanowiska człowieka w pośród przyrody. — Ponieważ jestto właśnie

najważniejsza, najbliżéj zajmująca nas sprawa, ponieważ specyalne wykształcenie p. Drummonda, jako przyrodoznawcy, upoważnia go do zabrania w niéj głosu, ponieważ dla przeciętnéj wykształconéj publiczności istniało pomiędzy zasadą ewolucyi a światem moralnym jeżeli nie przeciwieństwo, to przynajmniéj niepokojący brak ciągłości, zatém praca jego przychodzi w porę i na bliski zasługuje rozbiór.

Z przedmowy autora, w któréj oświadcza, że obiéra ewolucyę sformułowaną przez Darwina za podstawę i że zamierza streścić zapatrywanie nowoczesnéj wiedzy na powstanie człowieka, cały plan i granice, jakie sobie sam zakreślił, można już poznać z góry. Nie będzie się zajmował węzłami, jakie łączą człowieka z niższemi gatunkami świata organicznego, ale przeciwnie, chce nadać właściwe znaczenie jego wywyższeniu się, wzniesieniu, wystąpieniu na pierwszy plan. Nie wdając się w argumentacyę i polemikę, chce po prostu opowiedzieć historyę pierwocin ludzkich, których sceną jest puszcza, a datą brzask rozwoju. Zostawiając dalszym badaniom wytwarzanie się społecznych związków i organizmów, tutaj przedsiębierze po prostu wytworzenie się człowieka indywidualnego. Obietnica taka już najwyszukańsze wymagania zaspokoić będzie w stanie, z warunkiem naturalnie, ażeby się autor z niéj wywiązał.

W obszernym wstępie, obejmującym prawie czwartą część całéj pracy, p. Drummond roztrząsa ewolucyę jako metodę naukową, wykazuje jéj zalety i braki. Był taki wstęp niezbędnym do tego, żeby zrozumiéć jego osobiste stanowisko względem metody, którą się posługiwać zamierza i do któréj nowe czynniki ma wprowadzić. Nie szuka usprawiedliwień dla nauki za to, iż poważyła się wprowadzić człowieka do biologicznéj drabiny, bo jestto nietylko właściwém, ale poprostu niezbędném. Ewolucya, jest w jego oczach, niczém mniéj jak historyą stworzenia wszechświata, historyą opartą na poważnych danych, dokumentach i świadectwach. Brakuje jeszcze wprawdzie niejednego ogniwa w tym łańcuchu, ale ciągle zmniejsza się i zmniejszać się będzie ilość niawiadomych. Powstawanie i rozradzanie się jednych gatunków z drugich z pewnemi zmianami jest prawem przyrody, którego nikt podawać w wątpliwość nie myśli, nikt z tych, naturalnie do których zdania jakąkolwiek wagę przywiązywać można. Ale chociaż prawo rozwoju biologicznego jest sformułowane, to nie wypada z tego jeszcze, ażeby ostatnie jego źródła były już obecnie dla nas zrozumiałemi. Nie mówiąc już o takich zasadniczych fenomenach, jak doborze płciowym, do którego nie mamy klucza, to źródło wyższego umysłowego i duchowego charakteru człowieka nie jest nam znane

i ewolucya jedynie przybliżone, luźne, niewystarczające daje nam co do tego wskazówki. Tam leży właśnie słaby punkt całego systematu. Wprowadzić człowieka do drabiny biologicznéj byłoby nieposzlakowaném, gdyby go wprowadzono całego, takim jakim jest, nietylko zwierzęciem fizyczném, ale stworzeniem posiadającém społeczne, intelektualne, moralne i religijne siły. Otóż tego nie uczyniono, a zaniedbawszy uwzględnienia i wytłómaczenia tych głównych pierwiastków, wywołano naturalną i zasłużoną protestacyą ze strony tych, którzy właśnie o nie się troszczą.

Jest jednak sposób wyjścia z téj sprzeczności i naukowego jéj załatwienia. Rozwiązanie zagadnienia podaje nam p. Drummond już we wstępie a dziesięć rozdziałów jego książki służyć będą do udowodnienia jego słuszności. Wynalazek jego polega na rozszerzeniu pojęcia walki o życie, na wprowadzeniu do niéj nowego czynnika. Wallace i Darwin, dwaj jednocześni twórcy ewolucyi biologicznéj, wskazali, i słusznie, że życie manifestuje się przez odżywianie się i przez rozród. Gdzieby jednego lub drugiego nie było, nie byłoby życia. W potrzebie odżywiania się, które utrzymuje życie jednostki i w trudnościach napotykanych, przy zaspokojeniu téj potrzeby Darwin znalazł ową walkę o życie, o byt, która pozyskała ostateczną sankcyę wiedzy. Z drugiego działacza życiowego, z potrzeby rozrodu, podstawy bytu zbiorowego i społecznego, nie wysnuł on natomiast żadnego następstwa. Z tego właśnie zaniedbania płynąć ma, zdaniem p. Drummonda, całe dalsze nieporozumienie. Jeżeli odżywianie się prowadzi do walki o życie jednostek, to rozród prowadzi do walki o życie drugich, nowych jednostek. Pierwszy jest źródłem egoizmu, drugi altruizmu, sympatyi, miłości bliźniego. Ewolucya, która nie uwzględniła tego drugiego czynnika była materyalistyczną, niekompletną, drażniła całą moralną stronę natury ludzkiéj, któréj ani pojąć, ani zgłębić nie potrafiła; przeciwnie zaś, po uwzględnieniu owego czynnika altruistycznego, staje się odrazu całkowitym systematem życia, rozwijającym nietylko fizyczne, ale i duchowe strony organizmu. Altruistyczne czynniki zwiększają się kosztem egoistycznych w tak pojętéj ewolucyi i dają formułę ostateczną nietylko fizycznego, ale i spirytualistycznego rozwoju świata. Moralność, dusza, Bóg, które stały uprzednio po za sferą wiedzy doświaczalnéj i które ona albo zaprzeczała, albo poznawać się nie kwapiła, znajdują swe właściwe miejsce jako podstawa, a zarazem jako cel końcowy, ostatnia faza rozwojowa, jako promieniejące uwieńczenie gmachu. Zimna, odpychająca ewolucya dawniejsza staje się symfonią wszechmiłości, hymnem na cześć ducha i Boga.

Perspektywa świetna, ani słowa. Idzie teraz o naukowe jéj umotywowanie. Punktem zasadniczym, do którego tedy autor zmierzać będzie ciągle, jak czytelnik zapomniéć nie powinien, jest naprzód wyprowadzenie z popędu rozrodowego walki o życie drugich, a następnie oparcie socyologii na takiéj podstawie ewolucyjnéj.

Zaczyna od wytworzenia się ciała z pierwotnéj komórki, w któréj jest już spowity człowiek cały, i pokazuje embryologiczny proces rozdzielania się komórki. Przypomina ten fenomen nadzwyczajnéj doniosłości, że protoplazma u przyszłego człowieka jest taka sama, jak u wszystkich podrzędniejszych istot organicznych, ale że niebawem ujawniają się różnice, bo kiedy u mięczaków np. powtarzają się tylko jednogatunkowe komórki, u człowieka budowa się doskonali i do każdéj nowéj funkcyi, któréj potrzebować będzie, wytwarzają się nowe odpowiednie organy. Komórka człowieka przechodzi te same stadya rozwojowe, co u reszty żyjących stworzeń, ale nie zatrzymuje się na tym punkcie co one, lecz idzie daléj, aniżeli ryby, płazy, ssawce, etc. Wprawdzie elementarne te spostrzeżenia nic z ewolucyą, jako taką nie mają jeszcze do czynienia; przeczuł je Agassiz, przypuszczał Van Baer, a udowodnił Fritz Müller: od chwili jednak, jak stały się podstawą embryologii, ewolucya musiała stanąć na téjże podstawie i wyciągnąć z niéj nieodzowne wnioski. Zamiast upatrywać hańbiące upośledzenie dla człowieka w téj tożsamości jego zarodkowego jądra z zarodkowém jądrem niżéj stojących organizmów, wiedza, przeciwnie, widzi w niéj świadectwo wyższości, jaką dla siebie następnie wywalczył i ostatecznie posiadł. Nie ma już mowy o mechaniczném, jednorazowém stworzeniu człowieka, ale pojmuje się, że gdy po myryadach upłynionych wieków, po nieskończonéj ilości prób, wśród niezliczonego mnóstwa przeszkód, z pracowni natury wyszedł nareszcie ten przyszły król świata, to nic wymowniéj nie przemawia za celowością całego istniejącego świata, nic nie wskazuje jaśniéj na byt Twórcy po za tym światem materyalnym stojącego. Zarodowa komórka jest pierwszą jego manifestacyą.

Ukształtowanie się ciała ludzkiego zajmuje autora w dwóch następnych rozdziałach, gdzie pokazuje, iż rusztowanie, do wzniesienia owéj budowy potrzebne, nie zostało zniweczone po jéj dokonaniu, ale że pozostałości jego są namacalne. Fizyczny organizm człowieka wydaje się podobnym do sklepu, w którym sprzedawane bywają różne archeologiczne zabytki, gdyż znaleść w nim można różne poronione organy, nieużyteczne obecnie pozostałości niższych faz życiowych: nie mniéj jak siedmdziesiąt takowych znajduje się w organizmie ludzkim. Najbardziéj znane są uszy takie jakie były u ryb, włos jak szerść

u kręgowców, ogon jak u małpy, etc. Nie brakuje tedy dowodów na samym człowieku, że ewolucya biologicznego świata, przetwarzając gatunki zawsze otaczającemu je środowisku odpowiednie, wzniosła się w nim do swego najwyższego stopnia.

W téj części swéj pracy autor dotknąć był zmuszony owego pokrewieństwa człowieka z małpą, które przed kilku dziesiątkami lat jeszcze tak potężną wywołało zgrozę. Oburzenie to i protestacye te pozostaną jako jeden ze smutnych śladów głupoty ludzkiéj. Z naukowego stanowiska nigdy zrozumiéć się nie da, że tego rodzaju elementarny pewnik mógł kogokolwiek oburzać albo dziwić. Zamiast powtarzać niedorzeczności wypadało przeczytać choćby to, co Darwin w tym przedmiocie powiedział. Nie twierdził on, że istnieje pomiędzy nimi jednakowość organiczna, ani nawet że brakuje nam tylko jednego ogniwa w łańcuchu łączącym nas z małpami. Ograniczył się do wskazania na wspólnego protoplastę kiedyś w mgle oddalonych wieków: jedne gałęzi szczepu rozwijały się, wykształcały i przeistaczały całkiem inaczéj, aniżeli drugie. To wszystko. Gdyby było potrzeba przypominać, że pomimo tego odrębnego ukształtowania się, są w każdym z dzisiejszych ludzi nie jedne, ale tysiące charakterystycznych rysów takich samych, jak u małp, dobijałoby się gwałtem do drzwi na roścież otwartych. P. Drummond nie traci czasu na tego rodzaju oklepanki i przypomina tylko mimochodem, że u każdego niemowlęcia obecnie jeszcze zauważyć się daje siła przyczepiania się palcami ręki do każdego uchwytliwego przedmiotu.

Jeżeli dotąd stoi silnie na podstawie ewolucyjnéj, to tam dopiéro rozstawać się z nią zdaje, gdy śmiało wyrzeka, że organizm człowieka jest ostatecznym gatunkiem biologicznym, jaki natura stworzyć może, i że na nim się koniecznie zatrzymać musi. Twierdzenie takie opiéra p. Drummond na tém spostrzeżeniu, iż gatunki zmieniały się, ustępowały jedne drugim, udoskonalały się w miarę zmieniającego się otoczenia i środowiska. Organy niepotrzebne nadal zamiérały i znikały, a inne zabiérały ich miejsce. Organy człowieka obecnego nie będą już przekształcane i wydoskonalane, bo znalazł on po za sobą sposób zastąpienia. Rozmaite narzędzia i machiny zastępują jego rękę, mikroskopy, teleskopy, szkła—oczy, i t. d. Nie ma tedy powodu mniemać, żeby organy człowiecze uledz miały kiedybądź jakiéjkolwiek zmianie. Jeżeli potrzeba panu Drummond takiéj podstawy do swoich dalszych wywodów, to z punktu ściśle naukowego twierdzenie jego poczytane być musi conajmniéj jako pozbawione dowodów zuchwalstwo. Nietylko bowiem nie ulega wątpieniu, że nawet u współczesnego człowieka przeobrażenia się odbywają i niektóre ze

zmysłów, jak np. zmysł powonienia słabną, ale jest logicznêm następstwem doktryny ewolucyjnéj, że ze zmianą środowiska, ze zmianą warunków rozwojowych, człowiek i jego organy, takie jakie je widzimy obecnie, także zmienić się powinny. Takie horoskopy przyszłości na tysiące wieków odległe mogą być zabawką dla fantazyi naszéj, ale samo się przez się rozumié, że nauka zajmować się nimi nie ma powodu.

Przechodząc do świtu umysłu u człowieka, autor posiłkuje się gruntownie pracami prof. Romanes'a, Lloyda Morgana i innych uczonych i nie wywoła tedy ze strony nauki żadnéj protestacyi. Jako zasadniczą tezę stawia, że umysł ludzki rozwija się na tych samych prawach, co zwierzęcy i że potęgą i wydoskonaleniem tylko od tamtego jest różny. Rzecz prosta, że początek umysłu, tak samo jak początek życia wszelkiego pozostaje niedocieczoną tajemnicą. Śledzenie ewolucyi umysłu ludzkiego przedstawia ze swéj strony nadzwyczajne trudności i żadna paleontologia nie potrafi nam przynieść dowodów jego różniczkowania się od umysłów zwierzęcych. Nie brakuje wszelako wskazówek i analogii, które w niedostatku lepszych dowodów, zadowolnić nas powinny. Jest ich pięć przedniejszych: rozwój umysłu niemowlęcia; rozwój umysłu u niższych zwierząt; ślady materyalne umysłowego rozwoju pierwotnych ludzi, jak skorupy, garnki, broń, narzędzia; umysł dzikich plemion — i nakoniec, rozwój mowy ludzkiéj. Opiérając się na słynnéj tablicy prof. Romanes'a, wyjętéj z jego *Mental Evolution of Animals*, p. Drummond nie myśli zaprzeczać, że pierwsze manifestacye działalności umysłowéj u niemowlęcia pojawiają się w takim samym porządku, jak u zwierząt. Porównawcza psychologia jest nauką jeszcze w kolébce, ale już obecnie wiadomo, że pomiędzy człowiekiem a całą grupą rozmaitych innych żyjących istot, władze umysłu i pierwsze manifestacye uczuciowości różnią się nie jakościowo, ale ilościowo. Najmniejszéj wątpliwości nie ulega postęp w rozwoju umysłowym człowieka: ślady i pozostałości archeologiczne po troglodytach nabrały w świetle nowoczesnych studyów antropologicznych pewności naukowéj, a życie istniejących po dziś dzień dzikich plemion daje do nich niejako ilustracyę. Ewolucya umysłu człowieka pierwotnego aż do historycznego staje się coraz jaśniejszą. Najważniejszym jednak i stanowczym jéj momentem być musiało powstanie mowy, dzięki któréj władze umysłowe człowieka spotęgowały się i znalazły drogę do rozwoju, jakiego inne żyjące stworzenia osiągnąć, przy jéj braku, nie były w stanie.

Wielce ciekawy jest rozdział poświęcony ewolucyi języka. Autor przypomina, że zwierzęta żyjąc w stadach posiadają sposoby poro-

zumiewania się, że istnieje u wielu z nich cały system sygnałów. Jeżeli wiedza współczesna nie podaje w wątpliwość, iż istniał pierwotnie *homo alalus*, człowiek nie umiejący jeszcze mówić, to łatwo zrozumiéć, że mnożąc się i gromadząc w hordy i wtedy już znalazł sposób porozumiewania się ze swymi towarzyszami bytu. Rozmowa głuchoniemych za pomocą znaków, rozmowa dzikich ludzi i bełkotanie niemowląt dają nam wskazówki powstawania języka. Max Müller sprowadził cały język sankrycki do 121 wyrazów, w których zamykały się już wszystkie pierwiastki późniejszych języków. Pomiędzy obrazową mową dawniejszą a abstrakcyjną dzisiejszą nie ma przerw, któreby niepokoić nas potrzebowały. Zarówno fizyczne, jak i umysłowe wzniesienie się człowieka na drabinie stworzeń żyjących, znajduje w ewolucyi wszystkie wyjaśnienia, wymagane przez rozum krytyczny.

Niepokojącą za to była teorya walki o byt, ujawniającéj się u ludzi od pierwszéj chwili ich zbiorowego życia, a widocznéj jeszcze i obecnie. Chciano w niéj, trudno zrozumiéć dlaczego, widziéć jedynie zwierzęcą stronę natury i protestowano w imię duchowéj. I tutaj także profesor Drummond pozostaje wiernym doktrynie ewolucyjnéj i nie wypiéra się bynajmniéj walki o życie. Skoro człowiek, jako istota żyjąca, w bezczynnym spokoju pozostać nie może i skoro dla przygotowania i umożliwienia dalszego rozwoju swego gatunku stał się naprzód najdoskonalszém zwierzęciem, następnie najzmyślniejszém, a nakoniec przez narzędzia i broń, któremi się posiłkować zaczął, otworzył sobie na roścież drogę umysłowego i moralnego wzniesienia się ponad wszystkie podrzędniejsze stworzenia, zatém instynkta i potrzeba życia muszą się i u niego pojawiać, jak u tamtych, a przybiérać odrębne formy wskutek odrębnych jego cech gatunkowych. Szuka dla siebie pożywienia i najdoskonalszych warunków bytu i walczy o nie z energią potęgującą się w miarę sił wzrastających. Nie jestto walka dla walki saméj, ale dla wzniesienia się na wyższe rozwojowe stadyum. Jest koniecznością, ażeby wyszli z niéj zwycięsko jedynie najzdolniejsi: pomiędzy rasami ludzkiemi, tak samo jak pomiędzy gatunkami zwierzęcemi, te tylko utrzymają się, które posiadać będą zdolność zastosowania się do nowego środowiska, stopniowo się przygotowującego. Nie można przewidziéć nawet najodleglejszéj epoki, gdzieby ludzie bez tego współubiegania się życiowego istniéć mogli. Gdyby nawet wynalazki dostarczyły przyszłéj ludzkości podostatkiem pokarmu, walka życiowa nie ustanie, ale inny zakreśli sobie cel. Obecnie ujawnia się ona jeszcze w formach barbarzyńskich, przez wojnę i przez organizacyę przemysłową, ale łatwo przewidziéć, że na

wyższym stopniu ewolucyi cywilizacyjnéj dążyć ona będzie do urzeczywistnienia celów intelektualnych i etycznych.

Autor w téj części swéj pracy zaczepił o przyszłość człowieka już nie indywidualnego, ale zbiorowego, od czego się na wstępie wstrzymać obiecał. Uczynił to jednak dla położenia nacisku, że nawet w tym niezaprzeczonym egoistycznym pierwiastku, kierującym człowiekiem w walce o zabezpieczenie bytu jest już złożone ziarno dalszego jego rozwoju. Dla myślicieli, którzy zapisali się pod sztandar ewolucyonizmu, to prawo rozwojowe było samo w sobie wystarczającém do umożliwienia i urzeczywistnienia wszystkich dalszych przeobrażeń ludzkości. Ale p. Drummond tutaj z nimi się rozstaje i wprowadza, jak to już powiedziano wyżéj, obok egoistycznego pierwiastku walki o swoje własne życie, pierwiastek inny, nowy, albo przynajmniéj uważany przezeń za nowy — pierwiastek altruistyczny, sympatyczny: walkę o życie innych.

Zastanawia się nad nim od samego początku. Już pierwsze podzielenie się na dwoje zarodkowéj komórki jest aktem poświęcenia się i zaparcia, a indywidualność zatraca się dobrowolnie przez prąd dopełniania się. Natychmiast pojawia się zbawczy okaz tego instynktowego organizmu we współdziałaniu przeciwném téj drugiéj komórki. Rośliny rozmnażają się przez współdziałanie wiatru lub owadów, zwabionych pięknością kwiatów. Wzajemna pomoc gra tedy już na podrzędniejszych szczeblach tę samą rolę, co walka o byt. Wszelki twór odosobniony, zostawiony sam sobie — wymiéra, schnie, a współdziałanie płciowe, dobór płciowy jest niezbędnym, zasadniczym czynnikiem; każdego nowego życia. Jeżeli sama tajemnica tego doboru płciowego nie została uchyloną, to autor pokazuje, że zna najnowsze doświadczenia biologiczne, naprowadzające przynajmniéj na niektóre wskazówki co do dowolnego wytwarzania płci. W każdym razie w jego oczach samiec-mężczyzna uosobia zasadę odżywiania się gatunku i manifestuje się przedewszystkiém w walce o życie, a samica-matka uosabia drugą zasadę — rozrodu i walki o życie nowych pokoleń, o życie ludzkości jako takiéj.

Ewolucya macierzyństwa, oto najwyższy szczebel rozwoju indywidualnego człowieka. Tutaj występują wyższe, dotąd nie ujawnione jeszcze czynniki sympatyi, przywiązania, miłości, a historya człowieczeństwa, w któréj chciano widziéć dotychczas przez dzikie zaślepienie jedynie bój zażartych egoistycznych czynników i sił, jest jednocześnie i w daleko wyższym jeszcze stopniu, hymnem całego stworzenia na

cześć miłości, wzajemnéj pomocy, zaparcia się i poświęcenia. Autor wyrzuca surowo nietyle samemu Darwinowi, ile jego uczniom i następcom, pominięcie albo upośledzenie téj strony ewolucyjnego rozwoju. Gdy się jednak bliżéj przyjrzymy jego teoryi, nie możemy w niéj dostrzedz zasadniczéj różnicy od téj okrzyczanéj definicyi Haekla, że początkiem miłości jest doborowe powinowactwo dwóch odmiennych komórek! Jest to nowym dowodem, że nie prawda sama w sobie, ale sposób, w jaki bywa ugruntowaną i udowodnioną, wywołuje przychylne lub wstrętne wrażenie.

Najpodnioślejszym typem w drabinie biologicznéj, ostatniém słowem natury jest matka, najwyższą funkcyą organiczną — macierzyństwo, tak samo, jak najwyższém zadaniem człowieczeństwa, jako takiego, jest wyniańczenie nowych pokoleń. Autor w pełnym entuzyazmu rozdziale kréśli ewolucyę macierzyństwa. Rola matki jest zaledwie dostrzegalną u niższych tworów i postępuje, nabiéra znaczenia i powagi w miarę, jak wznosimy się w górę. Podrzędne twory obywają się bez matek; brak troski o ikrę i jajka pokazuje, że macierzyństwo nie tętni jeszcze. Ewolucya jego staje się możliwą, gdy samica zaczyna ograniczać ilość swych wypłodów, bo jest nieuniknioném, że macierzyństwo względem miliardów urodzonych jest żadném. Stopniowo liczba wypłodów zmniejsza się u ryb, u płazów, u ptaków i dochodzi przez dziesiątki do jednostek. Drugą fazą téj ewolucyi macierzyństwa jest władza rozpoznawania swoich dzieci przez matkę, trzecią — podobieństwo dzieci do rodziców i zupełna zależność ich od matki. Zależność ta wzrasta w miarę, jak podnosimy się ze szczebla na szczebel na drabinie biologicznéj. Największą jest niezaradność, całkowita bezsilność niemowlęcia u człowieka. Dziecko jest mniéj zaradném od małpy w pierwszéj epoce swego bytu i autor wykazuje anatomiczną i fizyologiczną konieczność tego z potrzeby, jaką posiada mózg człowieczy do należytego ukształtowania się. Miłość macierzyńska istnieje u zwierząt dopóty, dopóki matka karmi je swém mlékiem; u wyższych organizmów zwierzęcych trwa nieco dłużéj, ale i tam znika, gdy młode zwierzę staje się samodzielném. Dopiéro w świecie ludzkim uczucie ludzkie utrwala się, podnosi, uszlachetnia. Charakterystycznemi rysami jego są cierpliwość, współczucie z cierpieniami i fizycznemi dolegliwościami dziecięcia, troska o jego byt i dobrobyt, czułość, tkliwość, piecza. Gdy uczucia te podnoszą się aż do pobudzenia ducha poświęcenia, ofiary, odkupienia życia dziecka swojém własném, wtedy człowieczeństwo święci najczystszą swą uduchownioną ewolucyę.

Ale nie tu jeszcze jest kres macierzyństwa. Fizycznie stworzyło ono dziecko — moralnie stwarza jeszcze ojca i rodzinę, a *ipso facto* społeczność. Ojcostwo, istniejące jako instynktowa funkcya u niższych organizmów zaczyna okazywać pierwszy raz swój altrunistyczny charakter u ptastwa, gdzie samiec nieraz buduje gniazdo. U wyższych typów znikają znowu jego ślady i nie można wyobrażać sobie, ażeby istniało u człowieka pierwotnego. Ale przez ten fakt fizyologiczny, iż kobiéta może rodzić dziecię niezależnie od pór roku, nastąpiło współprzebywanie z nią trwałe mężczyzny-samca. Jednożeństwo, zastępujące uprzednią formę wielożeństwa, dało nowy popęd uczuciu ojcostwa. Potrzeba zaspokajania fizycznych potrzeb żony i dziecięcia zrobiła z mężczyzny stopniowo ich żywiciela i opiekuna i wytworzyła w nim uczucia przywiązania, troski i poświęcenia. Gdy stopniowo z hordy pierwotnéj człowiek wstępuje w związki towarzyskie i stwarza społeczność o prawach i zasadach, dla wspólnego bytu potrzebnych, duchowe te siły rozwijają się naturalnie, oczyszczają i uszlachetniają. Ewolucya człowiecza wstępuje od téj chwili w fazę etycznego udoskonalenia.

Doszedłszy do téj mety, nie pozostaje autorowi naszemu, tylko zakończyć swój wywód i wyciągnąć zeń te wnioski, których nigdy z oka nie tracił i które miały doprowadzić do dania wiedzy i wierze jednolitéj podstawy i wzajemnie wesprzéć jedną przez drugą. Czyni to naprzód, przypominając, że nie może już być obecnie mowy o świecie materyi. Nie ma świata wyłącznie materyalnego, ale, przeciwnie, świat spirytualny, duchowy, posługujący się tylko materyą kosmiczną, światem biologicznym w kształtach, formach i typach coraz doskonalszych, wyższych, czystszych. Ewolucya udowodniła, że nie ma pomiędzy nimi skoków i przerw, a przeciwnie, wszędzie ład, ciąg, systematyczna jednia. Nietylko, że taka organizacya i taki plan wszechbytu nie niweczy i nie sprzeciwia pojęciu Twórcy, ale wymaga go, jako źródła, jako nieprzerwanie istniejącego, działającego kierownika, jako wypełniającego cel, zakreślony z góry wszechbytowi.

Ewolucya powinna nosić inną nazwę — inwolucyi, t. j. wzniesienia do najwyższéj potęgi, udoskonalenia się świata. Tak pojęta, staje się ona jednoznacznikiem Objawienia.

Po takiém sumienném streszczeniu dzieła prof. Drummonda, czytelnik nie będzie wymagał od piszącego jego oceny i sam sobie sąd o niém uczynić potrafi. Tam, gdzie stąpa na gruncie naukowym

o niezłomnych podwalinach, nie przynosi wprawdzie nic nowego, ale wyłuszczając w popularnéj, przejrzystéj formie ostatnie, nieocenione zdobycze wiedzy, oddaje wielką przysługę postępowi naukowemu. Książkę jego będą czytać miliony i zrozumieją raz na zawsze prawdy, dotąd dorywczo albo całkiem fałszywie znane. Tam, gdzie wprowadza żywioł etyczny do rozwoju człowieczego, nabiéra żywszego jeszcze interesu, chociaż, przyznać trzeba, że jest tyle przypuszczeń i taka gra imaginacyi w jego wywodach, iż nie małego trzeba będzie czasu i prac na wielu zagonach umiejętności, aby plewy od ziarna oddzielić. Tam nakoniec, gdzie utożsamia pierwiastek etyczny z religijnym a ewolucyę z systemem stworzenia i kierowania wszechświatem przez osobistego Boga, obraca się w sferze całkowicie dostępnéj tylko dla tych, co już uprzednio zasadami religijnemi byli przejęci.

Krytyka angielska, która jeszcze nie miała czasu rozpatrzéć ze wszystkich punktów i we wszystkich organach ważniejszych nowego dzieła prof. Drummonda, przyjęła je, przeciętnie, tam, gdzie o nim głos zabrała, nadzwyczaj przychylnie. Jednocześnie podziwiają kryształową jasność, z jaką wyłożył najzawilsze zagadnienia naukowe, mistrzowską formę i ten nastrój podniosły, szczytny, który wszędzie dźwięczy, niby dzwon srebrzysty. Zastrzeżenia, jakie są czynione, dotyczą jedynie ewolucyi, jako takiéj, drugie tego osobistego udziału w jéj dopełnieniu, do którego prof. Drummond rości pretensyę. Co do teoryi ewolucyi, jest to zmniejszeniem jéj znaczenia, gdy się ją wkłada na barki Karola Darwina. Rodowód jéj sięga conajmniéj Kanta, Laplace'a, Lamarcka, Erazma Darwina. Wnuk tego ostatniego usystematyzował tylko i ugruntował teoryę wyraźnie już naszkicowaną przez tych wcześniejszych pracowników.

Wprowadzenie do teoryi ewolucyi, jako przeciwstawy egoizmu, ujawniającego się w walce o byt, altruizmu, sympatyi i miłości bliźniego nie jest bynajmniéj, jak to wielu krytyków pośpieszyło zauważyć, osobistą zdobyczą naukową prof. Drummonda. Cała filozofia Herberta Spencera spoczywa na téj podstawie. W swoich *Data of Ethics* wziął przecież Spencera altruizm, jako dopełnienie egoizmu, jako podstawę ewolucyi społecznego organizmu. *Social Statics*, gdzie ta sama zasada jest ściśle i systematycznie przeprowadzoną, liczy już obecnie czterdzieści lat istnienia, a prof. Drummond zdaje się nic o niéj nie wiedziéć. Rozprowadziwszy tę płodną zasadę w poetycznym sentymentalizmie, uważa się za jéj odpowiedzialnego autora. To nie wystarcza!

Te i inne uwagi zrobić się dadzą z łatwością, i nie ma wątpienia, że uczynione zostaną. Obóz, ściśle i wyłącznie naukowy, nie zmieni być może swego dawniejszego zapatrywania na sympatycznego autora, pomimo nowego świadectwa, jakie złożył o swojéj dla wiedzy lenniczości. Surowsze względem niego postąpienie byłoby jednak tém mniéj zasłużone, że, koniec końców, nikt skuteczniéj nie przyczynił się od niego do rozprzestrzenienia prawd, sformułowanych przez wiedzę. Reszta upaść może, to pozostanie niezawodnie.

D-r *M. E. Trepka.*



Czynności móżdżku.

(DAWNE I NOWSZE POGLĄDY) *).

W tylnéj części jamy czaszkowéj, pod tylnemi płatami mózgu, złożonego, jak wiadomo, z dwu półkul, leży nakryty, jak gdyby namiotem, szerokim odrostkiem twardéj opony dość duży organ — móżdżek, wprawdzie wielokrotnie związany z resztą układu nerwowego, ale zawsze już z pierwszego wejrzenia sprawiający wrażenie utworu autonomicznego. Możnaby sądzić, kierując się podobieństwem nazw, że mózg jest tylko wybujałym móżdżkiem, ten zaś niczém więcéj jak miniaturą mózgu; takie atoli pojęcie nie odpowiadałoby rzeczywistości ani pod względem budowy wewnętrznéj, ani pod względem czynności. Zresztą pewne cechy podobieństwa istnieją niewątpliwie między rzeczonemi organami. Obadwa są utworzone z półkul, nieco pobróżdżonych, stąd podzielonych na zrazy, obadwa téż mają na powierzchni masę szarą, a wewnątrz białą. Ale móżdżek posiada i część środkową, zakarbowaną płytkiemi poprzecznemi wcięciami i dlatego zwaną robakiem; masa szara składa się z kilku warstw komórkowych inaczéj ułożonych niż w mózgu, masa zaś biała, włóknista, ma na przecięciu charakterystyczny wygląd krzewu, stąd zwana jest drzewem życia. Włókna zbiérają się w odnogi, po trzy

---

[1]) Przy układaniu niniejszego artykułu korzystałem z Ferrier'a „Les fonctions du cerveau", trad. par Varigny, Paris, 1878; Luigi Luciani'ego „Das Kleinhirn. Neue Studien zur normalen u. pathologischen Physiologie". Deutsche Ausgabe besorgt von Dr. med. M. O. Fränkel, Leipzig, 1893, XV, 290 in 8-vo.

z każdéj strony, łączące móżdżek z rozmaitemi częściami mózgowia: jedna z mózgiem (odnoga górna lub przednia), druga — z rdzeniem przedłużonym, t. j. z bezpośredniém przedłużeniem mlécza pacierzowego (odnoga dolna lub tylna), trzecia — z mostem Varola czyli wyniosłością obrączkową, znajdującą się tuż przed rdzeniem przedłużonym (odnoga środkowa). Odnogi, jako masy włókniste, przeznaczone są do przenoszenia pobudzeń nerwowych w obu kierunkach: dośrodkowym i odśrodkowym.

Widzimy więc, że podobieństwo, zachodzące między mózgiem a móżdżkiem, jest bardziéj zewnętrzne, powierzchowne, makroskopijne, budowa zaś histologiczna tu i tam odmienna, odmienniejsze jeszcze funkcye fizyologiczne.

Należy zaznaczyć przedewszystkiém fakt zasadniczy, że, wbrew mniemaniom dawniejszym, móżdżek w przeciwieństwie do mózgu, nie wywiera najmniejszego wpływu ani na zmysły, ani na popędy, ani na inteligencyą: wszystkie te sprawy psychofizyologiczne leżą po za obrębem jego czynności, wiążąc się ściśle z mózgiem w całości wziętym lub z pojedynczemi jego ośrodkami. Zdarzają się wprawdzie u zwierząt operowanych przemijające i uleczalne choroby oczu i uszu, jak np. zapalenie łącznicy oka, rogówki, wyciek ropny z ucha i t. d., nigdy jednak objawy, świadczące o prawdziwych zaburzeniach w samych aparatach zmysłowych: zwierzę widzi i słyszy doskonale. Jeszcze częściéj napotykamy u zwierząt z okaléczonym lub wyciętym móżdżkiem rozmaite choroby skóry, jak np. utratę blasku sierści, łysinę w rozmaitych miejscach, plamy czerwone, pryszcze, ale same przez się zmysł dotyku i czucie mięśniowe żadnego nie doznają szwanku. Dość jest dotknąć się zwierzęcia w jakiémkolwiek miejscu, gdy zajęte jest spożywaniem pokarmu lub ma oczy zasłonięte, aby z odpowiednich ruchów przekonać się, że poczuło dotknięcie; nadajmy téj lub owéj kończynie pozycyą niezwykłą, a w okamgnieniu się poprawi. Również u ludzi dotkniętych cierpieniem móżdżku nie spostrzegano nigdy stępienia dotyku i czucia mięśniowego. Instynkt samozachowawczy, jak utrzymuje Luciani, ostatnia powaga w kwestyi naszéj, nietylko nie zanika u zwierząt pozbawionych móżdżku, lecz przeciwnie, zdaje się występować u nich w sposób brutalniejszy, niż u zwierząt zdrowych. A co się tyczy głośnéj hypotezy Galla, upatrującéj w móżdżku siedlisko popędu płciowego, hypotezy, która w swoim czasie wywołała tyle dyskusyi namiętnych i nawet w czasach późniejszych znalazła obrońców w osobach dwu poważnych fizyologów: Lussany i Rudolfa Wagnera, można ją uważać za całkiem fantastyczną i ostatecznie pogrzebaną. Świadczą przeciw niéj fakty z wszelkich

możliwych dziedzin. W głośném np. spostrzeżeniu Combette'a, o którém będzie jeszcze poniżéj mowa, dziewczyna z zupełnym brakiem móżdżku cierpiała—nymfomanią; Vulpian podał przypadek analogiczny, w którym obok zaniku tego organu istniała—erotomania. Ze stanowiska porównawczo-anatomicznego dowiedziono, że potęga instynktu rozmnażania nie ma się bynajmniéj w stosunku prostym do rozwoju mniemanego ośrodka. Np. ze wszystkich ryb minóg z rzędu krągoustych *(Cyclostomii)* posiada najmniejszy, a żarłacz z rzędu spodoustych *(Selachii)* największy móżdżek: jednocześnie organy rodne są rozwinięte u pierwszego znacznie silnie, niż u drugiego. Niemniéj przekonywające są spostrzeżenia nad zwierzętami. „W dziejach operowanych przeze mnie zwierząt—powiada Luciani—nietylko nie brak scen miłosnych, lecz nadto odznaczają się taką potwornością i jurnością, że mimowoli nasuwa się pytaniéj, czy czasem usunięcie móżdżku nie sprowadza raczéj pośrednio pewnego wyuzdania chuci cielesnych; że stosunki miłosne nie pozostawały bez skutku, dowodem wielokrotne ciąże, porody, połogi, które nadawały mojéj pracowni wszelkie cechy instytutu położniczego." Nieuzasadnione jest wreszcie mniemanie, jakoby sfera intelektualna znajdowała się w jakimkolwiek związku z móżdżkiem, mniemanie, którego przez wiele lat bronił Wundt (w ostatniém, IV-ém wydaniu „Psychologii fizyologicznéj" odpowiedni ustęp został usunięty), jakkolwiek pewne zmiany w charakterze i sprawowaniu niewątpliwie zachodzą. U małp Luciani spostrzegł wzmożenie wrodzonéj im trwożliwości i nieufności, u psów w pierwszym okresie pooperacyjnym większą wesołość, w następstwie zaś gnuśność i apatyę. Atoli na właściwe funkcye intelektualne zniszczenie organu nie wywiera wpływu najmniejszego.

Jakież są rzeczywiste jego czynności? Jak to bywa z większością kwestyi neurologicznych, fizyologowie nie przyszli jeszcze do porozumienia zupełnego i hołdują dwom poglądom odmiennym, częstokroć łącząc je z sobą: z tych jeden został jasno sformułowany przez Flourens'a, drugi raczéj domyślnie wyrażony przez Magendi'ego. Flourens warstwami wycinał móżdżek u gołębi i zrazu zauważył tylko pewne osłabienie ruchów oraz brak w nich harmonii; im głębiéj sięgał, tém ruchy stawały się gwałtowniejszemi i mniéj prawidłowemi: nastąpiło ogólne miotanie całego ciała, wszakże bez prawdziwych drgawek; wreszcie z usunięciem najgłębszych warstw, gołąb utracił zupełnie możność stania, chodzenia, skakania i latania: położony na grzbiecie, nie mógł się podnieść pomimo wszelkich w tym kierunku usiłowań, ale téż nie leżał spokojnie i nieruchomo, jak to bywa po wycięciu półkul mózgowych, lecz ustawicznie się miotał, a jednak nie

mógł wykonać żadnego ruchu określonego; widział, jak się nań zamierzano, ale nadaremnie usiłował uniknąć uderzenia. Czucie, wola, inteligencya zostały nietknięte; zachowały się również wszelkie ruchy poszczególne, znikła atoli zupełnie zdolność zszeregowania ich w akty złożone, a zarazem prawidłowe i określone, czyli — jak mówią fizyologowie — zdolność koordynacyi ruchów. Podobne objawy spostrzegał Flourens u innych ptaków jakoteż u ssących: zawsze i wszędzie obrażenie powierzchowne móżdżku sprowadzało brak harmonii w ruchach, tém większy, im rozleglejsze i głębsze było obrażenie, całkowite zaś zniszczenie organu pociągało za sobą absolutną utratę zdolności wykonywania skoordynowanych ruchów miejscozmiennych czyli lokomocyjnych. Na zasadzie powyższych spostrzeżeń Flourens uważał za właściwe umiejscowienie w móżdżku osobliwéj zdolności regulowania i koordynowania poszczególnych ruchów dowolnych w złożone i harmonijne akty lokomocyjne, t. j. w akty, na których polega stanie, chodzenie, latanie.

Spostrzeżenia powyższe, osobliwie zaś wnioski z nich wyprowadzone, doznały ze strony współczesnych i późniejszych fizyologów i patologów bardzo nieprzychylnego przyjęcia, jako całkiem sprzeczne z doświadczeniem klinicznem. Tak np. w znanym nam już wypadku Combette'a, chora jeszcze krótko przed śmiercią mogła stać i chodzić, jedynym objawem charakterystycznym było częste padanie. W innym znowu wypadku, gdzie skonstatowano niemal zupełne zniszczenie organu przez sprawę chorobową, chory za życia potykał się wprawdzie i chwiał podczas chodzenia, ale mógł chodzić i niewątpliwie posiadał zdolność koordynacyi ruchów; tymczasem zgodnie z hypotezą Flourens'a, chory, według słusznéj uwagi Vulpiana, nie powinien był robić ani jednego kroku, ani stać na nogach, innemi słowy: powinna była zniknąć absolutnie kombinacya skurczów mięśniowych, nieodzownych dla zmiany miejsca lub dla zachowania postawy prostéj.

Przeciwko Flourens'owi wypowiedział się również Magendie. Znakomity fizyolog francuski, nauczyciel Klaudyusza Bernard'a, w swéj reakcyi względem frenologii Galla, posunął się był do zupełnéj abstynencyi od wniosków, będących czémś więcéj nad streszczenie obserwowanych faktów. Spostrzegłszy np. u zwierząt po zniszczeniu pewnéj części mózgowia (ciała prążkowanego) niepohamowany pociąg do biegania naprzód, uważał się za uprawnionego jedynie do przyjęcia w niéj siły wstrzymującéj ruch naprzód; w podobny sposób doszedł do umiejscowienia wręcz przeciwnéj siły w móżdżku, albowiem po dokonywanych przezeń obrażeniach tego organu, występowała stale skłonność do padania wstecz. Otóż na zasadzie tego rodzaju doświadczeń,

w których zwierzę po dokonaném okaleczeniu zdradzało popęd bądź do cofania się w tył, bądź do biegu naprzód, bądź do obrotu w prawo lub w lewo, przypuszczał w mózgowiu istnienie czterech sił, od których mają zależéć powyższe objawy. W zwykłych warunkach pozostają one pod kierunkiem woli i wzajemnie się równoważą, z czego wnosić należy, że równowaga ciała i oryentacya w przestrzeni, zarówno w rozmaitych pozycyach, jakotéż przy zmianach miejsca, warunkuje się właśnie należytą równowagą owych czterech sił, działających w kierunkach przeciwnych. Że zaś móżdżek w wynalezionym przez Magendie'go układzie sił wybitną odgrywa rolę, słusznie go zatém uważać powinniśmy przedewszystkiém za organ równowagi: wniosek przez Magendie'go niedopowiedziany, ale zdaniem Luciani'ego, niewątpliwie wypływający z jego doświadczeń i sposobu rozumowania.

Dwa powyższe poglądy — Flourens'a i Magendie'go — stały się liniami wytycznemi dla wszelkich badań późniejszych nad móżdżkiem i dotychczas zdają się panować nad umysłami fizyologów, którzy upatrują w nim jużto organ koordynacyjny, jużto ośrodek regulujący równowagę ciała w przestrzeni. Ze stanowiska Magendie'go wystąpił, nie tak dawno jeszcze, znany fizyolog angielski i jeden z koryfeuszów kierunku lokalizacyjnego, Dawid Ferrier, z teoryą, która w sposób nader pomysłowy i wszechstronny usiłuje powiązać w całość jednolitą wiele faktów, dotyczących równowagi a przedtém nieuwzględnianych.

Zgodnie z Vulpianem i Philippeaux utrzymuje on, że zniszczenie móżdżku u ryb nie sprowadza najmniejszego zakłócenia ruchów pływania, czyli ich koordynacyi prawidłowéj: ryby pływają, jak i przed operacyą, bardzo składnie, bokiem i na grzbiecie; nigdy za to nie zachowują zwykłéj postawy, czyli równowagi. Z drugiéj strony, wycięcie półkul mózgowych oraz t. zw. zrazów wzrokowych (ciało czworacze ssących — *lobus opticuscorpus quadrigeminum)* znosi u tych zwierząt zdolność wykonywania prawidłowych ruchów lokomocyjnych: pod wpływem drażnienia skóry następują wprawdzie poruszenia ogona i pletw, a pośrednio i zmiana pozycyi, ale jedynie drogą odruchową, o akcie pływania prawdziwie skoordynowanym nie ma tu mowy. U żab usunięcie móżdżku podobno téż nie pociąga za sobą widocznych zaburzeń lokomocyjnych; przynajmniéj Vulpian i Philippeaux są tego zdania, które i Ferrier podziela. Co się tyczy człowieka, do najcharakterystyczniejszych objawów chorób móżdżkowych należą t. zw. bezład móżdżkowy *(ataxia cerebellaris)* i zawrót głowy. Bezład występuje wyłącznie w kończynach dolnych i tułowiu, mianowicie podczas stania i chodzenia. Chory wykonywa ruchy nogami z całą pewnością

i składnością dopóki leży; skoro tylko wstanie i zechce chodzić, ciało zaczyna się chwiać, zwłaszcza jeśli nogi są zbliżone do siebie, i zataczać się w jedną i drugą stronę, chód staje się zygzakowatym, a chory sprawia wrażenie człowieka pijanego, stąd trafna nazwa *marche de l'ivresse*, nadana bezładowi przez autorów francuskich. Osoby dotnięte cierpieniem móżdżku istotnie nieraz podlegają niesłusznemu aresztowi policyjnemu, od którego uwalnia je dopiéro dokładna ekspertyza lekarska. Od czego zależy zawrót głowy — od zakłócenia równowagi, czy téż od innéj przyczyny — dotychczas niewiadomo dokładnie.

Zdaniem Ferrier'a, powyższe doświadczenia na zwierzętach, tudzież spostrzeżenia kliniczne nad człowiekiem przeczą wnioskowi Flourens'a, jakoby móżdżek znajdował się w ścisłym związku ze sprawą koordynacyi ruchów lokomocyjnych. Pierwotném, istotném następstwem obrażenia organu są przedewszystkiém i jedynie zaburzenia równowagi, a one dopiéro pośrednio i wtórnie utrudniają lub uniemożliwiają stanie i chodzenie. Jak ruchy dowolne nie zostały utracone, tak również współrzędne ruchy lokomocyjne, albowiem skombinowane i współrzędne skurczenia mięśniowe, składające się na akt chodzenia, mogą być i nadal wywołane, tylko że przestały odpowiadać rozmaitym pozycyom ciała w przestrzeni, skutkiem czego zwierzę, gdy zechce stanąć na nogi i chodzić, potyka się i chwieje, celu nie osiągając.

Rzecz szczególna, że—jak podają Schiff, Vulpian, a za nimi Ferrier — tylko obrażenia jednostronne lub obustronne a niesymetryczne sprowadzają jawne zaburzenia równowagi, gdy tymczasem dokładne przecięcie organu po linii środkowéj lub obustronne okaleczenie, byle możliwie symetrycznie dokonane, nie pociąga za sobą żadnych prawie następstw. Zaburzenia bywają rozmaite, stosownie do siedliska obrażenia. Jeśli uległa zniszczeniu przednia część robaka, zwierzę potyka się przy chodzeniu i zdradza skłonność do padania na twarz; po zniszczeniu tylnéj części robaka, zwierzę cofa głowę w tył i pada wstecz przy próbach chodzenia. Rozległe okaleczenie bocznych części, czyli półkul wywołują takie same następstwa, jak przecięcie odnóg środkowych móżdżku, mianowicie: nieustanne i nadzwyczaj szybkie ruchy obrotowe naokoło osi podłużnéj ciała w stronę operowaną, połączone z mimowolném drżeniem gałek ocznych; nieznaczne zaś okaleczenie również wywołuje zaburzenie w równowadze, ale nie dochodzące do obrotu naokoło osi: w tym wypadku zwierzę pada często w stronę nietkniętą. W innym znowu szeregu doświadczeń, zbyt specyalnym, abyśmy go w tém miejscu przytaczać mieli, Ferrier drażnił bezpośrednio korę

móżdżku u rozmaitych kręgowców (małpy, psa, kota, królika, gołębia i ryby) za pomocą prądu elektrycznego i stale otrzymywał rozmaite ruchy skojarzone gałek ocznych, głowy, kończyn, zależnie od miejsca pobudzonego. Wyniki bezpośredniego pobudzenia w połączeniu ze zboczeniami, do których prowadzi metoda wyłuszczenia, zdają mu się świadczyć o tém, że móżdżek nie jest organém jednolitym, lecz raczéj układem, złożonym z kilku ośrodków zróżnicowanych, z których każdy ma rządzić pewną kategoryą skurczeń mięśniowych, odpowiednio przystosowaną do utrzymania równowagi ciała w jednym określonym kierunku, a zatém do przeciwdziałania zaburzeniom, występującym w tym kierunku. Wszelka dążność do zakłócenia równowagi wokoło któréjkolwiek osi ciała, oddziaływa pobudzająco na odpowiedni ośrodek móżdżkowy, w prowadzając w grę jego czynność przeciwdziałającą czyli kompensacyjną. To samo widzimy przy drażnieniu bezpośredniém prądem elektrycznym; np. drażnieniu przedniéj części robaka wywołuje skombinowane skurczenia mięśni tego rodzaju, że uniemożliwiają padanie przodem. Stąd, rzecz naturalna, że wyłuszczenie tego ośrodka, usuwając rzeczone skurczenia, powinno spowodować dążność do padania przodem, co też w rzeczywistości zachodzi.

Jako organ centralny, zawiadujący sprawą równowagi ciała, móżdżek każe przypuścić istnienie odpowiednich narządów obwodowych, które dostarczają mu za pomocą włókien dośrodkowych wrażeń, wypływających z rozmaitych ruchów i pozycyi ciała czyli informacyi o wszelkich zmianach, zachodzących w stosunku ciała do przestrzeni i mogących każdéj chwili zakłócić jego równowagę; z drugiéj strony powinny istnieć specyalne drogi, przenoszące z ośrodka do mięśni odpowiednie pobudzenia dla wywołania przeciwruchów czyli ruchów antagonistycznych, t. j. mających na celu zachowanie równowagi. Są trzy narządy obwodowe, ściśle związane tą sprawą: skóra (wraz ze znajdującemi się pod nią mięśniami, powięziami, ścięgnami i stawami, których zmienne natężenie i położenie jest źródłem tak zwanych wrażeń mięśniowych), oko, a nadewszystko pewna część ucha wewnętrznego czyli błędnika, mianowicie przewody łukowate czyli kanały półkoliste, którym z tego względu dano nawet nazwę „zmysłu statycznego".

Umieśćmy żabę na desce; jakkolwiek będziemy przechylali deskę—wokoło osi podłużnéj, czy poprzecznéj, żaba nie spadnie; jest ona w stanie wykonywać wszelkie ruchy, niezbędne dla utrzymania się na podstawie, t. j. dla zachowania równowagi. Obecność półkul mózgowych nie odgrywa w tym względzie najmniejszéj roli, gdyż wszystko jedno, czy bierzemy żabę nietkniętą czy pozbawioną półkul. Zdolność powyższa znika jednak po uprzedniém zdjęciu skóry z tylnych koń-

czyn, jak dowiódł Goltz; żaba spada z deski, jakby kawał drewna, oczywiście dlatego, że wraz ze skórą usunięto cały szereg wrażeń dotyku i ucisku, które w zwykłych warunkach pobudzają ośrodek koordynujący do wyzwolenia odpowiednich skurczeń mięśniowych, utrzymujących zwierzę w równowadze, a których nerwy czuciowe, same przez się pozbawione swych zakończeń w aparatach zmysłowych skóry, nie są w stanie ani pojąć, ani do rzeczonego ośrodka przeprowadzić.

Mniejsze, niż dotyk, ale zawsze dość wielkie znaczenie dla równowagi mają wrażenia wzrokowe, których kontrolę daje się do pewnego stopnia zastąpić brak wrażeń skórnych. Osoba, dotknięta t. zw. wiądem rdzenia kręgowego (*Tabes dorsalis*), chorobą, któréj objawami najbardziéj uderzającemi są zaburzenia w zakresie dotyku, oraz chód utrudniony i bezładny, a tak znamienny,—osoba taka chodzi, stoi i inne ruchy wykonywa dość znośnie dopóty, dopóki ma oczy otwarte; z chwilą, gdy zamyka oczy — czy to podczas mycia, czy téż podczas badania lekarskiego, — zaczyna się chwiać, zataczać i wreszcie pada. Zależność równowagi od wpływu wrażeń wzrokowych jeszcze widoczniéj występuje na jaw w wypadkach paraliżu któregokolwiek z mięśni gałki ocznéj; niezwykłe warunki, w jakich znajduje się organ wzroku, mianowicie dewiacya dotkniętego oka, sprowadzają zaburzenie równowagi, połączone z uczuciem zawrotu, które opanowuje chorego osobnika, gdy, zamknąwszy zdrowe oko, zechce śmiałym krokiem posuwać się naprzód w pewnym kierunku.

Ale, jak się rzekło, ze trzech czynników obwodowych, wyżéj wymienionych, wpływ najdonioślejszy na sprawę równowagi wywiérają wrażenia, powstające w zakończeniach nerwowych przewodów łukowatych. Wyobraźmy sobie kanał w kości skroniowéj o końcu przednim, skręconym półtrzecia raza (ślimak), tylnym—rozpadającym się na trzy kanaliki prostopadle do siebie ustawione (przewody łukowate), oraz o środku, czyli miejscu zejścia się obu końców, podzielonym na dwa oddziały (przedsionek), a będziemy mieli przybliżony i nader uproszczony obraz ucha wewnętrznego, dla awiłości budowy, nazwanego przez dawnych anatomów błędnikiem. Z trzech przewodów dwa są pionowe: górny i dolny, trzeci poziomy; każdy poczyna się i kończy w przedsionku, a przy otworze początkowym rozszerza się w bańkę. Wewnątrz przewodów kostnych znajdują się inne téj saméj formy i z podobnemi rozszerzeniami — banieczkami, ale o ściankach błoniastych i mniejszego kalibru. Przewody błoniaste pływają w płynie wodnistym, zwanym *perilymfą* i wewnątrz zawiérają podobny płyn, zwany *endolymfą*. Nerw słuchowy rozpada się na dwie duże gałęzie, z któ-

rych jedna idzie do ślimaka, druga do przedsionka, a mianowicie do banieczek.

Flourens, a po nim Valpian, Goltz i inni dowiedli, że po przecięciu przewodów poziomych, następują gwałtowne ruchy głowy w prawo i w lewo w kierunku poziomym, którym towarzyszą drżenia gałek ocznych, nadto zwierzę zdradza skłonność do obrotu naokoło osi pionowéj (mowa o gołębiach); przecięcie przewodów pionowych dolnych wywołuje gwałtowne ruchy wahadłowe głowy w górę i na dół, przyczém zwierzę często pada na wznak; przecięcie przewodów pionowych górnych wywołuje podobne do poprzednich ruchy głowy, oraz częste padanie przodem. Skombinowane okaléczenie wszystkich trzech przewodów sprowadza najdziwaczniejsze ruchy wahadłowe głowy i tułowia, skutkiem czego stanie bywa niemożliwe. Po jednostronném obrażeniu przewodów zboczenia mogą się czasem do pewnego stopnia wyrównać, po obustronném zaś zwierzęta nigdy już nie odzyskują zdolności zachowania prostéj postawy i pewnéj, jak to widać z następującego, przez Goltza podanego, opisu gołębia, z obustronném okaléczeniem. Prawe oko patrzy w lewo, lewe — w prawo; głowa, skierowana wierzchołkiem na dół, chwieje się niemal bez przerwy w téj pozycyi, niby wahadło; ruchy te słabną, jeśli zwierzę pozostaje w spokoju, wzmagają się pod wpływem zaniepokojenia lub przy dobrowolnych próbach chodzenia. Gołąb jak gdyby cierpiał prawdziwe napady zawrotu, bo się zatacza i pada. Latać nie jest w stanie: podrzucony w górę, trzepie skrzydłami nadaremnie i pada jak kamień; jest absolutnie niezdolny do ruchów, niezbędnych dla utrzymania równowagi, jeśli trzęsiemy lub przesuwamy podstawę, na któréj siedzi. Z trudem téż pije i jé, z powodu pozycyi niezwykłéj i ciągłego trzęsienia głową i tułowiem. I w patologii ludzkiéj napotykamy objawy, podobne do powyżéj opisanych w t. zw. chorobie Ménière'a: napady zawrotu i mdłości, poprzedzane lub równocześnie występujące z szumem, a czasem i bólem w uszach; badanie dokładne wykazało w tych wypadkach cierpienie przewodów łukowatych.

Jak należy tłómaczyć podobne zjawiska? Przedewszystkiém przychodzi tu na myśl możliwość ich zależności od zaburzeń w zakresie słuchu. Że tak jednak nie jest, dowodzi zachowanie się słuchu u zwierząt z obrażeniami przewodów łukowatych. Właściwym organem słuchu, uzdolnionym do przepuszczania i przenoszenia drgań popowietrza, są wyłącznie zakończenia uczuciowe w ślimaku: podrażnienie jego wywołuje wrażenie dźwięku, a uszkodzenie głuchotę, nigdy zaś utraty zdolności do zachowania równowagi. Aparat, mieszczący się w banieczkach przewodów łukowatych, nie ma nic wspólnego z sa-

mym zmysłem słuchu, gdyż jego uszkodzenie nie sprowadza stępienia lub utraty słuchu. Przypuszczenie, jakoby sama operacya przez się drogą zwrotną wywoływała omawiane ruchy gwałtowne, nie może się ostać wobec ich trwałości pomimo zupełnego zagojenia rany. Fakt, że przecięcie nerwu słuchowego wewnątrz czaszki, a więc przed podziałem na gałąź ślimakową i przedsionkową, powoduje znaczne zakłócenie równowagi, świadczy o zależności tego zjawiska od perturbacyi pewnego szeregu wrażeń, oddziaływających na jakiś organ ośrodkowy. Zdaniem Goltza, Macha, Breuera i innych, przewody półkoliste są właśnie organem obwodowym, w którym biorą początek czucia, wypływające z rozmaitych położeń i ruchów głowy i niezbędne dla utrzymania w równowadze głowy i tułowia; bez ich współudziału wrażenia skórne i wzrokowe same przez się są niezdolne do należytego pobudzenia harmonijnéj czynności ośrodków równowagi. Powstawanie tych czuć osobliwych fizyologowie tłómaczą sobie rozmaicie. Goltz sądzi, że w każdéj pozycyi głowy endolimfa wywiéra ciśnienie największe w pewnym kierunku oznaczonym na ściśle określone miejsce przewodów, pobudzając w rozmaitym stopniu zakończenia nerwowe w banieczkach. Breuer znów mniema, że obroty głowy wywołują prądy w endolimfie, ściśle odpowiadające kierunkowi i rozmiarowi tych obrotów; odczute w zakończeniach nerwowych banieczek, prądy tém samém stają się miarą do ocenienia rozmaitych ruchów głowy. Zmieniając lub znosząc czucia rzeczone, obrażenia przewodów łukowatych nieuchronnie prowadzą do niezwykłych ruchów wahadłowych głowy.

W uderzającém podobieństwie dwu szeregów zboczeń: jednego wskutek skaléczenia móżdżka, drugiego — wskutek obrażenia przewodów półkulistych, Ferrier upatruje dowód niezbity, że móżdżek jest właśnie ową stacyą centralną, w któréj zbiegają się i regestrują wszelkie czucia obwodowe, wyzwalając ruchy mięśniowe, ściśle przystosowane do potrzeb równowagi. Nic to nie znaczy, że dokonywane na nim obrażenia pozostają bez wpływu widocznego na sferę zmysłów i inteligencyi, gdyż i same czucia, o których mowa, nie koniecznie muszą przekraczać próg świadomości. W przytoczoném przez nas doświadczeniu z żabą, zdarcie skóry sprowadza zakłócenię równowagi bez wpływu na obecność lub nieobecność półkul mózgowych, właściwego siedliska percepcyi świadomej; również Flourens wywoływał utratę równowagi przez zniszczenie przewodów łukowatych u gołębi, posiadających mózg nietknięty i uprzednio pozbawionych mózgu bez różnicy. Toć i rdzeń kręgowy i przedłużony i inne zwoje, nie należące do mózgu, t. zw. zwoje podkorowe (bo znajdują się pod korą czyli szarą

masą półkul), odbiérają czucia i wyzwalają ruchy w sposób całkiem bezwiedny, przynajmniéj u zwierząt wyższych; świadomość czuć i ruchów jest zjawiskiem towarzyszącem, nie zaś czynnikiem integralnym, i każe przypuszczać równoczesny proces mózgowy, ale obecność tego procesu nie wywiéra żadnego wpływu na sam mechanizm móżdżkowy, w wysokim stopniu automatyczny.

Z teoryą wreszcie, niezwykle ciekawą i całkiem oryginalną, bo z poprzednio wyłuszczonemi o tyle tylko się wiąże, o ile wytyka i tłómaczy ich błędy, owocem nader drobiazgowéj analizy zjawisk, licznych doświadczeń na psach i małpach i wieloletniéj obserwacyi, wystąpił przed rokiem znany badacz na polu fizyologii mózgu, prof. Luigi Luciani, następca Moleschotta na katedrze fizyologii w Rzymie. To, co dotychczas podawano powszechnie za jedyną lub główną funkcyę móżdżku, leży, jego zdaniem, zupełnie po za obrębem czynności tego organu. Nie znaczy to, żeby zaburzenia koordynacyi i równowagi nie występowały po wyłuszczeniu móżdżku, częściowém lub całkowitém; owszem, mogą one dojść nawet do absolutnéj niemożności wykonywania aktów lokomocyjnych i zachowania równowagi ciała w przestrzeni, nie są jednak bezpośredniem i istotném następstwem uszkodzenia tego organu, lecz objawem pobocznym lub wtórnym, a w każdym razie zależnym od innych, niż przypuszczano przyczyn. Analiza odnośnych zjawisk ruchowych wykazuje, że tylko część ich, stosunkowo nieznaczna, należy do rzędu istotnych, czyli — jak mówią fizyologowie — w y p a d o w y c h , t. j. zależnych od utraty substancyi, gdy tymczasem reszta ma swe źródło albo w nieuniknioném przy wszelkiéj operacyi podrażnieniu ośrodków nerwowych, anatomicznie i fizyologicznie ściśle związanych z móżdżkiem, podrażnieniu, powodującém zmianę lub wzmożenie ich funkcyi normalnych (objawy podrażnienia), albo téż w zastępczéj czyli kompensacyjnéj czynności ośrodków nie uszkodzonych. Kompensacya bywa organiczna, jeśli móżdżek uległ częściowemu wyłuszczeniu: wówczas pozostała reszta organu pracuje ze wzmożoną energią, podejmując czynności części wyciętych, skutkiem czego zboczenia wypadowe stopniowo znikają lub się zmniejszają. W wypadkach zaś całkowitego zniszczenia móżdżku, gdzie o zastępstwie organicznéin, a więc o powolném znikaniu rzeczonych zboczeń mowy być nie może, inne ośrodki, nie należące do móżdżku, są w stanie wyzwalać ruchy niezwykłe, które wprawdzie nie usuwają zboczeń samych, ale przynajmniéj zapobiegają ich następstwom nieuniknionym (kompensacya czynnościowa). Należyte rozróżnianie każdéj kategoryi zjawisk jest rzeczą pierwszorzędnéj wagi; błąd wszystkich niemal bez wyjątku fizyologów polega na tém, że niesłusznie

i bez krytyki przedwstępnéj przyjmowali objawy podrażnienia i kompensacyi funkcyonalnéj za wypadowe, tych zaś całkiem nie dostrzegli w zawiłym kompleksie zjawisk lub mylnie sobie tłómaczyli, wobec czego próby zarówno Flourens'a i Magendie'go, jak również ich modyfikacye, np. Ferriera, powinny być uważane za chybione i niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy.

Powyższe cztery kategorye objawów, wykazane przez Luciani'ego, nie oznaczają czterech stadyów kolejnych w okresie pooperacyjnym, gdyż mogą one istniéć równocześnie; objawy podrażnienia jednak — rzecz prosta—muszą wszystkie inne wyprzedzać w czasie, a przynajmniéj dosadniéj się manifestować, jeżeli występują razem z innemi. Tu należą: ogólna agitacya ciała, niepokój, wykrzywienie kręgosłupa w bok lub w tył, drgawki w kończynach, obrót spiralny szyjowéj części kręgosłupa, dążność do obrotu naokoło osi podłużnéj ciała w stronę zdrową, skłonność do padania wstecz, rozmaite ruchy mimowolne lub dewiacya gałek ocznych, że pominę wiele innych objawów, któreśmy już mieli sposobność poznać. Gdy się weźmie na uwagę, że wszelkie uszkodzenie włókien nerwowych (a jest to następstwo nieuchronne wyłuszczenia móżdżku), nie znosi natychmiast ich funkcyi, lecz powołuje przedewszystkiém stan wzmożonéj czynności czyli podrażnienie, udzielające się bliższym i dalszym ośrodkom, w danym wypadku przez odnogi móżdżkowe mostowi Varola, o którym skądinąd wiadomo, iż jest niejako punktem węzłowym, wysyłającym impulsy ruchowe do wszystkich mięśni i odgrywającym rolę doniosłą w sprawie koordynacyi ruchów, wystąpienie zboczeń wyżéj wymienionych stanie się zupełnie zrozumiałém. Wcześniéj czy późniéj, wszystkie te objawy znikają, dopóki jednak istnieją, stawiają czynną przeszkodę zwykłemu przebiegowi sprawy koordynacyjnéj, zwłaszcza, że wzmagają się przy wykonywaniu aktów dowolnych. Koordynacya bowiem wymaga, aby mięśnie, których czynność jest niezbędna dla uskutecznienia pewnych aktów ruchowych, kurczyły się z odpowiedniém natężeniem i w odpowiednim porządku — równocześnie lub kolejno; tymczasem podrażnienie mostu Varola, powoduje nietylko wzmożoną innerwacyą właściwych grup mięśniowych, a więc ruchy gwałtowniejsze, niż należy, lecz nadto irradyacyą impulsów na inne grupy poboczne i obojętne dla danego ruchu, albo nawet i takie, których czynność równa się wprost negacyi danego aktu. Wystarcza np. ciągłe wyprostowanie przednich kończyn lub drgawki w jednéj kończynie, aby uniemożliwić chodzenie i pływanie; wystarcza wykrzywienie kręgosłupa w tył lub nawet zwyczajny kurcz mięśni karkowych, aby osobnik nie mógł stać prosto.

Po upływie kilku lub kilkunastu dni stan podrażnienia mija, a najaw występują zboczenia istotne czyli wypadowe; istniały one i przed

tém, ale niedostrzegalne po przez objawy podrażnienia. Przypuśćmy, że wycięto prawą połowę móżdżku. Zwierzę nie może ani stać, ani się podnieść, ani chodzić, zmuszone czołgać się po podłodze, w czém sobie pomaga wzmożoną pracą kończyn strony zdrowéj, wogóle zdradza tak wielką niemoc kończyn strony prawéj, zwłaszcza tylnéj, że z pierwszego wejrzenia łatwo je wziąć za dotknięte bezwładem połowicznym. Tak sądził Rolando, który jeszcze przed Flourens'em robił doświadczenia nad móżdżkiem, ale w sposób nader pierwotny i surowy. Że się mylił, dowodem zdolność wykonywania ruchów dowolnych w pozycyi leżącéj. W gruncie rzeczy, niemożność stania i chodzenia, uginanie się i padanie pod ciężarem ciała wypływa jedynie z braku sił, z niemocy fizycznéj kończyn strony operowanéj, gdyż, po pierwsze, niemoc znika, jeśli zwierzę znajdzie sposobność ulżenia sobie ciężaru przez oparcie się stroną operowaną o ścianę: wówczas stoi dobrze i kroczy naprzód z całą składnością; powtóre, zwierzę w stanie jest utrzymywać się na powierzchni wody, zachowywać równowagę i pływać z doskonałą koordynacyą ruchów. Dlaczego zwierzę operowane, które nie może stać ani chodzić bez podpory, utrzymuje się jednak w równowadze na powierzchni wody, tłómaczy się bardzo zwyczajnie tą okolicznością, że siła, którą wyzwalają mięśnie kończyn, lubo nie jest w stanie sprostać ciężarowi ciała w powietrzu, wystarcza jednak, aby je dźwigać w wodzie, gdzie każde ciało traci na swéj wadze. Nie wyklucza to atoli przewagi lewych kończyn nad prawemi: są one czynniejsze podczas pływania i energiczniéj uderzają o wodę, niż prawe, skutkiem czego zwierzę z trudnością może zachować położenie właściwe, stale się przechyla w prawo i głębiéj się zanurza w wodzie tą stroną, pływa zaś nie w kierunku prostym, lecz wkoło i mianowicie w stronę zdrową. Mamy zatém do czynienia nie z utratą zdolności koordynacyjnéj lub zdolności zachowania równowagi, jako zjawiskiem pierwotném, lecz jedynie ze zmniejszeniem owéj energii skurczeń mięśniowych, która zazwyczaj towarzyszy wykonywaniu ruchów dowolnych, z niemocą układu mięśniowego, z astenią mięśniową, jak nazywa ten stan Luciani, mającą swe źródło w astenii nerwowéj, bezpośredniém następstwie wadliwéj lub zniesionéj innerwacyi ze strony móżdżku.

Z astenią ściśle się wiążą dwa inne stany, zwane przez Luciani'ego atonią i astazyą. Mięśnie nasze, nawet gdy są nieczynne, znajdują się w stanie ciągłego napięcia, zależnego od ośrodków nerwowych, a pośrednio prawdopodobnie od utajonéj czynności nerwów czuciowych, napięcia, wpływającego w wysokiéj mierze na formę, stopień i trwanie skurczeń i rozkurczeń. U zwierząt z okaleczonym

móżdżkiem, Luciani konstatował stale znaczne zmniejszenie normalnego napięcia czyli atonią, a co za tém idzie, przedwczesne i niespodziewane zwolnienie czynnych mięśni. Przy zwyczajném obmacywaniu obu połów ciała, zwłaszcza bioder, można było wyczuwać masy mięśniowe o wiele wiotsze i mniéj naprężone na stronie operowanéj. Atonia może dać powód do pewnych nienormalnych ruchów złożonych, jako to: niezwykłego podnoszenia kończyn i gwałtowniejszego wierzgania niemi; pierwsze powstaje wskutek zbyt raptownego rozkurczenia mięśni wyprostnych i chwilowéj przewagi zginaczy, drugie — wskutek zbyt szybkiego zwolnienia zginaczy i przewagi rozginaczy.

Objawy astazyi wymagają szczegółowszego omówienia. Co nazywamy skurczeniem mięśnia, składa się w istocie z równoczesnych skurczeń pojedynczych włókien mięśniowych i powstaje przez prawidłowe zsumowanie całego szeregu elementarnych pobudzeń nerwowych; jeżeli zsumowanie impulsów elementarnych wskutek napotykanych przeszkód jest niedokładne, mięsień nie traci swéj kurczliwości, ale kurczenie odbywa się w sposób drżący. Coś podobnego zachodzi właśnie u naszych zwierząt. Spostrzegamy u nich nieustające drżenie głowy i tułowia, gdy, powstawszy z miejsca, nie zdecydowały się jeszcze na zrobienie kroku, drżenie wzrastające przy powolném chodzeniu i odpowiadające objawowi, któremu klinicyści nadali miano zataczania lub niepewności aktów dowolnych; rzeczywiście bowiem sprawia ono wrażenie, jak gdyby się osobnik ociągał i wahał ze zrobieniem ruchu lub szukał zwykłéj drogi, po któréj impulsy woli zdążają do mięśni. Objaw rzeczony słabnie jednak i całkowicie znika, jeśli zwierzę, pozbawione połowy móżdżku, dobrowolnie biegnie lub zmuszone jest do przyśpieszenia kroku, a to właśnie utwierdza nas w mniemaniu, że zależy on nie od zwolnionego przebiegania impulsów woli lub utrudnionéj ich transmisyi do mięśni, lecz jedynie od niedokładnego zsumowania pobudzeń elementarnych, nadającego drżący charakter skurczeniom. Ogół wymienionych zjawisk, nadających aktom ruchowym zwierzęcia charakter nad wyraz chwiejny, jako to: drżenie, przerywane skurczenia mięśni, chwianie się, niepewność ruchów, Luciani obejmuje jedném mianem astazyi.

Astenia, atonia i astazya w większym lub mniejszym stopniu — oto prawdziwe i jedyne skutki częściowego lub całkowitego zniszczenia substancyi móżdżkowéj.

Powoli możność stania i chodzenia bez podpory wraca; zwierzę, pod którém z początku wciąż się uginały nogi strony operowanéj, coraz lepiéj je wyprostowuje i coraz rzadziéj pada. Dzieje się to w nader

małym stopniu na drodze zastępstwa organicznego, czyli wzmożonéj czynności nietkniętéj reszty móżdżku, albowiem każda jego połowa, lubo znajduje się w związku z muskulaturą całego ciała, przeważnie jednak z mięśniami téj saméj strony. Na pierwszy plan występuje kompensacya funkcyonalna ze strony półkul mózgowych, ściśléj mówiąc, ze strony przednich płatów, będących siedliskiem świadomych impulsów ruchowych; one właśnie wyzwalają niezwykłe ruchy dowolne, zmierzające do tego, aby przez rozszerzenie podstawy zwierzęcia zrównoważyć brak móżdżku i zapobiedz łatwo następującéj utracie równowagi, oraz padaniu w stronę operowaną. Pies, u którego objawy wypadowe wskutek utraty prawéj połowy móżdżku niemal zupełnie się zdołały wyrównać dzięki ruchom kompensacyjnym, na nowo popadł w dawną swą niemoc po obrażeniu lewego płatu mózgowego; zniszczenie zaś obu płatów raz na zawsze pozbawia psa możności wyrównania objawów wypadowych. Kompensacya polega na wykrzywieniu kręgosłupa w stronę operowaną, oraz nadmierném odprowadzeniu na zewnątrz przedniéj kończyny dotkniętéj; w pierwszym wypadku zdrowa tylna noga przysuwa się do słabéj i wspiéra ją, w drugim — rozszerza się podstawa, a co większa utrudnione jest bierne zginanie dotkniętéj kończyny w rozmaitych stawach. Najbardziéj rażące cechy ataksyi móżdżkowéj, czyli chodu bezładnego, zależą właśnie od ruchów niezwykłych, wypływających z czynności zastępczéj półkul mózgowych. Że zdolność kompensacyjna ma swe granice, których nie może przekroczyć, rozumié się samo przez się, jak również, że wymaga nakładu sił tém większego, im obrażenie móżdżku było większe. To nam tłómaczy, dlaczego zwierzę, posiadające tylko pół móżdżku, tak łatwo się męczy, gnuśnieje z czasem i po całych dniach leży wyciągnięte w swéj klatce.

W powyższym szkicu streściliśmy tylko drobną cząstkę spostrzeżeń i uwag, zawartych w dziele fizyologa włoskiego; wystarcza to jednak dla zrozumienia jego poglądów.

Wszystkie nasze doświadczenia, powiada on, zdają się wskazywać wyraźnie, że móżdżek nie jest mechanizmem podległym woli, że nie jest organem umieszczonym pośród rozległych dróg mózgowo-rdzeniowych, przez który przebiega przynajmniéj część włókien nerwowych, przenoszących impulsy woli z mózgu do rdzenia. Tworzy raczéj organ dodatkowy, względnie autonomiczny i niezależny od reszty centralnego układu nerwowego, a zarazem pomocniczy i wzmacniający jego czynności. Ta rola pomocnicza i wzmacniająca polega na wyzwalaniu prądu wzmacniającego, który, przyłączając się do zwykłych impulsów woli, wywiera wpływ steniczny, toniczny i statyczny

na wszystkie niemal mięśnie rządzone przez wolę, nadewszystko zaś na mięśnie kończyn dolnych (czyli tylnych) i kręgosłupa, — i to jest jego funkcya główna, jeśli nie jedyna. Mylném jest zdanie Flourens'a, jakoby każda połowa móżdżku odpowiadała przeciwległéj stronie ciała; w przeciwieństwie bowiem do półkul mózgowych, znajduje się każda połowa w związku przedewszystkiém z mięśniami téj saméj strony. Nie należy go również uważać za agregat ośrodków o czynnościach odmiennych—jak to czyni Ferrier, lecz przeciwnie za organ pod względem czynnościowym jednorodny, którego każdy odcinek wywiera ten sam wpływ, co całość i zdolny jest do zastępstwa organicznego. Ma móżdżek wreszcie swój odpowiednik w licznych zwojach nerwowych, rozrzuconych po całém ciele i tworzących t. zw. układ sympatyczny; ich znaczenie fizyologiczne dla procesów życia roślinnego jest w ostatecznym rozbiorze to samo, co znaczenie móżdżku dla spraw życia zwierzęcego: tak układ sympatyczny jak i móżdżek wywierają wpływ wzmacniający, każdy w swoim zakresie.

Dr. A. Grosglik.



REFORMA BANKU PAŃSTWA.

Każde państwo europejskie posiada centralną instytucyę bankową, której interesy tak ściśle są ze skarbem państwa związane, że wzajemna pomoc i popiéranie zarówno dla banku jak i dla państwa jest niezbędném. Najstarszym z tych banków jest założony w r. 1694 bank angielski *(Bank of England)*, który stale od owego czasu dopomagał rządowi we wszystkich złych i dobrych chwilach; najmłodszym — ruski bank państwa, założony w 1860 r. Już od połowy XVIII-go stulecia istniały w Rosyi banki rządowe (w 1754 r. za panowania cesarzowéj Elżbiety założone były banki szlacheckie w Petersburgu i Moskwie) z ograniczonym zakresem działania i pierwotną jeszcze organizacyą. Wadliwość ta wystąpiła jaskrawiéj, gdy w 1858 r. po wojnie krymskiéj, wycofano z banków około 110 mil. rubli, a reorganizacya banków państwowych stała się niezbędną. Wówczas to reskryptem z 1860 r., zamieniono dawniejszy bank handlowy na istniejący dotychczas bank państwa, który odrazuześrodkował w sobie operacye, podzielone dawniéj pomiędzy banki: handlowy, pożyczkowy, kasy depozytowe i zarządy opieki społecznéj, zajmujące się finansami zakładów dobroczynnych. W taki sposób, już w początkach swego istnienia bank państwa podjął olbrzymie operacye kredytowe i pieniężne; suma wkładów wynosiła bowiem w 1859 r. we wszystkich bankach rządowych 970 mil. rubli, obrót zaś w tymże roku 1081 milionów [1]). Bank

[1]) Handwört. der Staatswissenschaften, t. II, str. 156.

państwa przejął obrachunki z depozytami wszystkich banków, na których miejsce wstępował. Stan likwidacyi dawnych instytucyi kredytowych przedstawiał się w następujący sposób: Wielki dług skarbu (350 mil. rubli) już w pierwszych latach został spłacony, z długów większych właścicieli ziemskich przeniesiono po uwłaszczeniu włościan aż do 1889 roku 315 milionów, oprócz tego wierzytelności kas depozytowych i zarządów opieki wynosiły w 1888 r. 265 mil rubli. Oddawna istniejące przy kasach depozytowych lombardy zostały zreformowane w 1862 r. i udzielają obecnie pożyczek na złoto, srebro i kosztowności, w tymże roku nastąpiła reforma rozpowszechnionych dziś wszędzie kas oszczędności.

Bank państwa jest instytucyą czysto rządową, jedyną w tym rodzaju w Europie, gdzie nawet bank niemiecki i austryacko-węgierski, najściśléj ze skarbem państwa związane instytucye bankowe, są przecież przedsiębiorstwami akcyjnemi z regulaminem, przepisanym przez rząd, zarządzane przez dyrektorów, mianowanych przez ministra, a zatwierdzonych przez radę bankową (w austro-węgierskim banku). Nowa ustawa, zatwierdzona 25 czerwca r. b., pozostawia bankowi państwa ten jego charakter. A mianowicie: bank w przyszłości jak i obecnie znajdować się będzie pod bezpośredniém zawiadywaniem ministra skarbu, wyjęto go jednak z pod zależności od rady dla państwowych zakładów kredytowych i uczyniono podległym wprost radzie państwa, do której należéć będzie kontrola kasy. Rady bankowe, w których ręku nadal, jak i dotąd, spoczywać ma kierownictwo instytucyi, jéj kantorów, oddziałów i komitetów, składać się będą z członków zarządu i urzędników, zamiast zaś 6 wybranych od szlachty i miasta wejdzie od każdego z tych stanów po jednym. Kantory i oddziały banku państwa obejmują siecią porozumiéwających się ze sobą instytucyi wszystkie ważniejsze miasta cesarstwa. W 1889 r. istniało 8 kantorów (w Moskwie, Archangielsku, Odesie, Rydze, Kijowie, Jekaterynburgu, Charkowie, Rostowie nad Donem i Warszawie) i 81 oddziałów banku; nowa ustawa przewiduje urządzenie znaczniejszéj ich liczby, oraz powstanie komitetów pożyczkowo-eskontowych, które zajmowały by się lokalnemi interesami, zbiérały wiadomości o stanie majątkowym dłużników banku i ułatwiały udzielanie kredytów przemysłowych. Ażeby zadość uczynić tym celom, komitety takie, oprócz zawiadującego kantorem, czy oddziałem i urzędników, składać się będą z członków, zaproszonych z pomiędzy kupców, przemysłowców i rolników, oraz dyrektorów miejscowych banków szlacheckich i włościańskich. Znaczenie tych komitetów wyjaśniają nam nowe funkcye banku, odnośnie do kredytu na cele przemysłowe.

Zakładowy kapitał banku państwa wynosił dotąd 25 mil. rubli obok trzech mil. zapasowego; nowa ustawa podnosi pierwszy do 50, drugi do 5 milionów. Aby dojść do téj sumy, kapitalizować się będzie 10% czystego zysku, 5% zaś pójdzie na kapitał zapasowy, przeznaczony dla wyrównywania możliwych strat, jakie bank ponieść może. Rozchody banku dokonywują się z dochodów i liczyć się muszą z ich wysokością, zależne będą przedewszystkiém od powodzenia dotychczasowych operacyi banku, które pozostają i nadal, a także od wypłacalności nowych dłużników.

Bank w przyszłéj swojéj formie będzie służył skarbowi, załatwiał wszelkie operacye bankiersko-handlowe, a także stać się może inicyatorem i kierownikiem gospodarki przemysłowéj i rolnéj, dostarczając dla obudwu kapitałów.

Jako instytucya rządowa, przechowuje bank gotówkę skarbu, dokonywa wszelkich emisyi, spłat, konwersyi i t. p. na rachunek skarbu, a więc i emisyi piéniędzy papiérowych, każdorazowo przedsiębranéj z polecenia władzy, bierze równie na siebie spłatę kuponów od pożyczek państwowych z subskrypcyą na takowe, oraz udzielanie kasom pożyczkowym gotówki dla dopełnienia obrotów.

Operacye handlowo-bankierskie, zalecone przez nową ustawę przeszły niemal bez zmiany z dawnéj. Pierwsze miejsce zajmuje tu skup i eskonto weksli. Bankowi dozwoloną jest operacya skupu i sprzedaży weksli ciągnionych i suchych, o ile zarząd uzna ją za potrzebną. Operacya ta dokonywa się w oddziałach banku, na giełdzie i zagranicą, gdyż i zagraniczne zobowiązania terminowa skupowane i eskontowane być mogą. Ustawa obok skupu i eskonta weksli przewiduje również skup papiérów procentowych, eskonto kuponów i wszelkich papiérów terminowych. Eskonto weksli stanowiło aż dotąd główną operacyę banku, wynosząc (według „Wiestnika finansów”) w 1885—1889 r. najwyższę sumę 261, w 1892 r. zaś 165 milionów rubli z normą eskonta, które od 1885 r. trzyma się stale niżéj sześciu (w 1891 i 1892 r. 4,9%. Wobec tego, że obecnie eskontowane będą solaweksle, wydawane wzamian za pożyczki przemysłowe, operacya eskontowa tylko rozszerzyć się może. Bankowi dozwolony jest skup złota i srebra, zarówno, jak i sprzedaż tych metalów. Co do depozytów piéniężnych, to bank przyjmuje je terminowo, bezterminowo i na rachunek bieżący i operacyi żadnych przy ich pomocy nie dokonywa, depozyty przeto płacą procent za przechowanie.

Wszystkie te operacye dokonywane już były za czasów dawniejszéj ustawy; rozszerzone zostały przecież obroty na rachunek bieżący. Klient sam lub przez osobę trzecią wniéść musi pewną sumę i rozpo-

rządza nią za pośrednictwem zleceń i czeków. Oddzielnéj spłaty za prowadzenie rachunków bieżących bank nie pobiéra. O ile w danych miejscowościach istnieją oddziały banku, przyjmują one przesyłkę sum i odbiór ich na rachunek swych klientów; w razie odległych wypłat, lub rachunków między oddalonemi punktami, domy i towarzystwa handlowe, zarówno, jak osoby pojedyńcze wszelkie swoje interesa mogą za pomocą oddziałów banku załatwić. Podobnież bank przyjmować na siebie może prowadzenie rachunków bieżących między osobami prywatnemi, instytucyami handlowemi, towarzystwami dróg żelaznych i t. p., spełniać wszelkie polecenia kupna i sprzedaży papiérów publicznych, a więc prowadzić interes żyrowy, którego dawniéj nie było, a który stanowi dziś jedno z głównych zajęć banków europejskich.

Nową, a bardzo obszerne rozmiary mogącą przybrać z czasem funkcyą, jest udzielanie kredytu na cele przemysłu, rolnictwa i handlu. Prawodawcy chodziło, jak się zdaje, o zasilenie przedsiębiorstw kapitałem obrotowym, a także o pokierowanie przemysłowym rozwojem kraju. Warunki, pod jakiemi udzielane będą pożyczki, zdają się wskazywać na jedno i drugie (§ 89—107). Pożyczek udziela bank państwa na solaweksle, ubezpieczone zastawem majątku nieruchomego, inwentarza rolnego lub fabrycznego (maszyn lub narzędzi), za poręczeniem lub inną rękojmią. Każda z pożyczek musi miéć wyraźnie oznaczony cel, o którym dany oddział banku państwa powiadomiony będzie, a otrzyma ją tylko ten, kto pomocy kredytu bankowego potrzebuje, aby miéć kapitał obrotowy, jako gospodarz rolny, przedsiębiorca przemysłowy, rzemieślnik, przemysłowiec domowy, wreszcie drobny handlarz. Rozmiar tego kredytu w sumie dochodzić może do pół miliona na jedno przedsiębiorstwo i do 600 rubli na jednego drobnego wytwórcę. Względnie zaś do wartości majątku wahać się będzie między 50 i 75% téjże. Jeżeli żądający pożyczki nie jest w stanie przedstawić wymaganych gwarancyi, wysokość jéj nie może przewyższać 300 rubli. Naturalnie, że udzielanie pożyczki, zarówno tam, gdzie może być daną ewikcya hypoteczna, lub poręczenie osoby, która na kredyt zasługuje, ale go sama nie używa, zależéć będzie od miejscowych komitetów pożyczkowo-eskontowych. Sprawiedliwe jéj udzielanie będzie nietylko trudną operacyą, ale i niezmiernie odpowiedzialną dla urzędników banku i rzeczoznawców, którzy o daniu pożyczki i jéj wysokości decydować będą. Kredyty przemysłowe i rolne zależały aż dotąd od towarzystw wzajemnego kredytu, pomocy, lub banków prywatnych, po raz pierwszy zaś instytucya rządowa bierze na siebie inicyatywę. Chodzi tu nietylko o sumy znaczne, potrzebne istniejącym już i wzglę-

dnie zamożnym przedsiębiorstwom, ale o pomoc i inicyatywę dla przemysłowców i gospodarzy drobnych, wreszcie o ludzi zupełnie ubogich, którym pożyczka 300 rubli da możność rozpoczęcia pewnego procederu. Pożyczek tych udzielają wprost oddziały banku, lub pośrednicy, którzy bankowi miesięczny rachunek przedstawiać muszą. Tym pośrednikom bank udziela kredytu w sumie do 1,000 rubli, o ile od ministra na większe kredyty pozwolenia nie dostali.

Już w dotychczasowéj działalności banku państwa były próby udzielania kredytu przemysłowego. Przedewszystkiém bank eskontował sola weksle właścicieli ziemskich. Było to niedostateczne, gdyż właściciel nie mógł otrzymać pożyczki, jeżeli dawniejsze długi jego dochodziły do 75% wartości majątku. Przy nowéj ustawie, takiemu właścicielowi pozostaje jeszcze zaciągnięcie długu za poręczeniem, przytém kredyt ten, który obecnie przedłużonym być może, był krótkoterminowy, oparty na tych samych zasadach, co i kredyt dla przemysłu. Obywatele więc musieli niekiedy zaciągać długi na lichwiarskie procenty, aby dług bankowy spłacić. Teraźniejszy kredyt trwa do 12 miesięcy, a w razie potrzeby może być przedłużony, a na tych samych warunkach udziela się kredyt przedsiębiorstwom przemysłowym i fabrycznym. Podobne pożyczki dawał bank polski, którego kapitał (8 mil. rubli) a także i zobowiązania przeszły w 1886 r. do banku państwa. Od tego też czasu warszawski kantor banku państwa dawał pożyczki na nabycie maszyn i narzędzi rolniczych. Do 1893 r. wydano tych pożyczek na 298 tysięcy rubli. Podobne pożyczki wydawano na melioracye rolne w czterech południowych guberniach z kapitału noworosyjskiego. Kredyt przemysłowy zaś spotyka się i w dawniejszéj działalności banku w długoterminowych pożyczkach, zaciąganych na 10, 12, 15, a nawet i 35 lat. Do 1893 r. pożyczek takich wydano na 21 milionów rubli.

Udzielanie pożyczek przemysłowych nie będzie więc całkiem nowém, ale nowemi będą ich warunki, t. j. dopełnianie kredytu rzeczowego osobistym, oznaczanie celu, na jaki przeznaczona jest pożyczka i nadzór, o ile cel ten rzeczywiście spełnia. One to oddają bankowi państwa kierunek gospodarczéj działalności, a obok handlowego i pieniężnego, nadają mu i pewne etyczne znaczenie. O ile wpływ ten w rozwoju gospodarczym jednostek niezamożnych się uwydatni, czas to pokaże.

Oprócz kredytu przemysłowego i rolnego, w zamiarach nowéj ustawy jest jeszcze udzielanie kredytu handlowego. Bank państwa wydaje pożyczki na zastaw towarów, nie podlegających łatwemu zepsuciu, albo też kwitów kolejowych i okrętowych, warrantów składo-

wych i t. p., oraz papiérów wartościowych. Pożyczki otrzymywać można tylko na towary, objęte spisem, do 80% ich wartości.

Pożyczka wydaje się na czas do 9 miesięcy, ale może być przedłużoną; przy papiérach procentowych, termin jest krótszy (6 miesięcy) ze względu na ich losowanie i zmiany, jakim podlegają ich kursa.

W ostatniém dziesięcioleciu (1882—1891 r.) pożyczek takich wydano na 105 mil. rubli. Przeważały tu pożyczki na zastaw metalów i wyrobów metalowych (83 mil.), za niemi szło zboże (17 mil.), wełna i cukier (po 2 mil.). Wreszcie w 1893 na 1894 rok do maja wydano 35 mil. rubli na zastaw zboża, złożonego na kolejach żelaznych. Charakter przeto pożyczek lombardowych zasadniczo się zmienia.

Dotychczas swe dochody czerpał bank państwa przeważnie z sum, wpływających, jako depozyty, lub na rachunek bieżący od instytucyi skarbowych i społecznych, oraz osób i zakładów prywatnych. W ciągu ostatnich trzech lat wpływy te stanowiły w milionach rubli następujące sumy [1]):

	Rachunki bieżące		Wkłady		Razem
Lata	Prywatne	Rządowe	Bezterminowe	Terminowe	
1890	65,6	139,7	122,5	40,4	368,2
1891	83,2	154,8	122,1	39,8	399,9
1892	139,1	131,8	126,8	40,7	438,2

W cyfrach tych uderza nas stałe wzrastanie prywatnych rachunków bieżących, które wyrażają potrzebę pomocy i ułatwień, jakie dać może bank dla handlu i przemysłu, przeważnie wielkiego. W Rosyi bowiem nie wszystkie, jak się to dzieje w Ameryce półn., ale tylko większe firmy posiadają swe rachunki bieżące w bankach [2]). Inne pozycye trzymają się w téj saméj mierze, a bezterminowe depozyty najważniejsze z pomiędzy nich sumy stanowią.

Za wszystkie zobowiązania swoje bank państwa odpowiada całą siłą podatkową państwa i podziela najzupełniéj losy skarbu. W razie więc strat bankowych, odpowiada rząd i przeciwnie wszelkie nadzwyczajne wydatki rządowe na banku odbić się muszą. Europa zachodnia unika wogóle takiéj ścisłéj solidarności rządów z bankami, zabezpieczając się tym sposobem od ewentualnych krachów. Naturalnie, że bank taki, będący tylko przedsiębiorstwem akcyjném pod protektora-

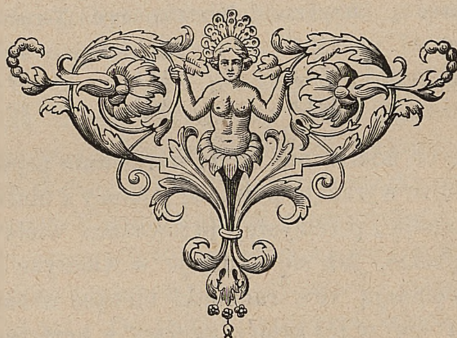
---

[1]) „Wiestnik finansów“ n-r 26, str. 1615.

[2]) Operacye żyrowe, nie wykluczone już i z dawnéj ustawy, są w nowéj określone całym szeregiem artykułów (134—137), nie można więc, jak to robi petersburski „Kraj“, czynić ustawie zarzutu, że je pomija.

tem i według ustawy rządowéj, musi miéć bardziéj ograniczone pole operacyi i mniéj wpływu na obroty piénięźne i produkcyę krajową, aniżeli to, do jakiego dążyć się zdaje ruski bank państwa. Nie może tu jeszcze być mowy o socyalizmie państwowym, ale trudno nie przyznać, że centralna instytucya bankowa, któréj filie i oddziały obejmować będą wszystkie większe ogniska ludnościowe państwa, które wszelkie potrzeby kredytu i obrotów piénięźnych obejmować może, dąży do organizacyi gospodarki i wytknięcia jéj drogi rozwoju.

Karol Weilep.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Kraushar Aleksander. „Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego, admirała i wodza Holendrów w Brazylii, starszego nad armatą koronną za Władysława IV i Jana Kazimierza 1592—1652." Petersburg, 1893. Tomów 2, 8-vo.

W rzędzie wojowników XVII-go wieku, osoba Arciszewskiego oddawna budziła zainteresowanie badaczy przeszłości rozmaitością niezwykłych przygód. Zaczynając od Albertrandego, zajmowało się nim wielu, coraz nowe dorzucając szczegóły, sumienną zaś jego biografię napisał F. M. Sobieszczański („O życiu i sprawach Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego". Warszawa, 1850). Nowy materyał rękopiśmienny, odkryty po różnych archiwach i bibliotekach zachęcił obecnie p. Kraushara do wyczerpującego przedstawienia tego iście burzliwego żywota.

Pochodził Arciszewski ze szlacheckiéj rodziny aryańskiéj, h. Prawdzic, któréj gniazdem była wieś Arciszewo w pow. gdańskim. Ojciec jego, Eliasz, był właścicielem miasteczka Szmigla. Wychowany razem z starszym bratem Eliaszem na dworze ks. Krzysztofa Radziwiłła, pana na Birżach i Dubinkach, wcześnie dał się poznać z nieustraszonego męstwa w wyprawie inflanckiéj. Za powrotem w domowe progi, mszcząc się na palestrancie Brzeźnickim, który rodzinny zagarnął majątek, napadł go i sromotnie zamordował. Skazany przez trybunał na infamię i wieczystą banicyę, musiał uchodzić z kraju. Wsparty nadal opieką i funduszami Krzysztofa Radziwiłła, wraz z bratem udał się do Holandyi, aby poświęcić się zawodowi marynarza i nauczyć sztuki wojennéj. Pracował w tym kierunku z całym zapałem w Hadze. W listach do swego opiekuna zapewniał: „że

się nie będzie wstydził nietylko w Polsce, ale między tutejszymi mistrzami". Wyuczywszy się w Holandyi sztuki fortyfikacyjnéj, zamierzał udać się do Francyi „gwoli językowi i rzeczom ognistym". Wpierw jednak skorzystał z wyprawy ks. Maurycego, śpieszącego na odsiecz oblężonéj przez Hiszpanów Bredzie i zaciągnął się do jego szeregów. O oblężeniu tém szczegółowe przesyłał relacye Radziwiłłowi.

Polubowne załatwienie sprawy gardłowéj pozwoliło Arciszewskiemu urzeczywistnić upragniony cel powrotu do ojczyzny. Wrócił tedy na krótko (1625 r.) na Litwę do swego opiekuna, skąd w tajnéj, politycznéj misyi, już w styczniu następnego roku wyjechał z jego zleceniami do Amsterdamu, a następnie do Paryża i Sedanu. Pierwszą sposobność do wykazania zdolności marynarskich nastręczyło mu oblężenie Rochelli, pod którą przybył z pomocniczą flotą holenderską i w pracach oblężniczych czynny biorąc udział, zwrócił na się uwagę. Po zdobyciu téj twierdzy pojechał do Brukselli i wdał się tu w spisek z Piotrem Kochlewskim przeciw królowi Zygmuntowi III-mu, mający na celu osadzenie Gastona Orleańskiego na tronie polskim. Wskutek przejętych korespondencyi Zygmunt III-ci zażądał wydania Arciszewskiego, na którego w kraju powstało nadto oburzenie. Widząc się zagrożonym, skorzystał ze zrobionéj sobie propozycyi przez stany holenderskie, aby wziął udział w stopniu kapitana w wyprawie zamorskiéj kompanii zachodnio-indyjskiéj do Brazylii, któréj celem miało być wydarcie Portugalczykom osad nadbrzeżnych i założenie tamże handlowych stacyi holenderskich.

Dnia 13 lutego 1630 roku 70 okrętów i 7,000 żołnierzy zawinęło do wybrzeży Pernambucu i zdobyciem jego warownéj stolicy Olindy, rozpoczęło akcyę wojenną. W nagrodę męstwa i zasług położonych w tém zdobyciu, awansował Arciczewski szybko na majora. Szereg następnych zwycięstw, w których przeważający brał udział, coraz większą zwracał nań uwagę. Sława jego czynów doszła i do Polski, i skłoniła Władysława IV-go w r. 1633-im do przebaczenia mu popełnionéj zbrodni i wezwania go do powrotu. Na razie jednak nie skorzystał z tego.

W r. 1633-im wrócił do Holandyi po nowe instrukcye z naczelnym wodzem Waerdenbruchem, który czuł się dotkniętym mieszaniem się stanów generalnych do jego władzy. Kompania zachodnio-indyjska, otrzymawszy dokładne sprawozdanie o stanie rzeczy w Brazylii, zamianowała Arciszewskiego pułkownikiem i powierzając główny ster działań wojennych, wysłała go z czterema okrętami. Kierując odtąd wszystkiemi ruchami wojennemi, walczył Arciszewski z niesłychaném męstwem i poświęceniem, coraz ważniejszych przysparzał Holendrom

nabytków. Pierwsze walne zwycięstwa na Hiszpanach jego dzielności przypisują historycy holenderscy. Wskutek nich do r. 1636 posiadłości holenderskie objęły już sześć najurodzajniejszych i najkorzystniéj położonych prowincyi. Przy całém jednak powodzeniu brakowało zarządowi kompanii w Brazylii jedności w działaniach tak cywilnych, jak wojskowych. W raportach przesyłanych do Holandyi uskarżał się na to Arciszewski, domagając się zespolenia władzy wojskowo-cywilnéj w jednéj osobie, w nadziei, że ona tylko jemu przypadnie w udziale, jako uznanie za położone zasługi. Nadzieje jednak omyliły go, wybór kompanii padł na hr. Maurycego de Nassau, walecznego, lecz dumnego i nieznoszącego obok siebie nikogo.

Prawidłowy zrazu stosunek służbowy Arciszewskiego do nowego wielkorządcy, rychło uległ zmianie. Nasauczyk zaczął go we wszystkiém usuwać na bok, czém urażony Arciszewski nie mógł się powstrzymać od oznak niezadowolenia i częstych krytyk nad sposobem rządzenia prowincyą i wojskiem wielkorządcy, budząc przez to coraz większy jego gniéw na siebie. Wśród tego otrzymał ponowne wezwanie króla Władysława IV-go powrotu do kraju na warunkach bardzo zaszczytnych. Korzystając z niego, zażądał uwolnienia ze służby i w grudniu 1637 r. wyjechał z Brazylii do Holandyi.

W Amsterdamie przyjęto go jak najlepiéj, a pragnąc odwieść od zamiaru porzucenia służby kompanii zachodnio-indyjskiéj, otoczono go czcią niezwykłą. Kompania obdarowała go złotym łańcuchem rycerskim do noszenia na szyi, kazała bić medal na pamiątkę jego czynów w Brazylii. Drukowano nadto opisy pochwalne jego zwycięstw, rytowano wizerunki. Nie brakowało Arciszewskiemu na propozycyach z różnych stron.

Mimo gorącego pragnienia powrotu do kraju, odstąpił na razie od téj myśli, zniechęcony prześladowaniem Aryanów i sprawą rakowską. Z drugiéj strony, wieści o klęskach Holendrów w Brazylii zwróciły tém większą uwagę stanów na Arciszewskiego, z którym bezzwłocznie zawiązano układy. Na przedstawienie samego stadtudera został mianowany generałem artyleryi i admirałem sił morskich Holendrów w Brazylii, tajnie zaś dano mu instrukcyę upoważniającą go do nadzoru nad czynnościami hr. de Nassau i obietnicę, iż wkrótce miejsce jego zajmie. Ujęty takiemi widokami, przyjął napowrót służbę, a Władysławowi IV-mu odpowiedział listem wymijającym, z wyjaśnieniem pobudek odmowy i zwlekającym ostateczną decyzyą.

W r. 1639 przybył Arciszewski do Recifu z 8-ma okrętami i załogą, ale zaraz na wstępie doznał zawodu i stanowczéj opozycyi ze strony rządu miejscowego. Dawna niechęć hr. Maurycego ku cudzo-

ziemcowi sparaliżowała pierwsze jego kroki. Wzajemne rozgoryczenie i rozdwojenie wzmagało się stopniowo, zwłaszcza gdy Arciszewski zaczął okazywać chęć narzucenia swéj woli kamaryli wielkorządcy. Obopólne oskarżenia i zatargi o przewagę doprowadziły niebawem do tego, że hr. Maurycy oświadczył Arciszewskiemu wobec rady brazylijskiéj, że pomoc jego jest zbyteczna, że władze brazylijskie same wiedzą najlepiéj jak prowincyą rządzić należy, że jeden z nich ustąpić musi. Wkrótce po téj gwałtownéj scenie, rada brazylijska kazała Arciszewskiego uwięzić, wsadzić na okręt i odesłała do Amsterdamu, oddając cały zatarg pod sąd stanów. Równocześnie zaś Nassauczyk, aby osłabić zarzuty i skargi Arciszewskiego, przesyłał usprawiedliwienie tego kroku. Bliskie stosunki hr. Maurycego z stadtuderem dały jego relacyi wiarę. Dotknięty boleśnie Arciszewski daremnie dopraszał się posłuchania, bezskutecznie domagał się sądu i sprawiedliwości. Dopiéro na wstawienie się ks. Radziwiłła i hetmana Koniecpolskiego uzyskał zadośćuczynienie wraz z uwolnieniem ze służby nibyto na własne żądanie i paszport od stanów Zelandyi.

Przygnębiony wyrządzoną niesprawiedliwością popadł w kilkuletnią chorobę, z któréj leczony pomyślnie, napisał dzieło: *De podagra curata.* Po dwuletniéj następnie bezczynności wrócił w r. 1646 do ojczyzny. Władysław IV-ty przyjął go łaskawie i nie zapomniał o nim. Dnia 28 kwietnia t. r. otrzymał godność generała artyleryi, czyli starszego nad armatą po śmierci Pawła Grodzickiego, z prawem i obowiązkiem dokonania lustracyi całego rynsztunku wojennego w kraju i zdania o tém należytéj sprawy. Piastując przez pięć lat ten urząd z właściwą sobie energią, chwalebnie spełniał swe obowiązki, jak świadczą jego sprawozdania, rachunki i inwentarze, nader ważne dla historyi artyleryi u nas. Opisał w nich zwłaszcza szczegółowo główne cekhauzy królewskie, działa i wszelkie rynsztunki wojenne, uregulował poniekąd dochody i wydatki, zaprowadził regestra i t. d. Upowszechnił wynalezione przez siebie mostołodzie (pontony). Losy nie dały mu jednak piastować swego urzędu w pokoju. W wybuchłych właśnie wojnach kozackich nader czynny wziął udział. Na wstępie atoli z boleścią musiał patrzéć na sromotną ucieczkę wojska z pod Piławiec i zmuszony sam uchodzić ostatni, udanemi strzałami przy działach łudził nieprzyjaciela. Podczas oblężenia Lwowa kierował obroną miasta i piękne złożył dowody odwagi i poświęcenia. Idąc z królem Janem Kazimierzem na odsiecz Zbaraża, osłaniał obóz zaatakowany przez Chmielnickiego pod Zborowem. Obrawszy doskonałą pozycyę, doradzał królowi wytrwać w oporze. Gdy jednak rady kanclerza Ossolińskiego przemogły i niezaszczytne zawarto z kozakami,

układy, podał się do uwolnienia ze służby a otrzymawszy je, złożył urząd w ręce generała artyleryi Zygmunta Przyjemskiego i wyjechał naprzód do Węgier, następnie do krewnych pod Gdańskiem, gdzie znękany wiekiem i losami zakończył życie w r. 1656, mając lat 64. Ciało jego, sprowadzone do zboru w Lesznie, miało spocząć na cmentarzu Braci czeskich, lecz właśnie w dzień pogrzebu pożar miasta wzniecony przez żołnierzy Grzymułtowskiego, obrócił je w popiół wraz ze zborem.

Oto najzwięźlejsza treść burzliwego żywota Arciszewskiego. Scharakteryzował go sam najlepiéj w liście do Radziwiłła, pisząc: „uczyłem się rzemiosła rycerskiego tak, jakem mógł i stąd służyłem wiernie, gdzie mi się trafiło." W istocie, główny to rys jego charakru, który nie stawia go wprawdzie na wyżynie bohatérów narodowych XVII-go wieku, lecz z drugiéj strony, wyróżnia korzystnie od współczesnych kondotyerów - najemników najczęściéj odpłacających się zdradą.

Dzięki pracy p. Kraushara, nowych, nieznanych dotąd wiadomości o Arciszewskim przybyło wielkie mnóstwo. Pan Kraushar ze znaną skrzętnością i sumiennością, nie szczędząc trudu, czasu i kosztów zrobił wszystko, aby zbiór materyałów do biografii Arciszewskiego, uczynić jak najzupełniejszy. Uwzględnił starannie materyały drukowane, robił poszukiwania po archiwach i bibliotekach polskich i obcych w całéj niemal Europie: w Warszawie, Wilanowie, Nieświeżu, Petersburgu, Amsterdamie, Hadze i Brukselli. Prócz kilku drobniejszych szczegółów w archiwum miejskiém lwowskiém, nie umiemy wskazać żadnych źródeł nieznanych p. Krausharowi. Na szczególniejszą zwłaszcza uwagę zasługują listy Arciszewskiego do ks. Krzysztofa Radziwiłła (z archiwum nieświezkiego) i urzędowe sprawozdania jako „starszego nad armatą koronną" z lat 1646—1650 (z archiwum wilanowskiego). Słowem, z pierwszego zadania historyka, aby zebrać ile możności najobfitszy materyał źródłowy, wywiązał się p. Kraushar znakomicie i nie zawiódł oczekiwań. Szczera przeto należy mu się wdzięcznych.

Co do metody, któréj się autor trzymał przy opracowaniu tak zabiegliwie zbiéranego materyału, musimy nadmienić, że nie zawsze pan Kr. umiał się powstrzymać od pokusy przytaczania *in extenso* listów, aktów i relacyi. Żałować należy, że niekiedy w mnóstwie szczegółów podrzędnych, często do rzeczy nie należących, gubią się istotne wiadomości o Arciszewskim. Sam autor nie uwydatnia ich wiele, trzeba więc je dopiéro wyszukiwać.

Zwięźléj napisana biografia Arciszewskiego, z głębszém uwzględ-

nieniem tego, co jest istotne, zyskałaby tylko i dałaby dosadniejszą charakterystykę człowieka. U naszego autora brak szerszych uogólnień, tła dziejowego, studyów nad społeczeństwem i czasem pewna przesada w uświetnieniu czynów swego bohatéra—przebija się niekiedy w dziele.

Rola wojenna Arciszewskiego w zapasach z kozakami jest bardzo pobieżnie traktowaną. Oblężenie Lwowa przedstawione w wielu punktach niedokładnie. Z odnośnych dyaryuszów, których znamy siedm (trzy nieogłoszone), działalność Arciszewskiego i jego zasługi położone podczas tego oblężenia, jako komendanta, możnaby odtworzyć wcale szczegółowo. To samo można powiedziéć o roli Arciszewskiego w bitwie zborowskiéj. Do obu tych faktów posłużyły autorowi między innemi opracowania: Markiewicz, „Istorja Małorossii i Kubala", „Szkice historyczne"; pierwsze przestarzałe i zupełnie bez wartości, drugie nie wyczerpujące jeszcze przedmiotu.

Oceniając przeto pracę p. Kraushara ze stanowiska naukowego, nie zaliczymy jéj do rzędu wzorowych monografii, odpowiadających w pełni wymogom wiedzy historycznéj. Wszelako rzecz jest interesująca i czyta się z wielką łatwością, a jako zbiór chronologicznie powiązanych materyałów na zawsze zachowa swą wartość. Przyszły biograf Arciszewskiego wdzięczny będzie p. Krausharowi za skrzętne i znakomite ułatwienie mu odnośnych badań.

Co do strony zewnętrznéj, przedstawia się dzieło nader korzystnie. Wydane pięknie i ozdobnie z kilku ilustracyami i portretami Arciszewskiego. *A. Czołowski.*

Th. Achelis. „Die Entwicklung der Ehe". Berlin, E. Felber, 1893, str. 125.

Umiejętność prawa porównawczego—najmłodsza z umiejętności prawnych—rozwija się niezwykle dobrze i szybko. W ostatnich kilku latach literatura tego przedmiotu powiększyła się nietylko o cały szereg nowych nazwisk—w Niemczech, Francyi, Anglii — wzrosła nietylko liczebnie pod względem ilości ogłoszonych prac, ale i jakościowo w sensie rozwiązania, albo rozwiązywania, albo wreszcie nawiązania całego szeregu problematów wchodzących w zakres jéj panowania, że staje się koniecznością prawie zarejestrować materyał już zdobyty. Szczególniéj dotyczyło pierwotnego prawa familijnego. Znakomite pod wielu względami prace Starcke'go, Hellwalda, Posta, Darguna, nad dziejami rodziny, Westermarcka nad dziejami małżeństwa—że za-

cytujemy tylko najważniejsze w postaci książkowéj wydane, pomijając milczeniem szereg cały najdrobniejszych broszur i rozrzuconych po czasopismach referatów—powołały na nowo do życia mnóstwo kwestyi, które zdawałoby się, załatwione już były. Nieodzowném i dla przyszłego badania konieczném jest zoryentowanie się śród téj drogi poprzecinanéj mnóstwem drobniejszych ścieżek, często zaś pozbawionéj metodycznego drogowskazu, chroniącego wędrowca od zboczenia na manowce fantastycznych i błędnych teoryi. Pracy podobnéj, nieosobistéj, a starającéj się ze zdobyczy lat ostatnich wydobyć to, co w nich jest wartościowego, — a odrzucić to wszystko, co było urodzoném bez cech życia, podjął się autor książki, któréj tytuł wypisaliśmy przed chwilą. W szeregu niewielkich pięciu rozdziałów rozpatruje małżeństwo pierwotne na tle ustroju rodowego; małżeństwa indywidualne (wielomęstwo, wielożeństwo, monogamię); stosunki pokrewieństwa (system pokrewieństwa przez same tylko matki); patryarchat (małżeństwo przez porywanie żon, małżeństwo przez kupno, wreszcie drogą wysługi); stopnie pośrednie pomiędzy systemami pokrewieństw przez matki i przez ojców tylko; system pokrewieństwa przez rodziców; sztuczne pokrewieństwa; zawieranie małżeństwa i rozwiązywanie ślubów małżeńskich.

Oczywiście, nie możemy, ani nie mamy zamiaru referować tutaj całkowitéj pracy T. Achelisa. W wymienionych rozdziałach znajduje się wiele szczegółów dawno już znanych czytelnikowi naszemu z tych chociażby prac, które z dziedziny naszéj były publikowane na tém miejscu poprzednio. Wybierzemy i podkreślimy takie więc tylko szczegóły, na które mniéj dotychczas zwracano uwagi u nas.

Hellwald, niedawno zmarły, a tyle zasłużony popularyzator niemiecki, w ostatniéj swéj większéj przed śmiercią wydanéj pracy („Dzieje rodziny”, 1889 r.) zauważył (str. 368), że istnieje wielka różnica pomiędzy poligynią i poligamią. Ostatnia nie jest, jak mówimy zwykle wielożeństwem, ale wielomałżeństwem. Wiele ludów w starożytności i w czasach obecnych pozwalają tylko na posiadanie jednéj żony prawnéj *(Eheweib)*, są więc monogamicznemi, mimo to panuje u nich wielożeństwo (poligynia, gyne = grec. żona). Prawo bowiem i zwyczaj pozwalają mężczyznie na posiadanie obok żony prawéj albo niewolnic, albo nałożnic *(konkubiny* — stosując to do czasów naszych) w ilości dowolnéj, stosownie do majątku i stanowiska. Poligamia (dosłownie małżeństwo wielorakie) mogła wyłonić się z poligynii tylko, wraz z wytworzeniem się i określeniem pojęcia małżeństwa; jest urządzeniem prawném i może zaniknąć niezależnie od zniesienia wielożeństwa. W istocie rzeczy też — ostatnie śród mono-

gamicznych ludów nigdzie nie jest zwyciężone zupełnie i żyje w dalszym ciągu pod różnemi postaciami. W ten sposób zapoznajemy się z dwoma rodzajami małżeństwa powstałemi na gruncie patryarchatu; małżeństwo, jako ściśle unormowany stosunek, następnie nałożnictwo albo konkubinat. Ostatnie związane jest z instytucyą niewolnictwa, ze stosunkiem państwa i służby, tak jak wytworzyło go surowe pojęcie własności. I daléj—rzecz ciekawa—pomimo najzupełniejszéj niewoli kobiéty (*resp.* żony w sensie faktycznym), w stanowisku małżonki prawnéj odczuwać się zdają wszędzie wspomnienia z czasów prawa macierzystego. Otrzymujemy w ten sposób trzy główne typy: małżeństwo, wielomęstwo (związek jednéj kobiéty z kilkoma mężczyznami), wielożeństwo (związek jednego mężczyzny z kilkoma kobiétami) i wreszcie monogamię—jako związek jednego mężczyzny z jedną kobiétą. Można także, jak to czyni Post ostatnio, klasyfikować w ten sposób, że dzielimy istniejące typy na dwie kategorye, na wielomęstwo i jednomęstwo, rozkładając je znowu na dwa rodzaje jednożeński i wielożeński.

Książeczka Achelisa, tak jak i poprzednia jego praca, znana inna z przekładu „Wisły" („Dzieje etnologii"), nie jest pracą, którąby miała pretensye do samodzielności. Jest tylko kompilacyą w najskromniejszém znaczeniu tego wyrazu—autor najczęściéj mówi nawet cytatami z innych dzieł oryginalnych. Z tego atoli stanowiska, o jakiém mówiliśmy wyżéj, zadaniu owemu sprostać może bardzo właściwie. I u nas wartoby było napisać tego rodzaju kompilacyę. Nie czytając oryginałów, znalibyśmy przynajmniéj referaty o nich. I to znaczy coś — więcéj niż zero. *S. P.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Z dogmatem**. Powieść *M. Wołowskiego*. Warsz., Gebethner i Wolff, 1894, str. 291. — Powieść ta samym tytułem wyzywa porównanie z arcydziełem Sienkiewicza. Jeśli Płoszowski był pomimo całego swego sceptycyzmu istotą żywą i prawdziwą, to przeciwstawiona mu bohatérka powieści p. Wołowskiego, panna Zuzanna, dokazuje szeregu cudów przypominających hrabiego Montecristo. Skoro chodzi o walkę z pesymizmem, nie możemy brać za złe autorowi trochę fantazyi, ale w dogmacie jego uderza jedna straszna anomalia, któréj u Dumasa nie spotykaliśmy. Mianowicie do dogmatu tego należy szczególna beznadziejna walka z nauką teoretyczną. Nauka ma być usprawiedliwioną tylko o tyle, o ile prowadzi do praktycznych celów, o ile przynosi bezpośredni pożytek praktyczny. To téż uczony archeolog Ryszard jest przedstawiony jako ofiara nieszczęśliwa naukowych badań. Jest on „blady, anemiczny, ze wzrokiem prawie nieruchomym i z wyglądem przypominającym raczéj automat, aniżeli człowieka" (str. 109). „Zapuszcza wzrok w przestrzeń, zapominając o całym świecie" (109, 212). Gdy Ryszard jako cel swój podaje „naukę dla nauki", wzbudza najwyższe politowanie w Zuzannie, która pragnie „obudzić tę mumię", co, jak późniejszy przebieg wypadków świadczy, znaczy po prostu zaprządz uczonego do praktycznych zajęć przemysłowych. Ryszard staje się tedy przedmiotem pieczołowitości siostry swéj. „Podobny do figurki z *papier-maché*, ożywiający się wtedy tylko, gdy mowa była o staréj bibule lub piśmie runiczném, najtrudniejszy był do ożywienia" (167). Zuzanna „słuchała jego wywodów, wielce zresztą nudnych, z gramatyki porównawczéj języków i objaś-

nień zygzaków, za pośrednictwem których ludzie dawniejszych czasów wyrażali swe myśli na kamieniach." „Mówił to z takim zapałem, tąk ogniście, iż trudno go było poznać". — I ten zapał do badań lingwistycznych i archeologicznych czyni według mniemania autora z Ryszarda „zbłąkanego", którego podstępem dopiéro nawracać trzeba do „dogmatu", t. j. jak się okazuje na końcu powieści, do produkcyi nafty! Cała powieść jest tak pełna nieprawdopodobieństw, że karykatura uczonego w osobie Ryszarda nie zasługiwałaby na szczególną wzmiankę, gdyby nie fakt, że takie poglądy na „naukę dla nauki" istotnie u nas grasują, i że wielu skądinąd najpoważniejszych ludzi uczonym ich „zabawkę" wybacza jedynie pod warunkiem, żeby ich nauka przynosiła bezpośrednie praktyczne korzyści, albo przynajmniéj żeby się znalazł ktoś taki naiwny, jak np. państwo, co za tę naukę teoretyczną dobrze zapłaci lub uczonemu da dobrą posadę. Taki wstręt do nauki teoretycznéj tłómaczy się przeważaniem potrzeb materyalnych. A jednak, nawet jeślibyśmy zaspokojeniu tych potrzeb materyalnych w jakiéjkolwiek epoce przyznali pierwszeństwo, to zawsze jeszcze praca teoretyczna, nauka dla nauki, będzie miała racyę bytu i będzie zasługiwała na nasze uznanie, gdyż jakkolwiek teoretycy sami rzadko kiedy dbają o praktyczne zastosowanie swéj wiedzy, to wiedza zawsze znajduje zastosowanie, często jaknajniespodziewaniéj. Gdy Witkowski i Olszewski badali warunki skroplenia tlenu i wodoru, nie domyślali śię, że angielski górnik będzie ich odkryciu zawdzięczał bezkarne przebywanie wśród gazów kopalnianych, gdzie nawet lampy gasną. To samo co tak popularném stało się w zakresie nauk przyrodniczych, mianowicie rozliczne zastosowania praktyczne odkryć teoretycznych, będzie miało miejsce i w zakresie nauk historycznych i filozoficznych, gdy najważniejsze zastosowania tych nauk, wychowanie i polityka, dostaną się w ręce ludzi fachowych, czego niestety dotychczas u nas przynajmniéj jeszcze oczekujemy. — Więc niesłusznie dogmat p. Wołowskiego piorunuje przeciwko nauce dla nauki. Nawet dla tych, dla których cel podobny jest niezrozumiałym, ci, którzy do niego dążą, są istotnie pożyteczni, choćby mimo swéj wiedzy i woli.

— **Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare** (Szekspira) w dwunastu tomach, przekład *J. Ulricha*, z objaśnieniami *J. I. Kraszewskiego*. Tom I-szy, część I-sza: „Król Jan", „Król Ryszard II", „Król Henryk IV-ty". — Część II. Wydanie nowe, z rycinami tytułowemi. Kraków-Warszawa, Gebethner i Wolff, 1895, str. VII, 367. — **Arcydzieła Szekspira** w przekładzie *Paszkowskiego*, *Koźmiana* i *Kasprowicza*.

Lwów, nakład księgarni polskiéj. Dotąd 10 zeszytów, str. 496. — Równocześnie wychodzące dwa zbiorowe wydania utworów dramatycznych największego dramaturga angielskiego wskazują wyraźnie, że silnie odczuwano potrzebę takiéj ich popularnéj, dostępnéj pod względem ceny i dogodnéj co do formatu edycyi. Dotychczasowe zbiory albo były nie kompletne i w handlu księgarskim wyczerpane, albo téż do codziennego użytku wielce niewygodne, jak wielkie trzytomowe ilustrowane wydanie, które wychodziło pod redakcyą J I. Kraszewskiego. Myśl zatém podjęcia nakładu na nową edycyą ze wszechmiar na uznanie i pochwałę zasługuje. A i wykonanie téj myśli zarówno przez jedną, jak przez drugą firmę przedstawia się bardzo szczęśliwie. Firma warszawska postanowiła dać przekład wszystkich dramatów, kronik dramatycznych, tragedyi i komedyi Szekspira w jednolitym przekładzie Ulricha, obrachowując całość na 12 tomów średniéj objętości i naznaczając za nią istotnie bardzo przystępną cenę 6 rubli w prenumeracie. Przed każdym utworem podana została rycina oraz wstęp pióra Kraszewskiego, wzięty z wielkiéj edycyi ilustrowanéj. W przypiskach pod tekstem, bardzo zresztą nielicznych, znajdują się objaśnienia historyczne po większéj części. Wydanie jest bardzo staranne pod względem korekty, bardzo pięknym i wyraźnym drukiem się odznacza i dobrym papiérem. W ocenę wartości przekładów Ulricha teraz się nie wdajemy; gdy ich będzie więcéj, poświęcimy im artykuł osobny. Wydanie lwowskie udostępnia nabywcom możność kupienia dzieła przez sprzedawanie go zeszytami po 15 kopiejek. Druk równie tu jest dobry jak w wydaniu firmy warszawskiéj, papiér zdaje się trochę cieńszy, ale nie wpływa to wcale ujemnie na czystość i czytelność druku. Przekłady, jakich tu użyto, mają już ustaloną swą sławę; Paszkowski i Koźmian poczytywani są za najlepszych u nas tłómaczów Szekspira. Czego w ich tłómaczeniu nie ma, dokona p. Jan Kasprowicz, który dał się już poznać swoim przekładem „Hamleta”. Wydawnictwem kieruje Henryk Biegeleisen, który ma do téj edycyi dodać monografię, przedstawiającą życie i twórczość Szekspira, wraz z oceną i objaśnieniami „wszystkich jego utworów od najrańszéj doby aż do ostatnich lat”. Prócz tego da on studyum p. t. „Szekspir w literaturze i sztuce polskiéj”, gdzie szczegółowo ocenić ma wszystkie przekłady, krytyki i przedstawienia sceniczne Szekspira u nas, oraz wpływ jego na literaturę polską. Całość obliczona jest na 40 mniéj więcéj zeszytów; a więc wyniesie również 6 rubli. Jeżeli jednak z obliczenia arkuszy i z tytułu „Arcydzieła Szekspira” wnosić wolno, nie zawrze ta edycya wszystkich utworów wielkiego dramaturga, lecz ich wybór, w rozległym oczywiście zakresie. Dotychczas doszło do

nas 10 zeszytów, zawierających przekład następujących utworów: „Romeo i Julia" (tłóm. Paszkowskiego, prolog. tł. Kasprowicza), „Hamlet" (tł. Paszkowskiego), „Otello" (tł. tegoż), „Król Lir" (tł. tegoż), „Makbet" (początek, tł. tegoż). Zeszyty wychodzić mają trzy razy na miesiąc, całość ma się ukazać w ciągu roku. Czytelnicy mają więc do wyboru jedno albo drugie wydanie; na tém mogą tylko skorzystać. W każdym razie wydrukowanie n o w e g o tłómaczenia będzie zasługą firmy warszawskiéj.

— *A. de Préville.* **Les societés africaines, leur origine, leur evolution, leur avenir.** Paris, XXII i 345. — Pomimo swoich usterek, książka A. de Préville'a należy do wybitniejszych prac, jakie ostatniemi czasy wyszły w zakresie etnografii socyologicznéj. Autor zabrał się do rzeczy bez przygotowania, lub, ściśléj, z pewnemi uprzedzeniami, które naturalnie nie wpłynęły dodatnio na jego pracę. Zajmują go więc pytania, które oddawna zostały wygnane z zakresu ścisłéj wiedzy, np. usiłuje związać rodowody Murzynów z tradycyami o Chamie. Równie umysłu swego nie przetrawił w retorcie nowoczesnego poglądu na sprężyny rozwoju kulturalnego, ani nie zrozumiał ducha społeczeństwa pierwotnego. Nadto rozporządza bardzo szczupłym zasobem faktów, wszystko co nie zostało wydrukowane po francusku, nie zostało przez niego uwzględnione. Są to wady bardzo wielkie i tylko dziwić się należy, że de Préville, mimo tego wszystkiego, napisał książkę tak oryginalną a przedewszystkiém tak pouczającą. Jest on teoretycznym uczniem zachowawcy le Play'a i za wzór wziął sobie monografie, wydawane przez tę szkołę i kréślące atmosfery pożycia rodzinnego w różnych zabytkach globu ziemskiego. Te próby rozciągnął on na Afrykę. Nauka etnograficzna w pracy naszego autora otrzymuje pierwszą próbę znalezienia związku przyczynowego pomiędzy zwyczajami społecznemi a warunkami bytu, bo chociaż było sporo luźnych wycieczek w tym kierunku, nie było wszakże żadnéj pracy systematycznéj. Z zadania swego w niektórych ustępach de Préville wywiązał się w sposób, który nie wiele pozostawia do życzenia. Rozdział, poświęcony wykazaniu, jak cały ustrój społeczny górali massajskich, konsekwentnie wypływa z trybu pasterstwa górskiego i jak ta okoliczność, że bydło może miéć dwie tylko stacye, letnią i zimową, przy osiadłym sposobie życia wpływa na usunięcie dziatwy z pod wpływów rodziców, bezwarunkowo jest nadzwyczaj pouczający. A staje się tém ciekawszy, że autor zestawia byt górali afrykańskich z Owerniakami, Szkotami i Szwajcarami, oraz wykazuje, w jaki sposób ustawa społeczna Sparty podobnie powstała u górali — Doryjczy-

ków. Równie ustępy, poświęcone przedstawieniu społeczeństwa pasterskiego wzdłuż śródziemnopomorza, oraz w pustyni, odznaczają się zręczném uszeregowaniem faktów. Autor roztacza przed nami obraz, jak przeważanie w trzodzie tego lub innego zwierzęcia wpływa na tryb życia i ustrój społeczny plemienia, jak „morze piasków", na wzór żywiołu istotnie morskiego sprzyja powstaniu ruchliwości wymiennéj. Natomiast bardzo słabo wyszły części, zajmujące się społeczeństwami stepów południowych, jeszcze zaś gorzéj te, gdzie autor kreśli społeczeństwa środkowéj Afryki i usiłuje związać ich zwyczaje z warunkami myśliwskiego i rolniczego typu życia. Cokolwiekbądź jednak, książka Préville'a jest bardzo cennym nabytkiem. Jest ona zwiastunką zgoła nowéj metody — rozumowanéj — w wyjaśnianiu zjawisk etnograficznych. *L. K.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Zapisy i sukcesorowie. — Widzenie rzeczy z drugiéj strony. — Odosobnienie prasy. — Zapis Zofii Chełmickiéj i jego historya. — Co się z nim stanie? — Opinia publiczna i interesa publiczne. — Skargi na służbę wiejską i listy Radomczyka w „Słowie". — Wyrazy sprawiedliwości. — Młodzież fachowa w Łodzi. — Niechęci i uprzedzenia. — Chopin i jego pomnik. — Jubileusz Jurkiewicza.

Już dawno zapis publiczny nie wywołał tylu głosów, sporów i napomnień, co zapis hr. Eligiusza Suchodolskiego, czyniący właścicielem Gościeradowa Towarzystwo dobroczynności w Warszawie.

Wartość tego zapisu oceniają rozmaicie: jedni na 2½ mil. rubli, inni zaledwie na milion. W każdy razie jestto zapis poważny, jak na nasze stosunki — znakomity.

Co się z nim stanie? i jakie będą losy Gościeradowa? wywołuje właśnie zaciekawienie.

Testator, jak wiadomo, dożywotnikiem Gościeradowa uczynił brata swego, Edmunda, po którego śmierci dopiéro dobra stać się mają wieczystą własnością Towarzystwa dobroczynności. Dożywotnik zamierza zaś podobno, czy to przez obalenie testamentu, czy téż przez odpowiedni układ z Towarzystwem, wrócić do praw jedynego sukcesora brata, czyli do własności Gościeradowa. Mówią wprawdzie i o innych układach i kombinacyach, których jednak nie ma powodu teraz wymieniać, bo idzie nie o jeden zapis, lecz o ogólny antagonizm między wolą testatorów a pozostałymi spadkobiercami.

Przy téj okazyi występuje właśnie stara, zawsze w analogicznych wypadkach powtarzająca się kwestya: zapis dobroczynny staje w koli-

zyi z prawami lub pretensyami pozostałych krewnych testatora, którzy żądają unieważnienia legatu. Obrońcy dobra publicznego w prasie gromią wtenczas chciwych krewnych, sięgających po grosz, przeznaczony dla biédaków. Tak już było nieraz, powtarza się obecnie przy zapisie Suchodolskiego.

Karcenie publiczne sukcesorów, obalających testamenty, nie odnosi dotychczas, jak widzimy pożądanych skutków. Przedstawiciele interesów publicznych — swoje, i oni — swoje. Tamci chcą piéniędzy dla instytucyi, ci—dla siebie. Ponieważ już wszelkie sposoby gromienia i wstydzenia chciwych sukcesorów wyczerpały się; więc odkładając tym razem na bok to stępiałe i nieużyteczne narzędzie, zobaczmy, jakie są wogóle pobudki i pojęcia. Nie ma tu mowy o żadnym poszczególnym zapisie, ani o żadnym poszczególnym, łaknącym grosza lub lasu sukcesorze, lecz o ogóle tych stosunków, któreby zatytułować można: „Walka o testamenty”.

— Jakież są wasze prawa, pretensye i pobudki?

— Jak najlepsze. Jeżeli obalimy testament — *eo ipso* mamy za sobą prawo formalne. Jeżeli zaś nie—to zostaniemy pokrzywdzeni.

— Alboż X. nie miał prawa rozporządzać majątkiem według własnéj woli?

— Majątek przekazała mu rodzina i on powinien go był również rodzinie przekazać. Tak zalecają dobre tradycye szlacheckie i obywatelskie.

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego? Cóżby się stało wówczas, gdyby każdy powziął ideę zapisywania majątku na cele, jakie mu się podoba? Cele! A czyż opatrzenie losu pozostałéj rodziny i familii nie jest celem? Przecież i filantropia nie ma innego celu nad wychowywanie opuszczonych dzieci, nad uchronienie starości od nędzy. Bardzo to piękne i godne uznania jest wówczas, kiedy się nie ma obowiązków względem swoich, którzy także są opuszczeni i potrzebują pomocy. Po cóż więc kierownictwo owego celu składać w obce ręce, machinalnie i powoli działające, kiedy tego można dokonać samemu bez porównania skuteczniéj i doraźniéj. Jeżeli ci krewni są lekkomyślni lub próżniacy, to rzecz inna i testatorowie dobrze czynią, zamykając im przez zapisy dobroczynne drogę do spadku. Ale bywa także i wręcz przeciwnie. Ktoś jest samolubny, zły i chciwy. Żył długo, bardzo długo i o jego filantrapii ani duchu obywatelskim nikt nie słyszał. Miał około siebie bliższych i dalszych, krewnych i niekrewnych, których mógł na ludzi wykierować, w krytycznéj chwili pomódz, los zapewnić. Oglądałby jeszcze za życia owoce swojéj dobroci i ofiarności. To przecież także

czegoś warte. Nic podobnego nie było. Nareszcie po długiém jałowém i złośliwém życiu umiéra... Otwiérają testament, który obwieszcza światu zapisy dobroczynne. W jakiż to więc sposób ten samolubny, chciwy i pusty człowiek, który na niedolę ludzką przez długie życia swoje wzgardliwie patrzył, urósł nagle na hojnego dobroczyńcę? Odpowiédź prosta: przemówiła próżność, żądza pośmiertnego rozgłosu i niechęć do pozostałych, którzyby mieli prawo do spadku. „Niech wezmą dziady i podrzutki, byle nie oni”. A skądże się wzięła owa niechęć? zapytacie. Nie trzeba było dla niéj szczególnych złych czynów, ani szczególnie złych usposobień u pozostałych spadkobierców. Źródło téj niechęci może tkwić w pewnym rysie psychologicznym. Są ludzie, którzy nie lubią następców, co wziąć po nich mają sławę lub dostatki. Od téj niechęci nie zawsze są wolni nawet rodzice...

I tak daléj, w ten mniéj więcéj sposób, mówił jeden z „sukcesorów”. Opinie podobne wyznaje wielu z pośród tych, którzy obalają testamenty i wyznaje szczerze.

Pojęcia dobra społecznego nie robią tak wielkich postępów, żeby przemogły egoizm, wtedy, kiedy chodzi o zysk osobisty. Cóż dopiéro mówić, kiedy dla idei pożytku publicznego wyrzec się trzeba spadku, należnego według tradycyjnych wyobrażeń o solidarności rodzinnéj spadkobiercom! Wśród rodzin szlacheckich zwłaszcza, nie rzadko po dziś dzień w rodowo-dynastycznych pojęciach wychowanych, wyobrażenia takie są nieraz i żywe i z dobrą wolą wyznawane.

I dlatego téż prasa, ferująca przez surowe usta swoje wyroki nagany i oburzenia, jest w roli téj odosobnioną. I dopóki opinia publiczna nie podtrzyma jéj, nie zmieni swéj obojętności względem sukcesorów — odosobnioną zostanie. Ta zmiana z publicznego stanowiska jest pożądana i konieczna, lecz nie przyjdzie sama przez się. Trzeba na to wielu warunków, między któremi i tego, ażeby ci, komu to powierzone, i ogół, interesowali się szczerze powstałemi i powstającemi zapisami.

* * *

„Sukcesor”, którego słuchaliśmy powyżéj, służyć może za typowy okaz człowieka, wyznającego dobrodusznie przekonanie, że każdy ma przedewszystkiém obowiązek przekazania majątku rodzinie lub krewnym. Przekonanie takie odziedziczył on tradycyjnie i wyznaje je z dobrą wiarą. Gdyby go ktoś, mozolnie i systematycznie, potrafił przekonać ze stanowiska moralnego lub społecznego, że zapis na pożyteczny cel publiczny powinien być uszanowany—uszanowałby go istotnie, bo jestto człowiek dobréj woli.

Inaczéj rzecz się ma z tymi, którzy nie obalają wyraźnie testamentu, bo brak im do tego i tytułu prawnego, lecz obdarzeni zaufa-

niem testatora, i powołani do wykonania lub strzeżenia jego rozumnych i dobrych zamiarów nie spełniają swego obowiązku.

O tak smutnym obrocie obywatelskiéj myśli opowiedziała właśnie niedawno w 3-ch numerach (36 — 38) „Gazeta sądowa" p. t.: „Dzieje zapisu Zofii Chełmickiéj".

Zofia Chełmicka umarła bezpotomnie i własnoręcznym testamentem, oprócz legatów dla osób prywatnych, zapisała 150,000 rubli na następujące instytucye: po 15,000 rs. dla zakładu paralityków, instytutu głuchoniemych, na utrzymanie sierot w zakładzie Ś-go Kazimierza i dla biura nędzy wyjątkowéj. Główna jednak treść testamentu była taka: „Przeznaczam sumę rs. 90,000 jako fundusz żelazny na stypendya szkolne pod zarządem władzy edukacyjnéj, a to na następujących warunkach: Suma ta ma być hypotecznie ubezpieczona na nieruchomości ziemskiéj lub warszawskiéj, zaraz po pożyczce Tow. kredyt., pod nazwiskiem stypendyum Leona i Aleksandry Koziebrodzkich, a rodziców moich. Procent od niéj ma być przeznaczony dla 30 stypendystów po 150 rs. rocznie dla każdego. Kandydatami do stypendyów tych mają być tylko katolicy, dzieci oficyalistów wiejskich, mianowicie: ekonomów, pisarzy, kucharzy, ogrodników, lokai i stangretów, którzy przynajmniéj lat dziesięć w jedném miejscu zostawali w wiejskiém gospodarstwie." Co rok więc 30-tu chłopców korzystałoby ze stypendyów i według życzenia testatorki, powinni być oddawani do szkół rzemieślniczych ze szczególném uwzględnieniem ogrodownictwa.

Widzimy, że zapis ten był pomyślany dobrze i że odpowiadał istotnym potrzebom społeczeństwa, zwłaszcza zaś téj niższéj warstwy, z pośród któréj mogłoby wyjść corocznie kilkadziesiąt fachowo przygotowanych jednostek. Zapisy dobroczynne przeznaczane bowiem bywają często na cele nie najpilniejsze, lecz na te, które wskazuje rutyna filantropijna. Zapisodawcy więc (jak wskazywaliśmy tutaj, pisząc o zapisach, w lipcu) powinni powoływać do życia i rozwijać takie środki, które wzmacniają intensywność społeczeństwa i przysparzają mu fachowych, do pracy produkcyjnéj przygotowanych członków, czyli że robiąc tak znaczne zapisy, pamiętać powinni i o szkołach technicznych i rzemieślniczych, których nam tak bardzo brakuje, o szkołach rolniczych wiejskich i t. p.

Chełmicka w testamencie swoim pamiętała o tych potrzebach. Cóż się więc dzieje z jéj rozumnym zapisem? Jak dotychczas — to nic dobrego. Testatorka na całym majątku swoim zapewniła dożywocie mężowi i mianowała egzekutora. Ponieważ większa część zapisu składa się z sum lokowanych na majątkach ziemskich lub nieru-

chomościach miejskich, egzekutorowi zaś testamentu przysługuje prawo decydowania o odpowiedniości lokacyi hypotecznéj, a dożywotnik zwolniony od kaucyi, może podnosić sumy, więc od dobréj woli jednego i drugiego zależy całość i bezpieczeństwo tych sum, tém samém i przyszłość stypendyów.

Jakże powierzonego sobie zapisu, który posiada dużą wartość społeczną—strzegą? Opowiada właśnie o tém „Gazeta sądowa". Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe, trzeba zawołać, czytając sprawozdanie „Gazety". Prawdziwe, bo zaczerpnięte z faktów, z wyroków i z akt sądowych.

Dowiadujemy się więc, że spadały sumy z hypotek, przeznaczone na żelazny kapitał wieczysty przyszłych stypendyów i spadały dlatego tylko, że tak oczywiście chciano i uplanowano; dowiadujemy się, że majątek ziemski Ołdaki, własność zmarłéj, objęty masą czynną, został sprzedany przez licytacyę, bo dożywotnik nie opłacił rat pożyczki Towarzystwa kred. ziem., chociaż kupił jednocześnie inny majątek; dowiadujemy się, że należąca do spadku suma 17,000 rubli w listach zastawnych została przez dożywotnika za zezwoleniem egzekutora testamentu podniesioną, a na zapytanie, gdzie została ulokowaną, pierwszy odpowiedział, iż nie jest obowiązany do składania rachunków, drugi zaś—wstrzymajcie śmiech—że nie pamięta; dowiadujemy się o procesach i epizodach, graniczących z jednéj strony z komizmem, z drugiéj zaś bardzo smutnych i źle mówiących o pojęciu odpowiedzialności publicznéj; dowiadujemy się nareszcie, że chociaż zaledwie lat dziesięć minęło od śmierci Zofii Chełmickiéj — majątek spadkowy tak się zmniejszył, że dziś nie wystarczyłby nawet na zaspokojenie $^{3}/_{4}$ części legatów. Cóż będzie za drugie lat 10, za 20 przy podobnym systemie opieki majątkiem publicznym? — zapytajmy, i czy system podobny nie jest dowodem obojętności opinii publicznéj?

Od téj za bardzo możną i wpływową uważanéj przez wielu pani—wygląda się w takich i podobnych razach wyroku, nagany, pomocy, skarcenia. Trzeba pamiętać, że to, co nazywamy opinią publiczną, często jest istotną siłą, lecz częściéj jeszcze — fikcyą. Nerwowa to i kapryśna dama, nieregularna i niestała, zmieniająca zarówno łatwo swoje zdania, jak i swoich faworytów. Nikt lepiéj od niéj nie oszukuje, nikt fałszywszego świadectwa nie daje, nikt nie jest pobłażliwszy dla zręcznych nicponiów, nikt niesprawiedliwszy dla cichéj zasługi lub uczciwéj dumy. Gdyby artyście polecono usymbolizować opinię, powinienby wskazać lekkomyślną kobiétę z workiem plotek z jednéj, a koszykiem grzechów z drugiéj strony. Niezawodnie, że

umié ona być surową i wtenczas dowodzi swego znaczenia i mocy. Ostatecznie, wyroki jéj dosięgną najczęściéj winowajców, byle jéj tylko nie zamykać oczu i nie pozwolić na drzémkę.

Mniejsza jednak o określenia téj elastycznéj i niepochwytnéj siły. To tylko pewna, że w sprawie zapisów dobroczynnych jest ona niejednokrotnie albo bezsilną, albo nieszczerą.

Jakiekolwiek są pretensye sukcesorów, uzasadnione czy nie uzasadnione, ludzie, powołani do strzeżenia zapisów na cele publiczne, powinni ich bronić stanowczo i konsekwentnie, boć trudno wchodzić w pobudki prywatnéj i rodzinnéj natury, których rozwikłać najczęściéj zresztą jest niepodobieństwem wobec tego, że główny aktor nie żyje. W obronie interesów publicznych trzymać się trzeba pewnéj logiki, niekiedy nawet bezwzględności, bo taką już jest ich natura, że względów prywatnych, bez krzywdy swojéj znosić nie mogą.

I żałować téż bardzo trzeba, że dotychczas ta niepoślednia rubryka w budżecie celów społecznych jest lekceważoną, oględnie mówiąc przez tych, którzy jéj strzedz powinni. Losy zapisu Zofii Chełmickiéj są wprost gorszące.

Służba wiejska, według opinii większéj części swoich chlebodawców, jest harda, krnąbrna i zdemoralizowana. Nadewszystko zaś ma być leniwą i poniewierającą siódmem przykazaniem.

Między służbą a jéj chlebodawcami nagromadziło się istotnie wiele nieporozumień. Sięgają one, właściwie rzecz biorąc, czasu zniesienia pańszczyzny. Od téj epoki wprawdzie wyrosło już nowe pokolenie, lecz czas przynosi nowe niezadowolenie.

W skargach na nieuczciwość i niesforność służby wiejskiéj jest niezawodnie duża część prawdy.

Już z natury rzeczy wynika pewna sprzeczność, jeśli nie interesów, to nastroju. Sługa i najemnik wiejski przeważnie u nas dotychczas bywa opłacany nie za ilość lub jakość dokonanéj pracy, lecz za czas pracy, za dzień roboczy. Interes właściciela polega na tém, ażeby ten czas i siły robotnika jak najwięcéj wyzyskać, ostatni zaś pragnie tych sił zaoszczędzić, nie mówiąc już o jego lenistwie, niedbalstwie i opieszałości.

Czy to nazwiemy naturalną sprzecznością interesów, czy inaczéj, w każdym razie i tutaj jest źródło antagonizmu między chlebodawcami i robotnikami.

W ostatnich czasach skargi na służbę wiejską rozpowszechniły się bardzo, znalazły miejsce w pismach, i niektóre z tych ostatnich sformułowały stan rzeczy w ten mniéj więcéj sposób, że służba jest

klęską gospodarstwa rolnego, że jéj brak i oświaty, i moralności, i uzdolnienia fachowego. Sąd to bardzo surowy: w pewnéj części słuszny, w pewnéj niesłuszny, bo tak najczęściéj bywa z opiniami, opartemi na jednostronném widzeniu rzeczy.

Jeżeli kiedy, to w danym razie należy o sprawie mówić rozważnie i powściągliwie: czy to dodatnich, czy ujemnych opinii o sobie służba wiejska nie czytuje, w dyskusyi udziału nie weźmie, i z trudnością się nawet dowié o tém, że o niéj rozprawiają w gazetach. Z dwu stron interesowanych znamy przeważnie skargi jednéj, która ma możność publicznéj rozprawy o swoich interesach.

Na tém większą téż uwagę zasługuje głos, który, zgorszony namiętnemi oskarżeniami, skierowanemi przeciwko służbie wiejskiéj, prostuje te oskarżenia w wielu miejscach i czerpiąc między innemi fakty z praktyki w sądach gminnych, dochodzi nieraz do wręcz przeciwnych wniosków i oskarżycieli zamienia w oskarżonych. P. M. Radomczyk w dwóch listach swoich, ogłoszonych w „Słowie", o służbie wiejskiéj z odmiennego właśnie traktuje zapatrywania demoralizacyę, samowolność i występki służby przeciwko siódmemu przykazaniu.

Autor listów nie zaprzecza, że wśród parobków wiejskich są nicponie, że z nimi trzeba się ujadać i o sądy opiérać; „są jednak i tacy, co o dobro właściciela dbają, jak o swoje, pracują chętnie i wychodzą na porządnych ludzi. Wszak nietrudno znaleść służącego, który się urodził, wychował w jednym i tym samym dworze. Oczywiście, że on nie chce się przenosić gdzieindziéj, bo tu ma co jeść, w czém chodzić i ma pewność, iż zasługa jego pozwoli mu odkładać oszczędności na czarną godzinę. W takim razie może się téż przywiązać do swego chlebodawcy i dzielić z nim losy dobre i złe." Co zaś do owych nicponiów, to nigdy się oni miejsca długo nie trzymają, i nie ma téż powodu ich żałować.

Zdanie, że „służącemu nigdy żadna krzywda dziać się nie może ze strony chlebodawców", dość często przez ostatnich powtarzane, zakrawa istotnie na żart, albo téż jest bezwiednym wyrazem tego starego, zakorzenionego wśród sytych klas samolubstwa, które innéj krzywdy prócz swojéj nigdy nie rozumieją, a w sługach i podwładnych widzą maszyny, na ich użytek przez Opatrzność wynalezione. Zdania tego i w sporze o służbę wiejską użyto. P. Radomczyk, którym się tu wyręczymy, opowiada, że do chorego na cholerę służącego przywieziono w nocy (w dzień konie nie miały czasu) księdza. Chory leżał nago w stodole i nieporządku. Ksiądz zaledwie się mógł doprosić o stołek i świécę.

Kreśląc położenie służących na ordynaryi, autor słusznie mniema,

że tylko w razie regularnego wydawania ordynaryi i wypłacania pensyi byt ich jest zabezpieczony. Jeżeli zaś otrzymują ziarno w złym gatunku, a pieniądze nie w terminie, jeżeli soli i butów na zimę nie ma za co kupić — wtedy służący często złemi drogami łata dziury, czyli, pospolicie mówiąc, zaczyna kraść.

Ktoś napisał, iż w sądach gminnych o 50% więcéj jest skarg chlebodawców na służących, niż odwrotnie. P. Radomczyk, który urzęduje w sądzie gminnym, w okolicy ruchliwéj i fabrycznéj, wié tylko, że sprawy takie liczą się na dziesiątki rocznie, a o setkach i odsetkach nie ma mowy. W sądzie, o którym mówi autor, spraw tych w przeciągu 3-ch kwartałów r. b. było 9. Autor przytacza kolejno pobudki tych wszystkich spraw, zapoczątkowanych przez chlebodawców i bardzo dowodnie wykazuje, że słuszność, jeżeli nie prawna, to moralna, była zawsze po stronie służących. Nie zdarzyło mu się widziéć, aby służący pozywał chlebodawcę swego niesłusznie, tymczasem ze strony przeciwnéj widział nieraz dziwne żądania. Z przytoczonéj treści spraw widać także, iż częste skargi na samowolne opuszczanie służby mają tylko pozory słuszności; w istocie rzeczy bowiem służący prosi zwykle o uwolnienie i ma ku temu przyczyny poważniejsze, samowolnie téż oddala się dopiéro, nie mogąc dostać zwolnienia.

Listy p. Radomczyka podyktowała widocznie dobra wola i poczucie sprawiedliwości. Naturalnie byłoby błędem uważać tym sposobem sprawę za załatwioną; odpowiedział on tylko na zarzuty i oskarżenia nieusprawiedliwione i niedowiedzione. Po za złą i dobą wolą bowiem chlebodawców i służby wiejskiéj, po za demoralizacyą jednych i niesumiennoscią drugich — pozostaje cała sfera odpowiednich stosunków, w karby i normy nieujętych, obustronnie zaś szkodliwych. Służba — mówią — nie ma książek ze świadectwami, nie ma żadnych środków kształcenia się w swéj specyalności, brak téż ogólnéj normy zabezpieczenia jéj bytu na starość. Są to jednak rzeczy—powiédzmy—z czasem do zrobienia i do poprawienia; zaczyna się ziszczać projekt ubezpieczenia oficyalistów, a z czasem może przyjdzie koléj na robotników rolnych.

Z czasem, boć łatwo wprawdzie dyktować filantropijne programy postępowania właścicieli ze swymi parobkami i najemnikami, lecz najczęściéj tak się zdarza, że ci, coby te programy choć w części wcielać chcieli—nie zechcą, a ci, coby chcieli—nie mogą.

Nawiasowo jeszcze dodać można, że do wzajemnego niezadowolenia chlebodawców i służby wiejskiéj przyczyniają się nieraz dozorcy i oficyaliści przez złe traktowanie robotników, przez nadużycia obyczajowe i inne. Jak w wojsku szeregowiec więcéj się zazwyczaj oba-

wia kary i dokuczliwości podoficera niż oficera, tak i parobek wiejski więcéj złego znosi nieraz od oficyalisty niż właściciela. Ci ostatni powinni to miéć na uwadze i pamiętać, że węzły patryarchalne rozluźniły się, same nawet nazwy: „pan” i „sługa” stają się anachronizmami, i że tylko rozumne, sprawiedliwe i poważne postępowanie najlepiéj jeszcze może im zapewnić życzliwość pracowników.

W fabrycznych i przemysłowych stosunkach Łodzi rozporządzenie władzy, wydane przed dwoma laty o egzaminach językowych dla cudzoziemców, wywołało lepszą zmianę, otwiérając pole do pracy siłom krajowym. Zwykła wymówka pryncypałów z Łodzi, iż w kraju nie ma odpowiedniéj ilości chemików i techników i dla tego trzeba ich przywoływać z zagranicy — nie znajduje już wiary, bo ci specyaliści krajowi są i, według opinii, wcale obcym nie ustępują. Podobno kilka pierwszorzędnych stanowisk zajęli już i zadaniu swemu dobrze odpowiadają.

Niejaką więc poprawę w tych stosunkach korespondenci z Łodzi i mieszkańcy tamtejsi zaznaczają, choć daleko jeszcze do tego, coby być mogło i powinno. Młodzież z techniczném wykształceniem, przy cierpliwości, zabiegach i protekcyi znajduje jeszcze podobno pracę, chociaż spotyka tak twarde warunki, że opuszcza chętnie miasto bawełny, jak tylko otwiérają się widoki gdzieindziéj. Lecz tkaczom, a zwłaszcza handlowcom, bardzo trudno po dziśdzień otrzymać zajęcie. Końcówka *ski* nie ma dobréj „marki”.

Zapewne, biorąc rzecz najwzględniéj dla pryncypałów łódzkich, można z téj niechęci do żywiołu krajowego odtrącić coś na stare i zakorzenione uprzedzenie. Element niemiecki, tak licznie u nas osiedlony, przyniósł z sobą kulturę techniczną, rutynę pracy, praktykę fabryczną i przemysłową. Umiał on się zawsze skupiać, wytwarzać i sprzedawać. Krajowcy, jużto niżsi uzdolnieniami technicznemi, jużto ubożsi w inicyatywę i systematyczną pracę, ulegali przybyszom. Takie warunki i okoliczności zapewniły im powodzenie i wpoiły przekonanie o wyższości. Wyższość ta właściwie była natury fachowéj, choć przybysze głosili się za rycerzy kultury pod każdym względem i na każdém polu. Lecz czas nie stoi na miejscu i uprzedzenia pryncypałów łódzkich, choćby w pochodzeniu swojém słuszne, jeżeli trwają długo, stają się przywarą, a nawet ślepotą. Przemysłowcy łódzcy u nas zadługo istotnie téj słabości swojéj ulegają, odmawiając i dziś jeszcze krajowcom u siebie pracy.

Łódź z jéj wielkim wzrostem, z nadzwyczaj szybko powstającemi kapitałami i fakrykami jest istotnie dziwnie niepodatną do asymilacyi

ekonomicznéj Tymczasem powinna ona być dobrą szkołą zarobku, dorobku i bogactwa.

Autor listu („Słowo”) ztamtąd, donosząc niedawno o piątéj fabryce pod firmą krajową powstającéj, mówi, iż „dziwnie zaprawdę wygląda ta „piątka” wobec blisko tysiąca fabryk niemieckich i żydowskich. Nie wina to już miasta, ale, zdaje się, nas samych, przed okiem których formalnie z niczego powstaje tyle fortun corocznie bez obudzenia w nas choćby chęci poważniejszéj próby zdobywania kroci i milionów. Byle „łyk” niemiecki, ledwie podpisać się umiejący, z drobnym, nierzadko kilkuset rublowym kapitałem, ima się pracy przemysłowéj, a po latach kilku dorabia się fortuny.

Na widok tych panoszących się „geniuszów” mimo woli wyrabia się przekonanie, że do tej działalności przemysłowéj nie potrzeba znowu takich wielkich uzdolnień i umiejętności, że więc naszą niezaradność przemysłową możnaby złożyć *ad acta* i uznać się nareszcie za zupełnie podatne siły do téj pracy. A jednak my—zakładamy... tylko sklepiki spożywcze, jak gdyby wierząc uporczywie, że nasze zdolności praktyczne i fachowe na nic innego, jak tylko na ważenie pieprzu nie pozwalają... Podatność Łodzi do wyzyskania na naszą korzyść, zbliżenie się ekonomiczne z nią, nie z adoracyi, ale z prostego interesu, to rzeczy tak dziwne, że dla wielu zakrawają na chorobliwe majaczenie. Rys to dość trafny i dobitny; nie wiele by téż od niego odjąć można.

W niektórych okolicach kraju wychodztwo ludności wiejskiéj do miasta przybiéra rozmiary dla stosunków rolnych niebezpieczne. Plaga ta—za co ową emigracyę miejscową uważają gospodarze wiejscy — trapi przeważnie okolice miast fabrycznych, a więc Łodzi, Zgierza, Ozorkowa, Zduńskiéj woli i t. d. Wiadomości z téj ostatniéj świadczą o poważnych stratach, jakich wieś doznaje od wychodźtwa nietylko pod względem materyalnym, lecz i moralnym. Nie można tam było np. dokonać sprzętu potrawu, który gnije na łąkach, opóźniono siewy i nie wybrano kartofli, bo brak jest najemnika. Z drugiéj strony wpływ robotników fabrycznych na lud wiejski, wpływ, znany ujemnie oddawna, źle się zaznacza przez upadek moralności po wsiach, przez bardzo zuchwałe złodziejstwo i t. p. W okolicy więc fabrycznéj wieś obumiéra, powiększają się obszary nieużytków i rolników ogarnia troska o przyszłość.

Ta troska jest usprawiedliwiona, lecz jakiż na nią środek zaradczy? Rolnicy powoli muszą zmieniać system gospodarstwa i najmu, a robotników wypadnie im sprowadzać z dalszych okolic. Robią to już i dzisiaj, o ile mogą, choć klęski nie usuną.

14 października odbyła się większa uroczystość artystyczna. W Żelaznéj Woli odsłoniono pomnik Fryderyka Chopina.

Wśród uwielbień i oklasków dla małéj sztuki, małych twórców i wykonawców, ten hołd dla Chopina wnosi do sfery naszego artyzmu na krótką choćby chwilę, echo szlachetniejszego natchnienia i rozrzewnienia. W muzyce tłumu dzisiejszego panuje operetka, a wirtuozya zasłania najszczytniejsze wyobraźnie muzyczne. Czuła, niewypowiedzianie rzewna dusza Chopina, zawsze świéżemi płacząca łzami, przez czarującą wymowę swojéj melancholii tak droga sercu ludzkiemu, tak szczytna i delikatna, powabna posępnym wdziękiem i porywająca akordem smutku nieskończonego, pozostanie świątynią pokoleń szlachetnych, umysłów tęsknych i poetycznych. Ten smutek, tęsknota i melancholia, silniejsze może przez swą nieokréśloność od poezyi Musset'a, choć tak bardzo jéj pokrewne, cichym bólem i nieprzeniknioném uczuciem przemawiać będą dopóty, dopóki nerw ludzki zachowa czułość na tchnienie czaru i wymowę płaczu.

B. Lut.

Kto się na obchodzie jubileuszowym profesora Jurkiewicza znajdował, uderzony być musiał rozmaitością żywiołów, które w nim udział brały. Uczestnictwo to ludzi wszelkich zawodów świadczyło wyraźnie, że społeczeństwo hołd złożyć pragnie człowiekowi, co przez długi ciąg lat na różnych polach niósł mu usługi. Na eksport zagraniczny nie brakło nam w ostatnich czasach ludzi, artystów, uczonych, podróżników; trudniéj dziś o takich, którzyby przy mozolnéj pracy domowéj wytrwać umieli, rozwijając działalność swą wszędzie, gdzie się tylko skromna nadarzy sposobność. Za cichy a skrzętny znój taki, za pracę na dzień dzisiejszy społeczeństwo uznanie swe Jurkiewiczowi złożyło.

Urodzony w r. 1822 w Wólce Zawieprzyckiéj w lubelskiém, po skończeniu studyów przyrodniczych w uniwersytecie petersburskim, rozpoczął Jurkiewicz w r. 1844 zawód nauczycielski w ówczesném ośmioklasowém gimnazyum realném, które wydało tak liczny zastęp nietylko techników i lekarzy, ale także prawników, filologów i historyków, zadając tém kłam stanowczy twierdzeniom, że tylko szkoły klasyczne do zawodów wyzwolonych mogą ludzi przygotowywać. W roku 1860 objął także wykład technologii chemicznéj w instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie, a obok tych zajęć w szkołach publicznych prowadził też i czteroklasową szkołę prywatną. W hierarchii nauczycielskiéj przypadło mu wyższe stanowisko w r. 1862, gdy

powołany został na katedzę mineralogii i geologii w szkole głównéj, a katedrę tę zatrzymał następnie i w uniwersytecie warszawskim aż do r. 1879. W zawodzie więc nauczycielskim przebył razem lat 35, a w ciągu tego czasu przemawiał niejednokrotnie i z katedry publicznéj, w odczytach wygłaszanych nieraz na różne cele dobroczynne; wykład dostępny i piękny język składały wtedy ogółowi świadectwo jego uzdolnienia pedagogicznego.

Z prac naukowych Jurkiewicza najważniejsze są badania nad formacyą kredową w gubernii lubejskiéj, zebrane w rozprawie, ogłoszonéj w r. 1872. W pracy téj wykazał doświadczalnie zależność między wietrzeniem margli lubelskich, a zdolnością pochłaniania przez nie wody, przyczém sam skład mineralogiczny skał na ich wietrzenie wpływu nie wywiéra; opisał znalezione przez siebie skamieniałości, przeważnie w twardych marglach krzemiankowych i dał obraz roślinności i fauny, które okolice te ożywiały w okresie przeddyluwialnym, a wreszcie z faktów, przez siebie zebranych, wyprowadził wnioski ogólne o budowie geologicznéj lubelskiego, wykazał właściwe cechy i odrębności tamecznéj formacyi kredowéj i nakréślił kartę geologiczną téj okolicy kraju.

Piśmiennictwu przyrodniczemu służył zawsze bardzo gorliwie i dotąd działalność ta jego bynajmniéj nie osłabła. Z dokładną znajomością wszystkich działów wiedzy przyrodniczéj łączy, jako pisarz, jasność wykładu, oraz język zawsze poprawny, a często wytworny. Był współpracownikiem wielu pism warszawskich, a w ciągu lat trzech od r 1878 do 1881, redagował tygodnik przyrodniczy „Przyroda i Przemysł”. Od r. 1882 jest członkiem redakcyi „Wszechświata”, który stanowi właściwie dalszy ciąg przytoczonego wyżéj pisma; należy również do komitetu redakcyjnego „Wielkiéj Encyklopedyi ilustrowanéj”, w któréj obszernie prowadzi dział mineralogii, geologii i paleontologii. Znany jest również prof. Jurkiewicz, jako wyborny tłómacz znacznéj liczby dzieł przyrodniczych, etnograficznych, geograficznych i podróżniczych. W r. 1862 przełożył „Kurs chemii nieorganicznéj” Cabourssa, a wprowadzona tam przezeń terminologia chemiczna polska, na zasadach Śniadeckiego oparta, przyjęta i daléj wyrobiona w Szkole Główném, jest dotąd we wszystkich u nas pracach chemicznych używana. Poprzednio jeszcze w r. 1853 ogłosił tłómaczenie wykładu hygieny Fleury'ego”; z międzynarodowéj biblioteki przełożył rzecz o wodzie Tyndalla, przekład „Tajemnic Afryki” Jacolliota (1882) znajduje wciąż chętnych czytelników śród młodzieży, a obecnie w tłómaczeniu Jurkiewicza wychodzi zeszytami geografia ilustrowana nakładem M. Orgelbranda.

Jako badacz minerałów, nagromadził Jurkiewicz bogaty i starannie ułożony ich zbiór, posiadający znaczną wartość naukową. Zamiłowania wszakże przyrody nie ogranicza do tych głazów martwych, ale z niemniejszém upodobaniem, z zapałem prawie, oddaje się i hodowli roślin; zajęcie to złączyło go ściśle z towarzystwem ogrodniczém, które téż po śmierci Aleksandrowicza jednomyślnie powołało go na stanowisko swego prezesa. O pożytecznéj jego na tém polu działalności wié zresztą nie samo tylko towarzystwo ogrodnicze, ale miasto całe, jako przewodniczący bowiem komisyi plantacyjnéj pracuje gorliwie nad upiększeniem Warszawy przez ożywienie placów jéj i ulic roślinnością.

Nie możemy wreszcie pominąć działalności Jurkiewicza na inném jeszcze zgoła polu: w gorliwym opiekunie ochron, przez towarzystwo dobroczynności utrzymywanych, widzimy jeszcze dawnego nauczyciela, który młodzież nietylko uczył, ale i kochał zarazem. Ten węzeł wspólnéj miłości, łączący profesora z dawnymi jego wychowańcami, na uczcie jubileuszowéj najsilniéj się może wybijał.



NEKROLOGIA.

† Ś. p. **Edward Chłopicki**, syn Jana, autora „Pamiętników”, wydanych w Wilnie 1849 roku, urodził się w r. 1830 w majętności Mazuryszkach pod Wilnem, nauki gimnazyalne ukończył w Krożach, a na wyższe podczas dłuższego pobytu w Paryżu uczęszczał, jako wolny słuchacz do Sorbony na wykłady Juliusza Simona i Ozanama, oraz do Kolegium francuskiego za czasów Micheleta i Cypryana Roberta. Po powrocie zamieszkał w Warszawie i jako nauczyciel domowy w ciągu lat 25 odbywał długie i częste wycieczki po kraju dla zaznajomienia się z ciekawościami różnych jego miejscowości. Towarzyszyli mu nieraz młodzi rysownicy, którzy zdéjmowali widoki. Oprócz opisów wędrówek tych umieszczał ś. p. Chłopicki artykuły treści rozmaitéj w „Tygodniku Ilustrowanym”, „Kłosach”, „Wieku”, „Kraju”, „Bluszczu”, „Gazecie Polskiéj”, „Ognisku domowém” i innych. Są tu obszerne korespondencye, studya ludowe, opowiadania i liczne poezye, między innemi przekład „Nocy letniéj” Musseta. W oddzielnych książkach ogłosił: „Notatki z różnoczasowych podróży po kraju” (Warszawa, 1863), „Dzieje jedynaka”, powieść (tamże, 1872), przekład komedyi Calderona „Alkad z Zalamei” (tamże, 1873). Dotknięty nieuléczalną chorobą, popadł w końcu w niedostatek i musiał szukać schronienia w szpitalu na Pradze, gdzie umarł 13 października r. b.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Октября, 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. **Kamienie**, jako nawóz. Objaśnienie teoryi Hensla. Napisał *A. Strzelecki.* Warsz., skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa i u autora, 1894, 8-vo, str. 84 (cena kop. 30).
2. **Biblioteka rolnicza** dla mniejszych gospodarzy. I. Nauka o gospodarce polnéj. Napisał *Antoni Strzelecki.* Warsz., nakład autora, 1894, str. 77 (cena k. 20).
3. **Kobiety** Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Zarys literacki *Piotra Chmielowskiego.* Wydanie czwarte, poprawione i powiększone. Z illustracyami. Petersburg, 1894 Zesz. I, str. 95.
4. **Szumowiny.** Powieść obyczajowa współczesna przez *Armanda Palacio Valdès.* Przekład z hiszpańskiego. Warsz., nakładem redakcyi „Głosu", 1893, 8-vo, t. I., str. 312.
5. *B. Ulanowski.* **Liber formularum.** Kraków, 1893, 8-vo, str. 88.
6. **Klemens Janicki**, poeta uwieńczony. Napisał *Ludwik Ćwikliński.* Krak., nakł. Akademii, 1893, 8-vo, str. 194.
7. *Maryan A. Baraniecki.* **Arytmetyka.** Wydanie z zapomogi Kasy pomocy imienia Józefa Mianowskiego. Warsz., skład gł. w księg. E. Wendego i Sp., 1894, 8-vo, str. LXIV i 408 (cena rs. 1 k. 35).
8. *Jadwiga z Wittów Korzeniowska.* **Nad siły.** Powieść. Krak., nakł. księgarni Spółki wydawniczéj, 1893, 8-vo, str. 195.
9. **Geometrya elementarna.** Napisał *I. Badowski.* Wydanie z zapomogi Kasy pomocy im. Józefa Mianowskiego. Warsz., skład gł. w księg. E. Wendego i Sp., 1894, 8-vo, str. LVIII i 338 (cena rs. 1 k. 35).
10. *Maryan Gawalewicz.* **Od jutra.** Powieść współczesna, z papierów familijnych spisana. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 407.
11. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach *Paszkowskiego, Koźmiana* i *Kasprowicza.* Lwów, nakł. Księgarni polskiéj, skład gł. w Warszawie w księg. Centnerszwera. Zeszyty 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 (cena zeszytu kop. 15).
12. *Adolf Dygasiński.* **Bracia Tatary.** Powieść. Warsz., nakł. S. Lewentala (1894), 8-vo. str. 215.
13. *Alfred Nossig.* **Szkice artystyczne** z Wiednia. Warszawa, u Lewentala (1894), 8-vo, str. 165.
14. **Wierzenia mazurskie**, z dodatkiem, zawierającym klechdy i baśnie Mazurów podał dr. *M. Toeppen.* Z drugiego wydania przełożyła *Eugenia Piltzówna.* (Odbitka z tomu VI-go „Wisły"). Warsz., 1894, skład gł. w księgarni E. Wende i S-ki, 8-vo, str. 183.
15. *William A, Hovey.* **Odgadywanie myśli.** Przełożył *Henryk Wernic.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 255.
16. *Julian Mohort.* **Listy do przyszłéj narzeczonéj.** Wydanie 4-te. Warsz., T. Paprocki i S-ka, 1895, str. 96.
17. Dr. *Eugeniusz Rehfisch.* **Samobójstwo.** Studyum krytyczne. Przełożył *Wiktor D.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 103.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

